ROZMOWA Z KANDYDATEM NA PREZYDENTA

Karol Nawrocki o planie dla Polski oraz o stosunku do PiS i Konfederacji

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 5/614 27 STYCZNIA–2 LUTEGO 2025
CENA 12,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Dlaczego tak wielu Rosjan popiera Putina

JAK W STANIE WOJENNYM WERYFIKOWANO MARIUSZA WALTERA

Friedrich Merz – kim jest pretendent do urzędu kanclerza Niemiec

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829
Nakład: 44 500 egzemplarzy

TONĄCA

KAMPANIA TRZASKOWSKIEGO

eprasa.pl a8d4c013d5

Uwaga: nowe ceny na 2025 rok!

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIKA DO RZECZY I MIESIĘCZNIKA HISTORIA DO RZECZY

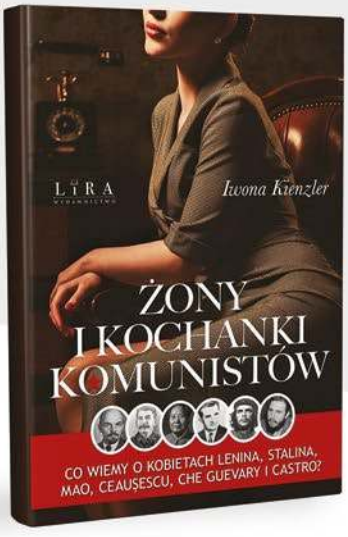

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

IWONA KIENZLER:
„ŻONY I KOCHANKI KOMUNISTÓW"

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

<<<

~~771~~ ZŁ

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 478 ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a8d4c013d5

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Dał nam przykład Trump

Jest swego rodzaju ironią losu, że niemal w tym samym czasie, gdy swoje przemówienie inauguracyjne wygłaszał nowy prezydent USA, Donald Trump, na forum Parlamentu Europejskiego o celach polskiej prezydencji w Unii Europejskiej mówił Donald Tusk.

W przypadku Trumpa sprawa jest jasna: został wybrany przez naród amerykański po to, żeby służyć Ameryce najlepiej, jak potrafi. Jego hasło i zarazem obietnica, że przywróci wielkość Ameryce, jest wypełnieniem podstawowego zadania polityka demokratycznego. Nie ma on realizować wymyślonych przez wąskie grono znawców idei, ale kierować się interesem własnych obywateli. Jest ich sługą. Jest ich przedstawicielem. Nie zdobywa poparcia politycznego po to, by później sprzedać się innym siłom i instytucjom, ale ma wypełnić złożone obywatelom obietnice. To, można powiedzieć, demokracja w stanie czystym.

„Ameryka wkrótce stanie się większa, silniejsza i o wiele bardziej wyjątkowa niż kiedykolwiek wcześniej" – powiedział 47. prezydent USA. „Rząd nasz ma do czynienia z kryzysem zaufania – przez wiele lat radykalny i skorumpowany establishment drenował władzę i możliwości od naszych obywateli, gdy podstawy naszego społeczeństwa były niszczone, i w tej chwili są w pełni zaniedbane" – stwierdził Donald Trump. Dlatego też, kierując się amerykańskim interesem narodowym, ogłosił, że będzie bronił granic przed zalewem imigrantów, skończy z wprowadzaniem w USA szalonego projektu Zielonego Ładu, przeciwstawi się ideologii genderyzmu, odrzucając absurdalną koncepcję wielości płci i wykreowanych przez lewicę osób transpłciowych. Wreszcie, co się tyczy spraw zagranicznych, Trump zapowiedział, że przywróci prymat amerykańskiego interesu narodowego nad mrzonkami globalistów. Koniec snów o jednym, światowym rządzie, koniec projektu utopijnego resetu z Davos.

Tymczasem polski premier dzień później robił to, co eurokraci potrafią najlepiej, czyli zaklinał rzeczywistość. „Europa była, jest i będzie wielka. Chcę powiedzieć wszystkim Europejczykom: podnieście wysoko swoje głowy – mówił polski premier. – Żyjemy w chwili globalnego zawahania. Mamy wojnę tuż przy naszych granicach. Możemy dzisiaj mówić o pewnym kryzysie ducha. Obiektywnie rzecz biorąc, Europa nie ma żadnych powodów do kompleksów". A całości tych wywodów towarzyszyła wygłoszona na początku maksyma, tyleż pompatyczna, co pusta: „Jeszcze Europa nie zginęła, póki my żyjemy".

Ta parafraza polskiego hymnu doskonale pokazuje najważniejszą różnicę między amerykańskim patriotą a polskim eurokratą. Otóż w ustach Polaków od końca XVIII w. słowa „Mazurka Dąbrowskiego" przypominały o niezbywalnej wartości i znaczeniu, jakim jest narodowa niepodległość. Tak, Polsce odebrano państwowość, ale nie wydarto nam duszy. Naród nie umarł, naród prędzej czy później odzyska, wywalczy dla siebie państwo, bo jest ono koniecznym podmiotem dla realizacji interesów narodowych.

W ustach Tuska fraza ta przemienia się w zwykły, pusty ozdobnik retoryczny. Nie ma europejskiego narodu i nikt nie chce umierać za Europę, tak jak przez wieki Polacy byli gotowi umierać za Polskę. Europa, jeśli mowa o Unii, nie jest wielka, tylko znajduje się w stanie chronicznej choroby. Nie tylko systematycznie odstaje w wyścigu gospodarczym, lecz także właśnie ze względu na takich liderów jak Tusk znalazła się na skraju przepaści. Kryzys ten wynika dokładnie z tych samych powodów, dla których uderzył on w Amerykę: bo europejskie elity, tak jak amerykańscy demokraci, dawno już przestały kierować się interesami swoich narodów. Przeciwnie: postanowili je stworzyć i skonstruować od nowa. Surowa krytyka Trumpa, mimo że skierowana pod adresem amerykańskiego establishmentu, tak samo odnosi się do aktywności postępowych, europejskich globalistów. I w jednym, i w drugim przypadku chodzi o to samo: o wygenerowanie przy pomocy inżynierii społecznej nowego społeczeństwa i nowego człowieka.

Nic dziwnego zatem, że Trump mówił bez przerwy o Ameryce, zapominając o świecie, Tusk zaś ciągle opowiadał o Europie, zapominając o Polsce. Dla tego pierwszego wszystko ma być podporządkowane interesowi ludu amerykańskiego, dla tego drugiego wszystko ma służyć utrzymaniu władzy przez europejskich oligarchów. To oni przecież wymyślili koncepcję państw bez granic, prowadząc samobójczą politykę imigracyjną, to oni wbrew wszelkim głosom rozsądku ustanowili Zielony Ład, przyznając mu status prawdziwej, świeckiej religii, to oni wreszcie wciąż głoszą koncepcję wielopłciowości i twierdzą, że człowiek może wybrać sobie płeć. Lewicowo-liberalni szaleńcy z USA nie różnią się niczym od swoich europejskich odpowiedników.

Porównanie obu przemówień pokazuje też wyraźnie, że Polska znajduje się w niewoli europejskich globalistów. Bez odrzucenia ich władzy naród znajdzie się w ogromnym niebezpieczeństwie. Ma zostać roztopiony i wchłonięty przez wielki, europejski demos. Czy istnieje na to lekarstwo? Jak najbardziej. Można je odnaleźć w tym samym „Mazurku Dąbrowskiego", tyle że sparafrazuję go inaczej niż Tusk: „Dał nam przykład Trump, jak zwyciężać mamy". ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

TEMAT TYGODNIA

14 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
TRZASK! I PO PREZYDENTURZE?
Tonąca kampania Rafała Trzaskowskiego

17 PIOTR SEMKA
TRZASKOWSKI NA FAŁSZYWĄ NUTĘ

KRAJ

20 ROZMOWA Z DR. KAROLEM NAWROCKIM
NIE MAM PLANU B. CELEM JEST ZWYCIĘSTWO
Jestem zdeterminowany, żeby Polska mogła być wielka

23 KRYSTIAN KRATIUK
CENZURA PODZIELI ŚWIAT

26 ROZMOWA Z MARCINEM PALADE
CZEKAJĄC NA CZARNEGO KONIA

28 ŁUKASZ WARZECHA
PIS (NIE)MĄDRY PO SZKODZIE

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
DOCISKANIE GIERTYCHEM

KULTURA

32 WIESŁAW CHEŁMINIAK
WARIACI SĄ WSZĘDZIE
Stańczyk i inni w Luwrze

35 KRZYSZTOF MASŁOŃ
BARDOWIE – JACEK KOWALSKI

36 PIOTR GOCIEK
POŻEGNANIE DAVIDA LYNCHA

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, GRA

OPINIE

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ
FARSA W SĘDZIOWSKIEJ TODZE
Korzenie patologii polskiego systemu prawnego

46 MARCIN SKALSKI
POLAK, CZYLI IMPERIALISTA

48 FILIP MEMCHES
FIASKO LIBERALNEJ DEMOKRACJI

50 PAWEŁ CHMIELEWSKI
TRUMP A KATOLICY

52 ROZMOWA Z DR MIRIAM GROSSMAN
MAMY DO CZYNIENIA ZE „SPOŁECZNĄ ZARAZĄ"

HISTORIA

54 GRZEGORZ MAJCHRZAK
PRL-OWSKA PROPAGANDA I SHOW-BIZNES
Jak w stanie wojennym weryfikowano Mariusza Waltera

ŚWIAT

60 CEZARY GMYZ
PRZYSZŁY KANCLERZ NIEMIEC?
Friedricha Merza długi marsz po władzę

64 MARIUSZ JAGÓRA
ZWROT W RELACJACH USA Z WIELKĄ BRYTANIĄ?

66 MACIEJ PIECZYŃSKI
DLACZEGO ROSJANIE POPIERAJĄ PUTINA

68 RYSZARD CZARNECKI
ZAPISKI Z TRANSYLWANII, CZYLI SIEDMIOGRODU

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI
NIE MAMY PAŃSKIEGO KONTA. I CO NAM PAN ZROBI?
Debanking coraz powszechniejszy

73 JACEK PRZYBYLSKI
ZŁOTY WIEK AMERYKI?

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), ŻEBROWSKI, KOPER (58), KOMUDA (59), PRZYBYLSKI (63), GABRYEL, WARZECHA (76), POSPIESZALSKI, KARWELIS (79), JASTRZĘBOWSKI, WIEROMIEJCZYK (80), KRATIUK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl a8d4c013d5

TYGODNIK POLSKIEGO
DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas** (II sekretarz redakcji), **Filip Memches**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sieńkowski, Łukasz Żygadło**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska, Agata Błaszczyk-Stefaniak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Filip Naumienko/REPORTER, Adobe Stock, Leszek Szymański/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01

Wydawca tytułu, Orle Pióro SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Orle Pióro SA:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki, a.borzecki@pmpg.pl, +48 500 112 424

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829 Nakład: 44 500 egzemplarzy

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.
© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Wymiar (nie)sprawiedliwości w służbie stanu wojennego", Grzegorz Majchrzak, „DRz" nr 2/2025

W interesującym artykule Grzegorza Majchrzaka „Wymiar (nie)sprawiedliwości w służbie stanu wojennego" („DRz" nr 2/2025) znalazła się błędna informacja, że przeciętna płaca brutto wynosiła w 1982 r. nieco ponad 1,6 tys. zł. Faktycznie przeciętne wynagrodzenie (według tabeli ZUS) było w tym czasie wyższe, wynosiło bowiem 11 631 zł. W takim stanie rzeczy kara 20 tys. zł grzywny wymierzona rolnikowi przez kolegium do spraw wykroczeń za jazdę traktorem w czapeczce z napisem „Solidarność" mimo wszystko nie była aż tak drastyczna, jak by to wynikało z podanego w artykule kontekstu.

Warto też przypomnieć, że jeden z najsurowszych wyroków w stanie wojennym otrzymał Franciszek Mazur, członek NSZZ Rolników Indywidualnych „Solidarność" z Mielca. Za to, że nie zaprzestał działalności związkowej, tworzył nowe struktury oraz sporządził i przechowywał pisma „zawierające fałszywe wiadomości, które mogły wywołać niepokój publiczny lub rozruchy", Sąd Warszawskiego Okręgu Wojskowego w siedzibie Wojskowego Sądu Garnizonowego w Rzeszowie skazał go w trybie doraźnym na 6,5 roku więzienia, pozbawienie praw publicznych na 4 lata, opłatę 6 tys. zł na rzecz Skarbu Państwa oraz kosztów postępowania. Wyrok opublikowano w rzeszowskich „Nowinach".

Andrzej W. Kaczorowski

Rozdwojenie jaźni

Szanowni Państwo,
oglądając inaugurację prezydentury Donalda Trumpa na różnych kanałach telewizyjnych, moją uwagę zwróciły dwie rzeczy.

W jednej stacji komentatorzy stwierdzili, że pan Trump jest mściwy, i martwili się, czy dokona zemsty na naszym swawolnym Dyziu, który wytoczył niesłychane oskarżenia o szpiegostwie prezydenta USA na rzecz wrogiego państwa oraz z okrzykiem: „Jeden Donald wystarczy!" dla zabawy strzelał mu w plecy z palców. Taki to fajny rozrabiaka!

W drugiej stacji również orzekli, że pan Trump jest mściwy, ale ci z kolei wyrażali nadzieję, że w swojej mściwości doprowadzi do zmiany rządu w Polsce.

Dziwny to kraj, gdzie ludność cieszy się, że ktoś z zewnątrz wybiera jej rządy.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Dziękuję i proszę

Szanowna Redakcjo,
dziękuję Wam, że w tych kiepskich czasach wciąż można liczyć na rozsądek i intuicję Państwa publicystów. To już osiem lat, jak zaskakujecie mnie zdolnością przewidywania, choć na początku pandemii bardzo mnie irytowała Wasza niechęć do szczepień. Jak zwykle, okazało się, że mieliście rację i co do szczepień, i Ukrainy, więc Naczelni okazali się bardziej naczelni i sapiens niż inne naczelne ssaki w redakcjach prawicy [...].

Brakuje jednak głosu kobiet i dlatego moja żona i dwie córki coraz częściej podśmiewają się z mojego zaczytania w „maczystowskim tygodniku". Na szczęście wciąż sięgają po niego.

Z szacunkiem i wdzięcznością
Grzegorz Kwiatosz

eprasa.pl a8d4c013d5

NA PIERWSZY OGIEŃ

Czy jesteś już zdrajcą Europy?

PIOTR SEMKA

Przestańcie udawać, że chodzi wam o wolność słowa. Wy jesteście partią Trumpa i Muska w UE. Wczoraj owacyjnie klaskaliście Trumpowi i nie przeszkadza wam, że ten prezydent Stanów Zjednoczonych zapowiedział wojnę handlową niszczącą gospodarkę Unii Europejskiej! Dziś bronicie amerykańskich platform internetowych i nie przeszkadza wam, że ich algorytmy będą częścią amerykańskiej, technologicznej agresji wobec Europy" – takimi słowy eurodeputowany Bartłomiej Sienkiewicz zaatakował partie prawicy w Parlamencie Europejskim. Agresywne wystąpienie miało miejsce w czasie debaty dotyczącej wzmocnienia Aktu o usługach cyfrowych (DSA) – tak aby nakazać platformom cyfrowym moderowanie „niewłaściwych treści". Tego typu inicjatywy budzą obawy w partiach europejskiej prawicy tożsamościowej. I nic dziwnego, że konserwatyści wyrażali obawy, iż nowe ustawodawstwo będzie mogło być używane do cenzury.

Sienkiewicz postanowił odwrócić kota ogonem. Ogłosił, że ten, kto ma wątpliwości wobec DSA, jest wrogiem wolności. „Jeśli Komisja Europejska nie będzie w stanie powstrzymać platformy X przed ingerencją w europejską politykę, jeśli DSA zostanie martwym prawem, to Unia Europejska straci suwerenność, a wy z prawej strony sali jesteście forpocztą tej agresji, jesteście zdrajcami Europy!" – wypalił europoseł KO.

Trudno przypuszczać, by słowna szarża pułkownika Sienkiewicza była wyłącznie jego osobistym wyskokiem, niezwiązanym z nastrojami w koalicji, która wyniosła do władzy Ursulę von der Leyen. Tego samego dnia w Polsce Donald Tusk też w specyficzny sposób zareagował na zmianę polityczną w Waszyngtonie. Nawiązując do zapowiedzi Donalda Trumpa na temat deportacji cudzoziemców żyjących nielegalnie w USA, demonstracyjnie zatroszczył się o Polaków. „Po pierwszych zapowiedziach dotyczących możliwych deportacji nielegalnych imigrantów z terenu Stanów Zjednoczonych zwróciłem się do ministra spraw zagranicznych, by przygotować nasze konsulaty, placówki, służby na terenie Stanów Zjednoczonych, by były przygotowane do ewentualnych konsekwencji tych decyzji w odniesieniu do Polaków pracujących, mieszkających na terenie Stanów Zjednoczonych z różnym statusem i poziomem legalności" – ogłosił Tusk.

Wielu komentatorów zastanawiało się ostatnio, jak Platforma Obywatelska zareaguje na polityczną zmianę w Waszyngtonie. Niektórzy publicyści zachęcali, by nie myśleć schematami. Zastanawiali się, czy Tusk nie zaskoczy wszystkich i nie postawi na jakieś ocieplenie stosunków z nową administracją w USA. Te dwie pierwsze reakcje dwóch czołowych polityków Platformy pokazują, że może być dokładnie odwrotnie. Że siły „głównego europejskiego nurtu" zaczną lansować dychotomię – dumni Europejczycy broniący swych praw kontra prawicowe pachołki Trumpa i Muska w Europie. Z antyamerykanizmem jako wyznacznikiem bycia prawowiernym Europejczykiem. Przesada? Czarnowidztwo? Możliwe. A może nie. ©℗

FOT. GABRIEL LADO/WORLD ECONOMIC FORUM

MILEI W DAVOS: WOKEIZM TO RAK

– Globalna hegemonia lewicowej ideologii zaczyna się kruszyć – oznajmił na Światowym Forum Ekonomicznym w Davos prezydent Argentyny, Javier Milei. Wygłosił tam krytykę ideologii wokeizmu, określając ją mianem „nowotworu", który zagraża zachodniej cywilizacji. Milei skrytykował również feminizm, klimatyzm i imigrację, przekonując, że są to narzędzia służące promowaniu socjalizmu. I zauważył, że tworzy się już światowy sojusz między narodami, które chcą być wolne. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

No i po inauguracji Donalda Johna Trumpa, znanego też jako Dobry Donald z Waszyngtonu. Amerykanie bawili się świetnie, importowani goście trochę mniej, bo uroczystości były przeznaczone dla swoich, a nie obcych. W związku z tym doszło do ciekawego zjawiska. Wszyscy, których nagabujemy o relacje z inauguracji, zamiast się przechwalać, zbywają nas krótkim: „Było fajnie". Tak, wiemy. Eventy towarzyszące, spotkania networkingowe oraz shake handy. Czasem z jakimś kongresmenem, czasem senatorem. A prezydent tylko na ekranie. Życie jest ciężkie pod rządami Trumpa – nawet dla legalnych migrantów.

Apropos inauguracji: sztab kandydata Karola Tadeusza Nawrockiego do ostatniej chwili zastanawiał się nad tym, czy wysłać do Waszyngtonu swojego obywatelskiego kandydata. Zdecydowano, że jednak nie, że nie ma co wystawiać piłeczki do ścięcia przeciwnikowi. Zwłaszcza że Karol Tadeusz ma nieco mniej fluent język lengłydż od Mateusza Morawieckiego. A nie chodziło przecież o to, żeby Morawiecki wypadł prezydencko, Nawrocki zaś – nie.

Czekamy tymczasem na nowego ambasadora USA w Polsce. I sięgając po cytat ze „Shreka": „Jeszcze se poczekamy". Bo w sumie czemu Dobry Donald z Waszyngtonu miałby się śpieszyć z wysyłaniem dyplomatów do wrogich rządów? Z nudów więc porządkujemy opowieści o starym ambasadorze, czyli Marku Brzezinskim. Na przykład o tym, jak właściwie został ambasadorem nad Wisłą. Niżej objaśnienie.

Intronizacja nieodżałowanego Marka Brzezinskiego, wersja pierwsza, dla liberałów (czy też może libertynów – jeden czort): telefon od Joe Bidena, odebrany w ogrodzie. I słowa: „Mark, przez wzgląd na pamięć twego ojca musisz jechać ratować w Polsce demokrację". Wersja druga, dla konserwatystów: telefon od Joe Bidena, odebrany w ogrodzie. I słowa: „Mark, jak wiesz, znałem Jana Pawła II, Twojego wielkiego rodaka, i pomyślałem sobie, że ty najlepiej się nadajesz na ambasadora w Polsce". Mark opowiadał te wersje w zależności od tego, w jakim towarzystwie się znajdował. Nasza wiewiórka słyszała obie, gdyż potrafi grać różne role przy różnych okazjach. A może po prostu jest kolibrem – konserwatywnym liberałem.

Oprócz czekania na nowego ambasadora USA w modzie jest też czekanie na pieniądze dla PiS, które należą się partii jak psu buda, ale minister finansów Andrzej Domański ich nie wypłaca. Gdyż nie posiadł umiejętności czytania ze zrozumieniem, więc nie umie pojąć, o co chodzi w pismach PKW i werdyktach Sądu Najwyższego. Dziwne jak na człowieka, którego PO opisywała słowami: „14 lat pracował na rynku kapitałowym jako analityk rynku akcji, zarządzający funduszami, dyrektor inwestycyjny oraz członek zarządu w instytucjach finansowych". Najwyraźniej na tych wszystkich stanowiskach umiejętność czytania ze zrozumieniem nie jest wymagana.

Mamy natomiast inną wiadomość z królestwa Domańskiego. Złe języki w resorcie finansów mówią, że w ministerstwie bardzo dobrze czuje się pewien globalny koncern tytoniowy. Sprawdziliśmy. Rzeczywiście, coś może być na rzeczy. Ludzie, którzy odpowiadają obecnie za akcyzę, są związani z owym potentatem. I – co ciekawe – zarabiają grosze w porównaniu z tym, co zarabiali w koncernie. Zachodzimy w głowę: O co chodzi? Pewnie filantropi.

Skoro o zarabianiu pieniędzy: nie tak dawno wypatrzono, że Stanisław Bortkiewicz ma nową robotę. Nie wiecie kto? W TVP oraz w Orlen Press, gdzie pracował za czasów niesłusznie minionych, uchodził za szarą eminencję. O czym dobitnie świadczy jego ksywka Bormann. Za obecnego reżimu odnalazł się poza mediami. Nasze wiewiórki wypatrzyły go na targach branżowych. Obecnie handluje fotowoltaiką dla firmy z Milanówka.

Apropos Orlen Press. „Bormannowi" trzeba oddać, że jednak potrafił zarządzać. Orlen Press za jego czasów miał zaledwie 15 mln straty. Magicy z obecnego, lepszego, demokratycznego i uśmiechniętego Orlen Pressu już wykręcili drobne 90 mln w plecy.

Barwy prekampanii. Zgodnie z naszymi zapowiedziami do grona kandydatów na prezydenta dołączył Krzysztof Stanowski. Co wprawiło w popłoch tych i owych. Stare, siwe, doświadczone wiewiórki od elektoratów, z którymi gadaliśmy, twierdzą, że Stanowski odbierze głosy wszystkim oprócz kandydatów lewicy (Biejat i Zandberg) oraz Brauna. Twierdzą też, że w sumie może być to dobre dla prawicy. Dlaczego? Wyjaśniamy poniżej.

Otóż zdaniem SSDW (Starych Siwych Doświadczonych Wiewiórek), które niejedną kampanię widziały, zarówno Stanowski, jak i Braun skłonią w pierwszej turze do głosowania taki elektorat, który inaczej pewnie w ogóle nie poszedłby na wybory. A wyborcę, który już zdecydował się głosować w pierwszej turze, łatwiej jest potem zmobilizować, żeby zagłosował także w drugiej turze. Ta zaś ma być plebiscytem, czy jesteś za tym, żeby byli Trzaskowski, Tusk i demokracja walcząca, czy jednak, żeby było raczej normalnie.

Przy okazji: pytacie, co sądzimy o spotkaniu Rafcia Trzaskowskiego z Zenkiem Marzeń Martyniukiem. Otóż nic nie sądzimy, bo na to za wcześnie. Nie ma się co ekscytować poparciem szeregowego szansonisty. Tak naprawdę ekscytujące byłoby poparcie ze strony jego głównego promotora. W tym przypadku musiałoby to być poparcie Jacka Kurskiego. Szczerze żałujemy. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Likwidacja na wypasie

Serwis Wirtualne Media postanowił oddać hołd pracownikom TVP, którzy wdarli się tam rok temu w ślad za „silnymi ludźmi" nasłanymi przez ówczesnego ministra Sienkiewicza. Tekst ma charakter kombatancki, ale z optymistyczną pointą.
Z początku było ciężko, trzeba było w wyzwolonym gmachu mozolnie opanowywać nowy sprzęt, zagospodarowywać przestrzenie biurowe i studia, zmagać się z licznymi niedostatkami, na nowo stawiać rozgwajdolony podczas szturmu system komputerowy… Ale to już za nami. Teraz – ho, ho. „Goście z TVN i Polsatu mówili, że jest u nas wypas!" – chwalą się zdobywcy.
I taki jest właśnie tytuł tekstu, gdyby ktoś chciał go poszukać w necie.

Niezły tupet takie chwalenie się „wypasem" w instytucji, która formalnie postawiona jest w stan likwidacji i zarządzana przez „likwidatora". Likwidator to funkcja zdefiniowana w prawie, narzucająca konkretne obowiązki, których robienie „wypasu" jest zaprzeczeniem. Do i tak obszernego materiału dowodowego, który zaprowadzi kiedyś PO-owskich „likwidatorów" za kraty, dodają „szczere wypowiedzi", cytowane przez Wirtualne Media, kolejną porcję. Swoją drogą, mało kto się zastanawia, dlaczego Tusk wciąż utrzymuje tę fikcję, skoro od paru miesięcy ma większość w Radzie Mediów Narodowych i mógłby już wybrać prezesa TVP na legalu? Wtajemniczeni mówią, że wstrzymuje go lęk, iż o tak wielki tort koalicjanci pożarliby się w stopniu zagrażającym stabilności rządu.

Warto też wspomnieć obietnicę Tuska, że miliardy, które kosztuje TVP, po przejęciu władzy odda na onkologię dziecięcą. Niestety, nie mógł biedaczek tej obietnicy spełnić, bo „PiS-owski deep state" odmówił przekazywania bezprawnie przejętej TVP pieniędzy z abonamentu. Więc miliardy – już 3,5 mld zł – nadal płyną z budżetu na „partyjną propagandę". Teraz okazuje się, że nie na ratowanie „likwidowanej" instytucji, tylko na „ceć jakie małmazyje" – jak to ujmuje znana pastorałka – dla tych, którzy się zgodzili tam elanobawełnić. Ja to rozumiem, za chleb i wodę, choćby naprawdę czystą, wstyd się sprzedawać, za „wypas" co innego. Ale że się tym chwalą? ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Barokowa Chanuka

Wołał ksiądz Skarga w swym drugim kazaniu do dworu Zygmunta III, przypominając, że wiara jest pierwszym pośród wszystkich składników dobra wspólnego:

„Matatyasz dla Rzeczypospolitej, która na zakonie Bożym fundowana była, dla oddalenia niewolej i tyraństwa króla Antyocha i innych postronnych nieprzyjaciół zdrowie swoje ważył. I mając sześć synów, na testamencie im umierając, rozkazał, aby żaden na łóżku swoim nie umierał, ale mężnie o lud swój i o zakon Boży, i wiarę wojując, i ojczyzny broniąc, umierał. I posłuchały go dobre dzieci wszyscy, i szczęścił im Pan Bóg w wielu wygranych i niepodobnych do zwycięstwa bitwach, i potykając się, jeden drugiego upominał: »Podnośmy upadek ludu naszego, a walczmy o lud nasz i o kościół nasz« [por. 1 Mch 3, 43]. I wszyscy bracia oni na bitwach pozabijani sobie śmierć, a ludowi swemu i Rzeczypospolitej wolność i wybawienie od tyranów przynieśli. Nad których śmiercią płakali, mówiąc: »Jakoć polegli mocarze, którzy wybawiali lud Izraelski« [por. 1 Mch 9, 21]. Żadna ich korzyść do tego nie wiodła i męstwa im onego nie czyniła, jedno miłość ku uciśnionej braciej i ku ojczyznie, i sławie ludu swego".

A co na to poseł Braun? Dla niego wspomnienie powstania machabejskiego to „świętowanie ludobójstwa", zobowiązujące „wszystkich" do odpowiedzi na proste „pytanie": „Po której stronie się plasują, czy są jednymi z tych nielicznych, którzy wzięli w swoje ręce sprawy i wyrżnęli nie-Żydów?". Trzeba wybierać! Ksiądz Skarga już wybrał, powstanie machabejskie z zachwytem popiera. Trzeba by chyba w tym miejscu zapytać: Co na to powiedzą zwolennicy ideologii gaśnicowej?

A co niby mieliby mówić? I o co w ogóle chodzi, kto to jest ten cały Skarga? Jakiś ksiądz z Łodzi, od kard. Rysia? ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O czarnej niewdzięczności

Cecilia Sala, włoska dziennikarka aresztowana bez powodu przez reżim brodaczy w Teheranie, została wymieniona na irańskiego speca od dronów, zatrzymanego na lotnisku w Mediolanie na podstawie listu gończego wydanego przez sąd w Bostonie, który oskarżył go o terroryzm. Premier Meloni, by uzyskać nieformalną zgodę na tę transakcję, poleciała do Trumpa na Florydę. Swoje zrobił, negocjując z brodaczami, szef włoskiego MSZ Antonio Tajani. W efekcie dziennikarka 8 stycznia, po zaledwie trzech tygodniach, wróciła do domu. Był to ogromny, osobisty sukces Giorgii Meloni, co z wielkim bólem serca przyznała nawet opozycja.

Kilkanaście dni później Cecilia Sala pierwszy raz opowiedziała o swoich dramatycznych przeżyciach w Teheranie w popularnym programie telewizyjnym dla ludzi postępowych i słusznie myślących „Jaka dziś pogoda", który charakteryzuje się tym, że prowadzący, komentatorzy i goście myślą to samo i tak samo. Pewnie dlatego w 20-minutowym wywiadzie ani razu nie padły nazwisko Meloni ani słowo „dziękuję" pod adresem rządu, który nie dość, że doprowadził do uwolnienia kobiety, to jeszcze posłał po nią swój samolot. O Meloni było wcześniej. Komentatorzy zarzucali, że włoska premier jest teraz „pieskiem Trumpa".

Na zakończenie w programie wystąpił papież Franciszek, przez 50 minut odpowiadając na pytania prowadzącego. Powiedział, że włoski kryzys demograficzny mogą rozwiązać tylko migranci, których trzeba godnie w Italii przyjmować i integrować. Potem odniósł się do zapowiadanej przez Trumpa ekspulsji nielegalnych migrantów: „Jeśli to prawda, to będzie to nieszczęście. Dlatego, że biedakom, którzy nic nie mają, przyjdzie zapłacić za nierówności społeczne. Tak nie wolno robić!". O aborcję i eutanazję prowadzący taktownie nie pytał.

Nazajutrz dziennik „Libero" zacytował kodeks karny Stolicy Apostolskiej: „Kto wejdzie na teren Watykanu siłą, groźbą lub podstępem, podlega karze więzienia od jednego roku do czterech lat i grzywny od 10 tys. do 25 tys. euro". Hmm... ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

eprasa.pl a8d4c013d5

ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

POD RĘKĘ Z RAFAŁEM

Niedawno wszystkich zaszokowała nagła przemiana Rafała Trzaskowskiego. Lubujący się dotychczas w muzyce alternatywnej polityk nagle, w trakcie kampanii prezydenckiej (przypadek!), polubił się z disco polo. Disco polo ucieleśnionym przez króla tej muzyki, Zenka Martyniuka. – Akurat w czwartek jechałem na koncert i zadzwonił do mnie ktoś ze sztabu Rafała Trzaskowskiego – pan Michał – prawdopodobnie jakiś doradca. Powiedział, że są w moich stronach i akurat wyjeżdżają do Bielska Podlaskiego, bo byli w Łomży, później Zambrowie i Wysokiem Mazowieckiem, a moja rodzinna miejscowość jest przecież 10 km od Bielska Podlaskiego. No więc powiedzieli, że będą w Bielsku na obiedzie, i mnie zaprosili. Ja mówię, że to świetnie się składa, bo też akurat wybieram się na obiad. No to spotkajmy się na chwilę, ok. godz. 14 – zaproponowali. No dobrze, to zajechaliśmy, pogadaliśmy chwilkę – opowiedział Plejadzie o kulisach spotkania z prezydentem Warszawy Martyniuk. – Rafał Trzaskowski to bardzo przyjemna, fajna osoba. Jesteśmy w podobnym wieku – no ja jestem trzy lata starszy od Rafała – ale pogadaliśmy sobie sympatycznie o muzyce. Wychowywaliśmy się przecież na tych samych piosenkach, słuchając Trójki i słynnej listy przebojów Marka Niedźwieckiego – relacjonował muzyk. Panowie mają wiele wspólnego. – Tak samo nagrywaliśmy piosenki z radia, potem się je odsłuchiwało. No i to tyle. To była taka króciutka rozmowa i każdy pojechał dalej w swoją stronę. Poza tym ja spotkałem tam dużo swoich znajomych, ponieważ był tam też marszałek województwa podlaskiego i wojewoda, to są przecież, można powiedzieć, moi sąsiedzi z Grabówki. Był też prezydent Białegostoku, pan Tadeusz Truskolaski, więc z każdym chwilę porozmawiałem i tak to wyglądało. Przecież się tutaj znamy – mówi lider zespołu Akcent. Zenek wie, że życie to są chwile, a skoro los chce grać w pokera, to trzeba wyczuwać wiatr zmian. Także tych politycznych.

FOT. ADAM BURAKOWSKI/DDTVN/EAST NEWS

WYROCZNIA MAROKAŃSKA

A wiatr wieje, aż czapki zrywa. Chociaż w tym przypadku raczej słomkowe kapelusze. Kinia Rusin (aktualna lokalizacja: Marrakesz) ostrzega przed Donaldem Trumpem. Inauguracja polityka na 47. prezydenta USA wywołała w celebrytce niemały niepokój. Jej zdaniem prezydentura Trumpa to niemalże pewna katastrofa dla Polski. „Cisza przed burzą. Trump i jego dzisiejsza inauguracja nawet w Marrakeszu jest tematem nr 1. Ale my w Europie boimy się bardziej. Grozi nam m.in. katastrofa gospodarcza z powodu zapowiadanych ceł, katastrofa militarna, jeśli Trump zechce odpuścić Putinowi, jeszcze większy zalew fake newsów, gdy politycy dadzą wolną rękę farmom trolli i botom pod pozorem wolności słowa. Oby te zapowiedzi okazały się nieprawdziwe, a moje obawy nieuzasadnione. Pierwsze decyzje nowego prezydenta USA już dziś, tuż po zaprzysiężeniu. Zapnijmy pasy" – alarmowała w dniu inauguracji na Instagramie. Żeby później nie było, Kinia nas ostrzegała.

OCZY NIE CAŁKIEM DOMKNIĘTE

Wesołych przygód Blanki Lipińskiej odcinek któryś tam. Autorka erotyków opowiedziała swoim fanom o zabiegach medycyny estetycznej, które przeszła w swoim życiu. Poddała się kilku poważnym operacjom plastycznym. „Wbrew pozorom ingerencji chirurga nie było u mnie jakoś niesamowicie dużo. Biust, powieki górne, torebki tłuszczowe w policzkach, renuvion (strata kasy)" – wyznała Blanka Lipińska. Dalej dodała, że aktualnie dąży do bardziej naturalnego wyglądu. Stąd decyzja o rozpuszczeniu wszystkich wypełniaczy w twarzy (Blania stosuje jedynie botoks). Okazuje się, że niektóre z operacji nie zakończyły się dobrze. Jedną z nich była blefaroplastyka powiek, czyli korekcja kształtu i wielkości tej części ciała. „Moje powieki to tragedia! Oczy mi się nie domykają, co po ponad roku od operacji spowodowało, że widzę dużo gorzej, niż widziałam (zwłaszcza na prawe oko). Blizny nadal bardzo widać, mimo wielu bardzo bolesnych zabiegów. Nie, nie polecam" – podsumowała Blanka Lipińska. Czyli Blania zawsze obserwuje. Zawsze.

JUSTI PATRIOTKA

14 lutego odbędą się polskie preselekcje do tegorocznego konkursu Eurowizji. Jedną z kandydatek jest diwa Justyna Steczkowska, która przygotowała utwór „Gaja". W programie „Pytanie na śniadanie" wokalistka podkreśliła wartość śpiewania w ojczystych językach na Eurowizji. – Tylko fragment refrenu jest po angielsku, bo kocham swój język i najlepiej się w nim wyrażam. On też pasuje do „Gai". To jest piosenka, która nosi w sobie słowiańskie korzenie – wyjaśniała gwiazda. – Moim mrugnięciem oka jest ten fragment po angielsku, żeby to było bardziej zrozumiałe dla tamtejszej publiczności. Uważam, że wszyscy powinni śpiewać w narodowych językach, bo kolorem świata jest to, że jesteśmy różni, to jest piękne. Każdy język ma swoją wibrację, temperaturę, energię – podsumowała Steczkowska. Ta rubryka jest od wbijania szpileczek, ale tym razem takowej nie będzie. Brawo dla tej pani! ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, z coraz większym przerażeniem zaczynamy obserwować to, co się dzieje wokół wyborów osoboprezydenckich. Nie dość, że znów wśród kandydatów dominują biali, zapewne heteroseksualni mężczyźni, to jeszcze poglądy, jakie oni reprezentują, są straszne, a część z nich po prostu odbiera powagę temu urzędowi.

Już nie chcemy mówić o ekstremach w osobach Mentzena i Brauna, bo wiadomo, jakie oni mają poglądy, i wstydzimy się je powtarzać. Dużym strachem napawa nas też obecność wśród kandydatów Krzysztofa Stanowskiego.

Of kors podzielamy zdanie autorytetów z czołówki polskiej polityki: to kandydatura śmieszna, nic nie znaczy politycznie, populistyczna, skrajnie nieodpowiedzialna i robiąca sobie nieprzystające żarty z polityki, która – wiadomo – jest poważna, nawet w krajowym wykonaniu.

Martwimy się jednak, iż po raz kolejny się okaże, że społeczeństwo nie dorosło do autorytetów i Stanowski odbierze głosy poważnym kandydatom. To znaczy jednemu poważnemu, czyli Rafałowi Trzaskowskiemu, bo Nawrocki to przecież niby kandydat obywatelski, ale jednak kryptopisowski, a cała reszta nie przekroczy pewnie 10 proc.

Jeżeli więc Stanowskiemu naprawdę zależałoby na dobru tego kraju, to po prostu by nie kandydował, iż nie osłabiałby sił rozwojowych i europejskich. Dlatego mamy nadzieję, iż nie zbierze tych 100 tys. podpisów.

Jakoś nie było do tej pory okazji, a tu przecież przez ten kraj przetoczyła się dyskusja o zapowiedzi gry „Wiedźmin 4". Of kors polskie janusze, do których dołączyły spocone kuce z polibudy spędzające życie na graniu w gry, oburzyły się, iż główną bohaterką gry będzie waginoosoba i że przecież „He, he he, jak to chłop ma babę grać?".

A my uważamy, że to of kors zmiana na dobre, ale nie tak daleko idąca, jak by mogła. Główna osoba protagonistyczna z gry mogła bowiem być osobą niebinarną, a fabuła mogłaby być skonstruowana wokół jenu (jego/jej) seksualności. Zamiast polować na potwory i je zabijać, mogłaby zaproponować im włączenie w społeczeństwo, zaoferować program resocjalizacyjny i wsparcie finansowe.

Wyobrażacie sobie reakcję graczy na takie zjawisko? Nie musicie, iż niestety jest ono znane – na całym świecie bowiem, jak się okazuje, środowisko to jest mocno jednorodne i wciąż jeszcze niegotowe na bardziej postępowe wątki w grach. A teraz, zwłaszcza po skandalicznych słowach Trumpa o liczbie płci, będzie pewnie o to jeszcze trudniej, iżby to środowisko się otworzyło.

Apropos Trumpa – chcieliśmy ogłosić, iż po tym, jak został zaprzysiężony, nie wybieramy się z tego kraju do Ameryki. Jeszcze półtora roku temu byśmy tak myśleli, ale sytuacja radykalnie się zmieniła i teraz my mamy tutaj bardziej postępowo niż Amerykanie u siebie.

Gdyby więc jakieś osoby z USA potrzebowały azylu politycznego, to zapraszamy. Wiemy, jak to jest w fashysmie, więc chętnie pomożemy, jak będzie trzeba. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Doktorat

Kasia, musimy jakoś to wytłumaczyć. Jak jest z tym twoim doktoratem?

Ale co tu wyjaśniać, Włodek? Nie mam.

Ale mówiłaś, że piszesz.

Bo jestem w trakcie.

No ale jak w trakcie, skoro się okazuje, że nawet magisterki nie masz?

A jaki to problem? To nie można sobie pisać doktoratu na zaś?

Jak kiedyś zrobię magistra, to doktorat już będę mieć gotowy.

Niby tak... A skoro piszesz, to ile tego już masz?

Dwie strony. Tytułową i tę pustą, oddzielającą.

No to jak: w trakcie?!

A podaj mi definicję pojęcia „w trakcie". ©℗ ***Łukasz Warzecha***

OD RZECZY

„Zaczną się zaraz deportacje, już się niektórzy górale obawiają".

JUSTYNA DOBROSZ-ORACZ, *dziennikarka TVP, w TVP Info o obecnej sytuacji Polaków w USA*

eprasa.pl a8d4c013d5

TRUMP 2.0. REWOLUCJA ZDROWEGO ROZSĄDKU

Oczy całego świata zwrócone były w poniedziałek na Waszyngton, gdzie Donald Trump powtórnie złożył przysięgę i oficjalnie został 47. prezydentem USA. W przemówieniu inauguracyjnym oznajmił, że rozpoczęły się „rewolucja zdrowego rozsądku" i „złoty wiek Ameryki".

Drugą kadencję Trump rozpoczął bardzo aktywnie. W pierwszym tygodniu urzędowania podpisał rozporządzenia wykonawcze wprowadzające stan wyjątkowy na granicy z Meksykiem, umożliwiające wysłanie dodatkowych wojsk do walki z nielegalną imigracją, ułaskawiające wszystkich skazanych za szturm na Kapitol, wstrzymujące egzekwowanie ustawy o TikToku, a także znoszące prawo ziemi (sąd federalny w Seattle zdecydował jednak w czwartek o tymczasowym zawieszeniu obowiązywania tego rozporządzenia).

Czterdziesty siódmy prezydent USA zdecydował także m.in. o wyjściu USA ze Światowej Organizacji Zdrowia (WHO), likwidacji barier dla rozwoju kryptowalut, o zniesieniu ograniczeń w wydobyciu gazu i ropy, a także ogłosił zamiar doprowadzenia do „dominacji USA w sztucznej inteligencji". Podpisał również rozporządzenie o odtajnieniu dokumentów na temat zabójstw Johna i Roberta Kennedych oraz Martina Luthera Kinga Jr. ***(jap)*** ©℗

FOT. CHIP SOMODEVILLA/AP/EAST NEWS

eprasa.pl a8c4c013d5

„Memogenna" wizyta prezydenta Warszawy w lokalnym sklepie w Łomży, gdzie Trzaskowskiego między półkami oprowadzała ekspedientka

FOT. MAREK MALISZEWSKI/REPORTER

Trzask! I po prezydenturze?

Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Rafał Trzaskowski z kandydata, który ma wygraną w wyborach prezydenckich w kieszeni, staje się kandydatem nieoczywistym, co przyznają nawet sprzyjający mu eksperci. Stąd coraz częstsze głosy o możliwej „podmiance"

Dwa sondaże prezydenckie z pierwszej połowy stycznia wywołały panikę w sztabie Rafała Trzaskowskiego. Według badania pracowni Opinia24 dla RMF FM w ciągu miesiąca poparcie dla kandydata KO spadło o prawie 9 p.p. Oddanie głosu na Trzaskowskiego zadeklarowało 29,8 proc. respondentów w porównaniu z 38,6 proc. w poprzednim badaniu. Na drugim miejscu uplasował się wspierany przez PiS Karol Nawrocki, na którego zagłosować chciało 22,6 proc. (spadek o 0,7 p.p.). „Święta nie były dobrym czasem dla Rafała Trzaskowskiego. W miesiąc stracił aż dziewięć punktów poparcia. W pierwszej turze spadło mu (zaokrąglając) z 39 proc. do 30 proc. Zyskał za to Sławomir Mentzen" – skomentował dziennikarz RMF FM Krzysztof Berenda.

Analitycy Opinii24 wskazali, że powodem spadku poparcia dla prezydenta Warszawy jest rosnąca grupa niezdecydowanych, do której przeszły kobiety. W ten sposób podważono coś, co dotychczas wielu (ze strony liberalno-lewicowej) brało za pewnik – że Polki, dla których priorytetem jest legalna aborcja, masowo zagłosują na Trzaskowskiego. Tymczasem niepewność co do politycznych preferencji kobiet wywołała niezrozumienie i frustrację. – Myślę, że to jest z jednej strony ta część elektoratu, która jest przywiązana do tradycyjnych ról, gdzie to mężczyzna, głowa rodziny, decyduje, jakie kto ma poglądy polityczne. To jest pewna stała, nie odkrywam tutaj żadnej Ameryki – tak ten trend próbował tłumaczyć europoseł Bartłomiej Sienkiewicz.

Kolejny sondaż, tym razem przeprowadzony przez państwowy CBOS, uruchomił kolejny dzwonek alarmowy w otoczeniu Trzaskowskiego. „Rafał Trzaskowski może liczyć na 35 proc. głosów, a Karol Nawrocki – 31 proc." – wynikało z badania. Trzeci w sondażu jest Sławomir Mentzen, a za nim Szymon Hołownia. Deklarowana w badaniu frekwencja jest bardzo wysoka – to aż 89 proc. Problemem dla sztabu kandydata KO jest też styczniowy rankingu zaufania IBRiS przygotowany dla Onetu. Choć Trzaskowski utrzymał się na czele z wynikiem 41,2 proc. (19,6 proc. zdecydowanie mu ufa, 21,6 proc. raczej ufa), to zanotował spadek o 4,5 p.p. w porównaniu z poprzednim miesiącem. Złe zdanie o wiceszefie PO ma 50,7 proc.

eprasa.pl a8d4c013d5

badanych (+2 p.p.), a neutralne 8,1 proc. (+2,7 p.p.). Onet zauważa, że ostatni raz liczba negatywnych odpowiedzi dotyczących Trzaskowskiego przekroczyła 50 proc. w czerwcu 2023 r. Na drugim miejscu w rankingu zaufania jest urzędujący prezydent z wynikiem 41 proc. zaufania (20,7 proc. zdecydowanie ufa Andrzejowi Dudzie, 20,3 proc. raczej ufa). Spadek jest niewielki, bo o 0,2 p.p.

Niepokój w Platformie musi budzić trzecie miejsce – na „pudło" wskoczył bowiem Karol Nawrocki. Obecnie cieszy się on zaufaniem 38,5 proc. badanych (21,7 proc. zdecydowanie mu ufa, 16,8 proc. raczej ufa). To wzrost o 5,3 p.p. w porównaniu z poprzednim sondażem. Kandydata obywatelskiego negatywnie ocenia 45,3 proc. respondentów (–1,7 p.p.), a neutralnie 10,8 proc. (+3 p.p.). Odpowiedzi „nie znam" udzieliło tylko 5,4 proc. pytanych, w porównaniu z 12 proc. w grudniu. Nawrocki zyskuje rozpoznawalność i przestaje być anonimowy – to sukces jego sztabu, który w kampanijnym planie podzielonym na kilka etapów etap pierwszy określał właśnie jako czas budowania rozpoznawalności prezesa IPN.

DOBRA MINA DO ZŁEJ GRY

Topniejące poparcie to ogromny problem dla kandydata KO i jego otoczenia. Fakt, że do wyborów prezydenckich jeszcze grubo ponad trzy miesiące, wcale nie stanowi pocieszenia, a wręcz przeciwnie. Czas gra na korzyść rywali Trzaskowskiego, bo na razie kampania polityka to seria wpadek i wtop wizerunkowych. Było nagranie skopiowane niemalże 1:1 od byłego premiera Wielkiej Brytanii Rishiego Sunaka. Była też „memogenna" wizyta prezydenta Warszawy w lokalnym sklepie w Łomży, gdzie Trzaskowskiego między półkami oprowadzała ekspedientka. Kupowanie chleba w tłumie fotoreporterów wywołało lawinę kpin. „Rafał potrzebował w sklepie osiedlowym przewodnika" – skomentował jeden z internautów. Ktoś inny napisał: „Nie wierzę w to. To nie może być prawda. Pan Rafał w ramach kampanii pokazuje, że nie jest w stanie sam zrobić zakupów. Musi mu kobitka pomóc, pokazać, gdzie chleb, a gdzie jaja".

Szybko zaczęły pojawiać się spekulacje o ewentualnej wymianie kandydata, które chętnie podłapał sztab Nawrockiego. „Musimy być gotowi na wariant z wymianą Rafała Trzaskowskiego na innego kandydata. Przygotowujemy się też na taką opcję" – napisał szef sztabu Paweł Szefernaker.

Otoczenie Trzaskowskiego robi dobrą minę do złej gry i przekonuje, że spadki w sondażach były do przewidzenia. Jak twierdzą współpracownicy kandydata KO, Karol Nawrocki jako nowa postać na scenie politycznej będzie budził zainteresowanie i zyskiwał w sondażach. – Mówiłem od samego początku o tym, że te sondaże będą się wyrównywać, a walka wyborcza będzie bardzo zacięta. Tego się można było spodziewać, to oczywiście nas dopinguje do jeszcze bardziej wytężonej pracy. Przed nami prawie pięć miesięcy trudnej kampanii wyborczej. Tego się dokładnie spodziewaliśmy – komentował sam Rafał Trzaskowski.

Również Donald Tusk próbuje tonować emocje. – Wielokrotnie powtarzałem: niech się nikt nie czuje faworytem w wyścigu prezydenckim. Sondaże na początku były obiecujące, ale ja to powtarzałem, Rafał Trzaskowski był tego samego zdania: ta walka o prezydenturę to walka o dwie zupełnie inne wizje tego, jaka Polska ma być, to będzie ciężki bój o każdy głos – stwierdził premier. – Trzeba będzie starać się, walczyć, błagać, przekonywać każdego bez wyjątku w Polsce, jeśli myśli się o wygraniu tych wyborów. Ja się spodziewałem, że to bardzo szybko będzie się zrównywało. Pytanie, jak będzie wyglądała proporcja głosów, jeśli chodzi o trzecie, czwarte miejsce – to będzie miało znaczenie dla polskiej polityki. Tam można spodziewać się zaskoczeń, nie mam wątpliwości. Ja wierzę, że przewaga Trzaskowskiego zostanie utrzymana – podsumował premier, lider PO.

Nie wszyscy politycy obozu rządzącego chcą pogodzić się z utratą poparcia przez Trzaskowskiego. „Jeden z ministrów przed chwilą w TVN24 stwierdził, że »sondażowa smuta« (określenie prowadzącego) i gorsze nastroje Polaków to wynik m.in. krótszego dnia w zimę" – napisał na X Michał Wróblewski z Wirtualnej Polski.

Socjolog z PAN prof. Henryk Domański uważa, że podmiana kandydata jest mało prawdopodobna, jednak gdyby do niej doszło, wskazuje na Tuska. – Kto może być alternatywą PO w wyborach? Ktoś, kto przekonałby elektorat, przede wszystkim samą PO, że ma większe szanse, szanse wzniesienie się ponad efekt sufitu. Donald Tusk kimś takim nie jest i o tym wie, bo gdyby tak nie było, to nie Rafał Trzaskowski byłby kandydatem, tylko on sam. Musiałyby zaistnieć takie okoliczności, które przekonałyby Tuska, że Trzaskowski, który wyprzedza go o dwa razy, jeśli chodzi o szanse, jest gorszy. To rzecz prawie nie do zrobienia, prawie, chociaż Tusk nie takie rzeczy potrafił robić. Trzeba byłoby przekonać elektorat, że taka zmiana jest uzasadniona. Taka wymiana mogłaby się dokonać, gdyby dr Nawrocki zbliżał się do Trzaskowskiego w bardzo szybkim tempie – analizował ekspert na antenie Radia Wnet.

Topniejące poparcie to ogromny problem dla kandydata KO i jego otoczenia. Fakt, że do wyborów prezydenckich jeszcze grubo ponad trzy miesiące, wcale nie stanowi pocieszenia, a wręcz przeciwnie

„RAFAŁ MUSISZ!", „RAFAŁ, MOŻESZ?"

O tym, jak duża panika zapanowała w otoczeniu kandydata KO, może świadczyć wywiad udzielony „Gazecie Wyborczej" przez socjologa, szefa Instytutu Filozofii i Socjologii PAN prof. Andrzeja Rycharda. „Gdyby taki trend się utrzymał, to mogłoby świadczyć o ewolucji – Rafał Trzaskowski z kandydata oczywistego staje się kandydatem nieoczywistym. Z kandydata, który musi wygrać, staje się kandydatem, który może wygrać" – mówi prof. Rychard o słabych sondażach. Wprost przyznaje, że przegrana jest możliwa. „Od początku mówiłem, żeby nie lekceważyć Nawrockiego, ale oczywiście z samego faktu, że się kogoś nie lekceważy, jeszcze nie wynika, że ma się dobrą kampanię […]. Widzimy, że Nawrocki jest absolutnie oczywistym kandydatem dla

eprasa.pl a8d4c013d5

swojego elektoratu. Trzaskowskiemu jest coraz trudniej tę oczywistość pokazać, a w każdym razie to musi być jego główne zadanie" – podkreślił sprzyjający Trzaskowskiemu socjolog.

Następnie wyliczył trudności, które stoją przed kandydatem. „Domniemanym hasłem wyborczym ma być domknięcie zmiany. Po pierwsze, moim zdaniem, domknięcie to trochę za mało. Potrzebne jest otwarcie na coś nowego, coś bardziej pozytywnego. Po drugie, domknięcie zmian nie musi być zawsze produktywne jako przekaz, może być kontrproduktywne, ponieważ zmiany są różnie oceniane. Ich skuteczność, to, co się często nazywa sprawczością nowej władzy, jest różnie oceniana. Zatem jeśli Trzaskowski ma to domykać, to niekoniecznie wiadomo, czy domykanie czegoś, co nie jest jednoznacznie entuzjastycznie oceniane, stanie się wystarczającym hasłem do mobilizacji elektoratów" – wskazał.

Profesor Rychard radzi, aby prezydent Warszawy uruchomił swoje kontakty samorządowe. „To pozwoli mu być może się odklejać od wizerunku chłopca z Warszawy i z elit warszawskich, jeżeli to będzie dobrze zrobione. Bo samo powtarzanie, że Trzaskowski jest ważny dla samorządu, nie wystarcza. Musi znaleźć język, w którym będzie potrafił powiązać samorządy z Polską, jeśli tak można powiedzieć, to znaczy nadać ogólnopolskie znaczenie swojej sile samorządowej" – podkreślił rozmówca „GW". Profesor Andrzej Rychard wyraził nadzieję na „przebudzenie". „Pamiętajmy, że niezależnie od tego, czy i jakie pieniądze PiS dostanie, to jego tzw. obywatelski kandydat dostaje i dostawać będzie nieprawdopodobnie jednoznaczne wsparcie od PiS. Trzaskowski ma inną sytuację, nie dostanie wsparcia koalicji 15 października. Trzecia Droga wystawia swojego kandydata, a lewica – dwóch. Nie wszystkie ich głosy pójdą w II turze na Trzaskowskiego" – powiedział.

CO ZAWIODŁO?

Diagnoz dotyczących niełatwej sytuacji kandydata KO jest wiele i są często ze sobą sprzeczne. „Problem Trzaskowskiego w tej kampanii polega na tym, że na razie walczy z Trzaskowskim z kampanii 2020 i na razie przegrywa z kretesem" – ocenił Łukasz Pawłowski, prezes firmy badawczej OGB. Z kolei „Newsweek" w mocno krytycznym tonie zarzuca włodarzowi stolicy odejście od lewicowo-liberalnych wartości i próbę „łowienia" wyborców prawicowych. „Sposobów na ucieczkę od łatki lewicowca jest w kampanii Trzaskowskiego już multum – od przyznawania się do głupoty, gdy bawiły go górnicze sztandary, do chęci fetowania tysięcznej rocznicy koronacji Polski. A przede wszystkim gryzie się w język. Czegóż się nie robi dla blasku żyrandola?" – podsumowano ironicznie.

Marek Migalski na łamach „Rzeczpospolitej", w przeciwieństwie do wielu, radzi Trzaskowskiemu jeszcze mocniejsze „sklejenie się" z rządem. „Kandydat Koalicji Obywatelskiej ma szanse na zwycięstwo, jeśli będzie przedstawiał się jako reprezentant obecnego obozu rządzącego. Czyli będzie robił dokładnie odwrotnie, niż podpowiadają mu jego obecni doradcy" – czytamy. Analizując wyniki poparcia dla partii koalicyjnych, Migalski pisze: „Trzaskowski ma największe szanse na wygraną nie wówczas, gdy będzie przedstawiał się jako kandydat niezależny, ale jako zwornik obecnego układu rządowego, ktoś reprezentujący całą koalicję 15 października, patron anty-PiS. Postawmy sprawę jasno – sztab Trzaskowskiego powinien całkowicie zaakceptować narrację PiS na swój temat, czyli zgodzić się z zarzutem, że będzie domknięciem systemu, ostatnim brakującym ogniwem łańcucha »koalicji 13 grudnia«, patronem nowego układu". Właśnie tak powinien prowadzić swoją kampanię, tyle tylko, że musi odwrócić aksjologiczne wektory tej narracji. Tak, będzie domknięciem układu, bo tylko w ten sposób można będzie rozliczyć bezeceństwa PiS. Tak, będzie ostatnim ogniwem rządowego łańcucha, bo to najlepszy sposób, by wprowadzić wszystkie zapowiedziane reformy. Tak, będzie patronem nowego układu, bo tylko w ten sposób można zrealizować 100 konkretów Tuska i inne kampanijne obietnice" – zaleca publicysta.

Trudną pozycję lidera sondaży dostrzega też „Polityka", która piórem Jakuba Majmurka ocenia: „Pozycja wiecznego lidera ściganego przez peleton wcale nie jest tak wygodna dla kandydata, jak mogłoby się wydawać. Ciągła, długotrwała przewaga w sondażach może łatwo uśpić jego zwolenników, przekonać ich, że wyścig jest już rozstrzygnięty i nie ma sensu mobilizować się na wybory. Gdy wieczny faworyt nagle zaczyna być przeganiany przez kogoś z grupy pościgowej, to bardzo trudno jest mu odwrócić tę dynamikę – o czym boleśnie przekonał się Bronisław Komorowski między pierwszą a drugą turą wyborów prezydenckich dekadę temu". Majmurek wylicza wyzwania stojące przed Trzaskowskim: kluczowe to „mobilizacja własnych wyborców, demobilizacja elektoratu PiS i Konfederacji oraz wyjście poza własną polityczną niszę, czyli przyciągnięcie w drugiej turze choć części bardziej zachowawczego elektoratu". Są to zalecenia zupełnie odwrotne od tych formułowanych m.in. przez „Newsweek" i Migalskiego. Majmurek dodaje, że kandydat KO musi zredefiniować swoje relacje z rządem, czyli de facto zacząć się od niego odcinać.

W jednym z wywiadów Bronisław Komorowski postawił pod znakiem zapytana swoje poparcie dla Trzaskowskiego

Podobnie uważa Bronisław Komorowski, który nie wiedzieć dlaczego wypowiada się w roli autorytetu do spraw prowadzenia kampanii prezydenckiej. – Rafałowi Trzaskowskiemu na pewno by służyło dobrze, gdyby zaznaczył swoją taką pełną autonomię i dzisiaj, i na przyszłość w stosunku do rządu poprzez np. mówienie tego, że coś by zrobił inaczej, że np. coś mu się nie podoba, że będzie czemuś się przeciwstawiał, że będzie miał inne propozycje – przekonuje były prezydent. Co ciekawe, w jednym z wywiadów Komorowski postawił pod znakiem zapytana swoje poparcie dla Trzaskowskiego. Zaznaczył, że w drugiej turze głosowania „na pewno" odda głos na kandydata obozu demokratycznego. – To mi w sercu gra. Mnie Lewica nie gra, więc zostają dwie postaci: Trzaskowski i Hołownia. Ale nie chcę żadnemu szkodzić – wyjaśnił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Trzaskowski na fałszywą nutę

Piotr Semka

Rafał Trzaskowski nie znalazł żadnego nowego pomysłu na kampanię. Zapamiętał jedynie, że pięć lat temu popełnił błąd, nie decydując się na debatę z Andrzejem Dudą w prowincjonalnym mieście Końskie. Wyciągnął z tego wniosek, że na zasadzie prostego odwrócenia znaków musi teraz zachowywać się tak, aby Polska powiatowa go pokochała. Efekt jest groteskowy. Jedno jest już pewne. Platforma wybrała bardzo słabego kandydata i zmarnowała ostatnie pięć lat

Styczniowe sondaże kandydata Koalicji Obywatelskiej nie zachwycały. Minorowe nastroje w sztabie Tuska mógł nieco polepszyć sondaż z 20 stycznia Instytutu Badań Pollster dla „Super Expressu". Wskazywał on że w I turze Trzaskowski może otrzymać 37 proc. głosów, a Nawrocki tylko 27 proc.

Ten promyk nadziei zbiegł się w czasie z opublikowaniem wspólnego filmiku Rafała Trzaskowskiego z Zenonem Martyniukiem. Sugestia wsparcia kandydata Koalicji Obywatelskiej przez niegdysiejszego gwiazdora TVP Jacka Kurskiego zachwyciła elektorat Silnych Razem. Tomasz Lis uznał, że pozyskanie Martyniuka do wspólnego klipu porównać można z sukcesem „ściągnięcia po cichu chorągwi konkurencyjnego zastępu na obozie harcerskim". Lis okrasił swój wykład odśpiewaniem jednego ze szlagierów Martyniuka.

Zwolennicy Platformy ogłosili, że Trzaskowski znów ma dobrą passę. Jak zadeklarował sam zainteresowany, rozpoczyna on właśnie objazd po 150 punktach w kraju, we wszystkich 16 województwach. Czy uspokoiło to jednak publicystów z obozu Platformy?

TRZYMAĆ KURS, NIE PĘKAĆ?

„To, co w kampanii robi Trzaskowski, to ścieżka Kwaśniewskiego, zwrot do klasy ludowej" – z takim optymistycznym przekazem wystąpił ostatnio socjolog Wojciech Rafałowski. Powołał się on na wspólny klip kandydata KO z gwiazdą disco polo Zenonem Martyniukiem jako dowód na nowy etap kampanii włodarza Warszawy.

Socjolog wskazywał, że odejście od wizerunku prezydenta wielkiego miasta, pokazywanie się w miejscach kojarzonych bardziej z prawą stroną polityczną to nie pojedyncze przypadki, a przyjęta strategia sztabu. Było tych ukłonów wobec prawej strony już stosunkowo wiele. Wizyty na grobie ks. Józefa Tischnera oraz z – Lechem Wałęsą – na grobie Jerzego Popiełuszki pasowały do innych wcześniejszych gestów, tańców Trzaskowskiego z Kołem Gospodyń Wiejskich w Koziej Woli czy kokietowania elektoratu wiejskiego.

„To w pewnym sensie ścieżka Kwaśniewskiego [w kampanii 1995 r. – przyp. P.S.], który wprawdzie nie szedł w prawo, ale zwracał się do ludzi spoza warszawskiej elity, klasy średniej [...]. Trzaskowskiemu spotkanie z Zenkiem Martyniukiem przynosi korzyść. Prezydent Warszawy jest postrzegany jako światowy, sympatyczny, ciepły człowiek i teraz, fotografując się z piosenkarzem disco polo, wcale temu nie przeczy" – argumentuje Rafałowski.

Ale w obozie kibiców PO znacznie częściej można było usłyszeć głosy niepokoju. Można je określić hasłem: „Trzaskowski na siłę uparł się udawać kogoś, kim nie jest".

Publicysta „Gazety Wyborczej" Michał Wojtczuk zadaje pytanie: „Jak daleko w prawicowej retoryce może posunąć się Trzaskowski, nie gubiąc wielkomiejskiego liberalnego wyborcy? Czy nadal jeszcze będzie ten wyborca miał motywację, by pójść do wyborów w drugiej turze?". I dalej: „Czy nie powtórzy się bunt z 2015 r., gdy lewicowi wyborcy z rezygnacją wzywali do dopisywania na karcie wyborczej »sarny z krzesłem na głowie«? Bo uważali, że nie ma dla nich oferty ani od Bronisława Komorowskiego, ani od Andrzeja Dudy". Wojtczuk przestrzega: „To niebezpieczny szpagat".

Jeszcze bardziej krytyczny był głos publicysty Rafała Madajczaka ze strony Gazeta.pl. „Nikt nie potrzebuje kampanijnego Rafała Trzaskowskiego. Kampania Rafała Trzaskowskiego potrzebuje prawdziwego Trzaskowskiego. Dlaczego Trump mógł mówić wszystko, co zapragnął? Dlaczego pochwała kibicostwa ze strony Karola Nawrockiego mu nie szkodzi? Bo w dzisiejszej polityce wiarygodność buduje się przez autentyczność. Nie strojenie fałszywych min do grup focusowych. Mydłkowaty, skierowany niby do wszystkich pic jest drogą donikąd".

Swoje ostrzeżenie przed przechyłem w prawo kandydata KO zgłosiła też oczywiście lewicowa Krytyka Polityczna. Słowa Katarzyny Przyborskiej, zwracającej się wprost do Trzaskowskiego, brzmią jak pogróżka: „Elektorat demokratyczny wiele zrozumie i bardzo nie chce powrotu PiS do władzy. Ale jeśli będzie pan przez kolejne miesiące udowadniał, że nie ma

eprasa.pl a8d4c013d5

większych różnic miedzy KO i PiS, to wreszcie w to uwierzymy".

CZY TRZASKOWSKI MA WIZJĘ?

Jednak nie tylko ukłony w kierunku prawicy wywołują niepokój w obozie sprzyjającym KO. Zadawane są znacznie bardziej generalne pytania, jak np.: Czy Trzaskowski w ogóle ma jakiś program? W tej kwestii głos na swym blogu zabrał Wiesław Władyka – nestor publicystów „Polityki". „Racja stanu. Nawrocki jakąś wizję ma. Czy Trzaskowski umie się jej przeciwstawić?". I dalej: „Kandydat prezydencki musi się wykazywać kompetencją, drobiazgową wręcz wiedzą i pokazywać, że wie, że ma poglądy, a nawet własne pomysły. Zwłaszcza gdy rządzą jego koledzy".

Gorzka ocena Wiesława Władyki dobrze pokazuje narastające w obozie III RP odkrycie, że Trzaskowski przeszedł do nowej kampanii prezydenckiej bez żadnych istotnych przemyśleń, że nie sposób zauważyć jakiegoś rozwoju polityka w ciągu pięciu lat od ostatniej lekcji w 2020 r. Organizowane przez Trzaskowskiego campusy były efektowne, ale niezbyt mocno wpłynęły na pomysłowość kandydata. Odkrycie, że prezydent Warszawy te pięć lat zmarnował i roztrwonił, było tak silne, że Władyka zdobył się nawet na niechętne przyznanie, iż Nawrocki jakąś wizję racji stanu ma. Takie pośrednie pochwały polityków prawicy zdarzają się tylko w momentach największego rozgoryczenia publicystów liberalnych.

Ciekawa była też analiza problemów Trzaskowskiego pióra Leszka Jażdżewskiego – redaktora naczelnego „Liberté!" oraz organizatora igrzysk wolności w Łodzi. Jażdżewski przestrzega: „Emocja anty-PiS przestanie działać przed wyborami prezydenckimi [...]. O ile w czasach opozycyjnych antypisowska emocja miała sens, bo gromadziła pod sztandarami przeciwników obecnej władzy, o tyle w czasach rządzenia budowanie poparcia na zasadzie kontrastu do bezsilnej opozycji ma ograniczenia. Nie aż tak wielu ludzi ma powody, żeby interesować się tym, co na konferencji prasowej ogłaszają Kaczyński czy Błaszczak".

Jażdżewski wskazuje też, że wizerunek polityka nie jest z plasteliny. Nie można go dowolnie rozciągać i na nowo lepić.

Opublikowanie wspólnego filmiku Rafała Trzaskowskiego z Zenonem Martyniukiem (z lewej) zachwyciło elektorat Silnych Razem. Tomasz Lis uznał, że pozyskanie Martyniuka do wspólnego klipu porównać można z sukcesem „ściągnięcia po cichu chorągwi konkurencyjnego zastępu na obozie harcerskim" FOT. RAFAŁ TRZASKOWSKI/FACEBOOK

„Trzaskowski ma brandy silne i ustabilizowane. Od 2020 r. jest zwykle w czołówce polityków o największej rozpoznawalności i zaufaniu. To ogromny atut, a także obciążenie. Nie pozwala to dowolnie opowiadać siebie. Można być seksistą, rasistą, a nawet przestępcą – skojarzenia z wyborami w USA są w pełni uprawnione – ale nie można grać na fałszywą nutę. To, że Nawrocki robi pompki, nie oznacza, że Trzaskowski ma cisnąć przysiady. Ludzie i tak zawsze wybiorą oryginał".

Minorowo brzmi też teza Jażdżewskiego, że kampanii kandydata KO nie sprzyja fakt, iż dziś to prawica jest sprawniejsza w sieci i to ona umiejętnie wybiera pola sporów. Co na to w opinii Jażdżewskiego obóz III RP? „Strona liberalno-progresywna zachowuje się jak marudna ciotka, która nie nadąża. Czepia się, ma pretensje, za to nie ma nic atrakcyjnego do powiedzenia". I dalej: „Trudno się dziwić, że młodzi i ci przed czterdziestką znudzili się słuchaniem tego ględzenia. Pojawiają się opór, szydera, wzruszenie ramion i rozglądanie za kimś, co zrobi na przekór".

Redaktor naczelny „Liberté!" jako jedyny w swoim obozie zauważa, że dziś środowisko liberalne zaczyna się kojarzyć z represją i cenzurą, co także może wpłynąć na realia kampanii Trzaskowskiego. Że na naszych oczach umiera przekonanie o nieuniknionym charakterze liberalnego pojęcia postępu. „Być może największym osiągnięciem prawicy jest wmówienie wyborcom, że poszerzanie indywidualnych praw i wolności im zagraża. Że jest działaniem w istocie wolność ograniczającym. Wcześniej, aż do końca lat 60., emancypacja szła na kontrze do utartych konserwatywnych kanonów zachowań [...]. Dziś w odbiorze społecznym narzuca ją medialny i polityczny establishment. Próby zawstydzania przynoszą skutki odwrotne do zamierzonych. W sieci to prawica jest siłą kontrkulturową, czer-

eprasa.pl a8d4c013d5

piącą siłę z łamania nieprzystających do rzeczywistości norm".

To ostatnie zdanie Jażdżewskiego po stanięciu w szranki wyborcze Krzysztofa Stanowskiego nabiera dodatkowego znaczenia. Twórca Kanału Zero może sprzątnąć sprzed nosa elektorat w wieku 18–25 lat, na który tak liczy sztab kandydata KO, a niegdyś liczył Szymon Hołownia.

A sam Trzaskowski nie umie trzymać nerwów na wodzy, co pokazał jeden z jego niedanych wieców, na którym z irytacją rugał młodego człowieka pytającego o alians C40 (czyli o, jak sami o sobie piszą, „globalną sieć burmistrzów wiodących miast świata, którzy zjednoczyli się w działaniu, by stawić czoła kryzysowi klimatycznemu").

CIĄGŁE NAGRADZANIE LENIA

Niezapomniany duet Jeremi Przybora i Jerzy Wasowski śpiewał: „I znaleźliśmy się w wieku trudna rada / Że się człowiek przestał dobrze zapowiadać / Ale za to z drugiej strony cieszy się / Że się również przestał zapowiadać źle". Wszystko wskazuje na to, że Rafał Trzaskowski jest wyjątkiem od tej wyśpiewanej reguły. To, że się przestał dobrze zapowiadać, nie znaczy, że się przestał zapowiadać źle.

Tak naprawdę to długie lata środowiskowego przekonania, że się „dobrze zapowiada", oduczyły go pracy nad sobą i przyzwyczaiły do bierności. Nie widać w wypowiedziach kandydata PO żadnej różnicy między Trzaskowskim z kampanii 2020 r. i tym obecnym. Żadnych nowych ciekawych pomysłów, doświadczeń życiowych czy przemyśleń. Trzaskowski uznał, że obecna kampania to jedynie odroczone w czasie dokończenie pojedynku sprzed pięciu lat. Nie zauważył, jak wiele rzeczy się w tym czasie zmieniło.

Jego przekonanie, że ma zagwarantowany start w wyborach w 2025 r., mogło być też skutkiem powrotu do Polski Donalda Tuska. Trzaskowski zrezygnował wówczas ze startu na szefa PO. Nasuwa się podejrzenie, że został skłoniony do tego obietnicą Tuska, że to on wystartuje w najbliższych wyborach prezydenckich. A skoro Trzaskowski był pewny, że ma nominację w kieszeni, to po co było się starać i uczyć się czegoś nowego? Na dodatek jesienią 2023 r. obecny prezydent Warszawy mógł zakładać, że wynik wyborów do Sejmu 15 października może być w obu wypadkach dla niego korzystny. Albo mógł wygrać PiS i zacząć trzecią kadencję rządów – i wtedy wielu wyborców mogłoby chcieć dla równowagi wybrania prezydenta z opozycji. Albo mogła wygrać Platforma, a wtedy – jak mógł założyć Trzaskowski – sukces nowego rządu i marginalizacja opozycji doprowadzą do sytuacji, w której wygrana prezydencka Platformy będzie jeszcze łatwiejsza.

Tyle że w ciągu minionego roku prawie nic nie poszło tak, jak przewidywali liderzy PO. PiS nie dał się podzielić, rozbić i zastraszyć, a skok na media publiczne nie przyczynił się do wszechwładzy medialnej ekipy Tuska. Na dodatek Trzaskowski nie mógł rok temu przewidzieć, że tak szybko pogorszą się nastroje społeczne i notowania rządu. Owszem, nie oznaczałoby to sytuacji bez wyjścia, gdyby Trzaskowski znalazł jakiś nowy pomysł na oś sporu w kampanii. Ale Rafał takiego pomysłu nie znalazł. Zapamiętał jedynie, że pięć lat temu popełnił błąd, nie decydując się na debatę z Andrzejem Dudą w prowincjonalnym mieście Końskie. Wyciągnął z tego wniosek, że na zasadzie prostego odwrócenia znaków musi teraz zachowywać się tak, aby Polska powiatowa go pokochała. Tyle że jeśli robi się to z tygodnia na tydzień, to efekt jest groteskowy. Niestety, działania w zmieniającej się sytuacji nikt Trzaskowskiego na żadnym campusie nie nauczył.

Nie oznacza to oczywiście, że jest on już jednoznacznie skreślony. Kampanie wyborcze to okres ciągle zmieniających się pułapek i wyzwań. Na dodatek pogarszająca się sytuacja sondażowa Trzaskowskiego może skłonić Donalda Tuska do polityczno-policyjnych ingerencji w wybory. Ale jedno jest już pewne: Platforma wybrała bardzo słabego kandydata i zmarnowała ostatnie pięć lat na sprawdzanie, czy ów kandydat wzrasta dzięki wyzwaniom. Bo większość tego czasu najzwyczajniej roztrwonił.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Z dr. Karolem Nawrockim, kandydatem obywatelskim wspieranym przez PiS na prezydenta RP, prezesem IPN
rozmawia Karol Gac

Nie mam planu B. Celem jest zwycięstwo

KAROL GAC: We wrześniu rozmawiał pan z „Do Rzeczy" (nr 37/2024) jako prezes IPN. Teraz jest pan dodatkowo kandydatem obywatelskim, popieranym przez PiS, w wyborach prezydenckich. Kiedy po raz pierwszy pojawił się temat pana kandydatury?

DR KAROL NAWROCKI: Sam osobiście pomyślałem o tym po 100 dniach rządu Donalda Tuska. Okazało się wówczas, że obietnice złożone w kampanii wyborczej nie zostały zrealizowane, jest problem z budową CPK, opóźniana jest elektrownia jądrowa. Moim motywatorem była też moja żona.

I co pan wtedy pomyślał? „Polsce się nie odmawia" – jak pan często mówi?

Przede wszystkim pomyślałem o zadaniu, o tym, że Polsce należy się ciężka praca jej liderów. Miałem wówczas wątpliwości, czy sytuacja, w której znaleźliśmy się po 13 grudnia, służy naszej ojczyźnie. Na pierwszym miejscu musi być troska o dobre życie Polaków, a nie zajmowanie się samym sobą przez polityków i skupienie tylko praktycznie na likwidacji przeciwnika.

Kto się do pana zwrócił w sprawie kandydowania? Jarosław Kaczyński?

O Polsce rozmawialiśmy wielokrotnie. O kandydaturze w listopadzie, gdy Prawo i Sprawiedliwość zdecydowało o poparciu mojej kandydatury jako obywatelskiego kandydata na prezydenta.

Po raz pierwszy na tzw. giełdzie nazwisk pojawił się pan w okolicach lipca. Później pana kandydatura zniknęła, by wrócić na ostatniej prostej. Nie jest tajemnicą, że PiS przeprowadzał różne badania w sprawie wyboru kandydata. A jak to wyglądało z pana perspektywy? Brał pan może udział w jakichś rozmowach czy raczej czekał na rozwój wypadków?

Jako bezpartyjny kandydat byłem w innej sytuacji niż pozostali pretendenci. Spotkałem się z zespołem powołanym przez ugrupowanie, który zajmował się rozmowami z kandydatami na prezydenta. Pewnie dlatego ta sprawa pojawiła się publicznie. Pojawiła się też dyskusja o partyjnych prawyborach, w których ja nie mógłbym wziąć udziału jako kandydat obywatelski. Zależało mi na poparciu największego ugrupowania w Polsce, dlatego zabiegałem o to.

A co na to wszystko pana najbliżsi – żona i dzieci? Jak by nie było, już teraz ich życie zapewne uległo zmianie, a w przypadku pana ewentualnej wygranej odmieni się całkowicie. Zupełnie zrozumiały byłby pełen wachlarz emocji.

Jesteśmy rodziną od 20 lat, bardzo dobrze się znamy, a moja praca w IPN czy Muzeum II Wojny Światowej już była wyzwaniem dla naszej rodziny. Dzięki mojej żonie, która odnosi wielkie sukcesy zarówno w karierze zawodowej, jak i w roli szefowej naszej rodziny, jesteśmy w stanie być gotowi na każde wyzwanie.

W wywiadzie dla „Do Rzeczy" powiedział pan o sobie, że jest „człowiekiem z krwi i kości, który przeszedł długą życiową drogę i jest w stanie dogadać się zarówno z bokserami na sali treningowej, jak i z profesorami na poważnych konferencjach". Dla wielu wyborców jest pan mimo wszystko anonimowy, choć to się już zmienia. Ale zapytam wprost: Kim jest Karol Nawrocki?

Trudno mówić o sobie. Przede wszystkim trzeba być sobą, nikogo nie udawać, nie zmieniać poglądów na czas kampanii wyborczej, jak to w tej chwili robią niektórzy. Na przykład moje poglądy na relacje z Ukrainą były często inne niż rządu Prawa i Sprawiedliwości czy rządu koalicyjnego. Wspieramy Ukrainę, żeby mogła pokonać Rosję, ale oczekujemy wzajemności. Nie może być tak, że my angażujemy wielkie środki na ukraińskich uchodźców, a biznes na Ukrainie będą robić wyłącznie niemieckie firmy. Nie zmieniłem tych poglądów z powodu kampanii wyborczej. Podobnie było z postrzeganiem niektórych zjawisk polityki covidowej. Jestem sobą – to jest odpowiedź na to pytanie.

Jeśli po to Rafał Trzaskowski ma zostać prezydentem – żeby odebrać komuś order – to warto przemyśleć, czy to właściwy kierunek, w którym podążać powinna Polska

Wiem, że podobnie jak inni kandydaci startuje pan, by wygrać wybory prezydenckie. Ma pan jed-

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. GABRIEL PIĘTKA/GETYSUAL

Zaangażowane media to zbrojne ramię polityków. To nie przypadek, że rano pojawia się artykuł z krzykliwym tytułem, po kilku godzinach jest już konferencja rządowych polityków, a na koniec dnia wytrenowani i jednostronni publicyści komentują to według oczekiwanego schematu

nak plan B na wypadek przegranej? Nie uwierzę, że nie rozważał pan różnych wariantów.

Nie mam takich alternatywnych planów. Celem jest zwycięstwo, plan B w tej sytuacji powodowałby różne perturbacje w planie A. W całości trzeba zanurzyć się w walce o Polskę.

Przejdźmy zatem do pana kandydatury. Rafał Trzaskowski, zapytany, jaka byłaby jego pierwsza decyzja jako prezydenta, odpowiedział, że odebrałby Order Orła Białego Antoniemu Macierewiczowi. A jaka byłaby pierwsza decyzja prezydenta Karola Nawrockiego?

Myślę, że nowy prezydent RP powinien zająć się przede wszystkim problemami Polaków: drożyzną, chaosem w służbie zdrowia, katastrofą w finansach publicznych, zakupami sprzętu wojskowego. Nie dziwię się akurat takiej odpowiedzi wiceszefa PO, zastępcy Donalda Tuska. Ten rok pokazał nam, że nie mają planu dla Polaków, nie zajmują się ich problemami. Zostawiali ich samych sobie, a zajmują się orderami. Jeśli po to Rafał Trzaskowski ma zostać prezydentem – żeby odebrać komuś order – to warto przemyśleć, czy to właściwy kierunek, w którym podążać powinna Polska. Moją pierwszą decyzją byłoby skierowanie do Sejmu ustawy o rozwoju Polski, z CPK, elektrownią atomową, inwestycjami we wszystkich powiatach i gminach w Polsce.

Pana oponenci twierdzą, że kandydując na urząd prezydenta, łamie pan zapisy ustawy o IPN. Tyle że czytamy w niej, iż „prezes IPN nie może prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z godnością jego urzędu".

Bycie prezydentem RP to najwyższy honor dla każdego obywatela. Staram się o to ze stanowiska prezesa IPN, tak jak moi konkurenci ze swoich foteli. Różnica jest taka, że ja wziąłem urlop, a moi konkurenci wykorzystują swoje funkcje do robienia kampanii wyborczej. To oni w ten sposób uderzają w godność swoich urzędów.

Nie da się ukryć, że pana kandydatura wywołała małe zamieszanie. Może o tym świadczyć choćby liczba ataków na pana ze strony mediów lewicowo-liberalnych i rządzących polityków. Zaskoczyła pana ich skala?

Jestem od lat uczestnikiem życia publicznego i widziałem już wiele. Świat się jednak zmienił i te ataki są dziś przedmiotem weryfikacji przez społeczeństwo. Zaangażowane media to zbrojne ramię polityków. To nie przypadek, że rano pojawia się artykuł z krzykliwym tytułem, po kilku godzinach jest już konferencja rządowych polityków, a na koniec dnia wytrenowani i jednostronni publicyści komentują to według oczekiwanego schematu. Jest jednak wielu uczciwych, walczących o prawdę ludzi i dziennikarzy. Nie można się temu poddawać, tylko trzeba walczyć o swoje.

Niedawno sporym echem odbiła się też wypowiedź prof. Antoniego Dudka, który nie dość, że zarzucił panu, iż zmienił pan IPN w „instytut promocji Nawrockiego", to dodatkowo ocenił, że jest pan „człowiekiem bezwzględnym i zdeterminowanym, żeby odnieść sukces".

Jestem zdeterminowany, żeby Polska mogła być wielka. Bo jeśli nie będzie się rozwijać, to będzie przedmiotem gry i ataków ze strony silniejszych ode mnie. Chcę już zamknąć tę debatę z panem profesorem. Jestem na urlopie w IPN, więc ten zarzut jest już kompletnie nietrafiony.

Bardzo często, także wśród wyborców panu życzliwych, można się spotkać z taką opinią: wiem, co Karol Nawrocki myśli o historii, ale nie mam pojęcia, co sądzi na temat gospodarki czy spraw światopoglądowych. Zapewne będzie pan przez najbliższe miesiące więcej mówił na te tematy. Ale co pan odpowie już teraz tym ludziom?

Po rozpoczęciu kampanii wyborczej w mediach i na kilkudziesięciu

eprasa.pl a8d4c013d5

spotkaniach z Polakami odpowiedziałem na pytania o wszystkie najważniejsze sprawy dotyczące teraźniejszości i przyszłości Polski.

Już teraz proponuję konkretne rozwiązania gospodarcze: obniżenie VAT, niższe podatki dla pracujących w nadgodzinach, ustawę o rozwoju dotyczącą m.in. CPK. To wszystko rozwiązania gospodarcze i to kierunek, który wybrałem: programy pozwalające ludziom łatwiej radzić sobie z konsekwencjami drożyzny i polityka rozwojowa, która zwiększa wartość dodaną polskiej gospodarki. Kolejne propozycje i szczegóły już wkrótce.

Pana kandydaturę popiera PiS. W związku z tym wiele osób zastanawia się, jakie będą pana relacje z tą partią i Jarosławem Kaczyńskim po pana ewentualnej wygranej. Zwłaszcza że nigdy nie był pan członkiem tej partii.

Takie same jak ze wszystkimi partiami, bo prezydent musi być niezależny i apartyjny. To, że w części spraw będę miał bliższe poglądy, to oczywiste, ale zasada równowagi musi tu być zastosowana.

Jaka jest pana opinia na temat ośmiu lat rządów Zjednoczonej Prawicy?

Były różne etapy tego czasu – polityka przywracania godności w latach 2015–2020, potem walka z COVID-19, inflacja i na koniec wojna na Ukrainie spowodowana napaścią Rosji. Wszyscy dziś pamiętamy uszczelnienie finansów publicznych i wpływów z VAT, obniżenie wieku emerytalnego, „500+", a potem „800+", darmowe leki i inne. Druga część to walka z wielkimi kryzysami, a także tarcze i zbrojenia.

Dostrzega pan jakieś błędy?

Nie da się rządzić przez osiem lat bez błędów, zwłaszcza jak są kryzysy. Mówiłem już wcześniej o polityce covidowej i relacjach z Ukrainą – zarówno gospodarczych, jak i tych politycznych oraz historycznych.

A jak pan patrzy na Konfederację? Wyborcy tego ugrupowania mogą być kluczowi w drugiej turze. Jakiś czas temu Krzysztof Bosak ocenił, że zanim został pan prezesem IPN, zachował się pan w stosunku do nich „całkiem OK", bo się pan z nimi spotkał. Niedawno przyznał, że wybory powinien wygrać każdy, byle nie Rafał Trzaskowski.

To Polacy wybierają swojego prezydenta i zdanie pana prezydenta Zełenskiego nie ma w tym kontekście znaczenia, bo jemu chodzi o interes Ukrainy, a nie o interes Polski. Polski prezydent musi kierować się wyłącznie interesem naszej ojczyzny. Dlatego jestem przeciwnikiem bezwarunkowego przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej

Współpracowałem z wieloma przedstawicielami Konfederacji, tak że była okazja do spotkań z panem marszałkiem Krzysztofem Bosakiem. Uważam ich za ważną siłę po patriotycznej stronie. Z ciekawością patrzę na ich inicjatywy i chętnie obniżyłbym z nimi jakieś podatki, co tak często deklarują.

Jakiś czas temu premier Donald Tusk poinformował o „przełomie" w sprawie ekshumacji polskich ofiar ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu. Na razie nic jednak na to nie wskazuje. Sądzi pan, że Ukraina jest zdolna do przepracowania tego tematu i uczciwego podejścia?

Fakt jest taki, że chodzi o sprawy, które zostały już załatwione w 2023 r. Te ofiary zbrodni wołyńskiej, które mogą być teraz ekshumowane, zostały odnalezione wówczas i niestety po zmianie rządu nie ruszyła ich ekshumacja. Teraz mamy kolejne zapewnienia i obawiam się, że wiele się nie ruszy. Tu nie powinno być żadnych warunków dla Polski, my nie stawialiśmy warunków na granicy, gdy trzeba było pomagać ofiarom rosyjskiej napaści. Tak zachowują się wobec siebie przyjaciele.

W połowie stycznia w Warszawie z wizytą był prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski, który został zapytany o jedną z pana wypowiedzi dotyczącą obecności tego kraju w UE i NATO. Zełenski powiedział, że „jeżeli Ukrainy nie będzie w UE i NATO, jeśli Ukraina nie będzie miała gwarancji bezpieczeństwa, to wtedy pan Nawrocki powinien już zacząć ćwiczyć, bo może się okazać, że będzie musiał wziąć broń do ręki, by wspólnie ze swoimi rodakami bronić swego kraju". Co pan na to?

Pan prezydent Zełenski prowadzi w tej chwili wojnę z Rosją i nie będę komentował jego politycznych odniesień. To Polacy wybierają swojego prezydenta i zdanie pana prezydenta Zełenskiego nie ma w tym kontekście znaczenia, bo jemu chodzi o interes Ukrainy, a nie o interes Polski. Polski prezydent musi kierować się wyłącznie interesem naszej ojczyzny. Dlatego jestem przeciwnikiem bezwarunkowego przyjęcia Ukrainy do Unii Europejskiej, bo wiemy, jak coś podobnego się skończyło w przypadku zalania naszego rynku ukraińskim zbożem. Ukraina w UE może być wtedy, gdy Polska i polskie firmy będą na tym korzystać. Jeśli chodzi o NATO, to jakakolwiek rozmowa na ten temat możliwa jest tylko w sytuacji zakończenia wojny. Niemożliwe jest przyjęcie kogoś do sojuszu, kto jest w trakcie wojny, bo to automatycznie uruchamiałoby art. 5 sojuszu i wikłało kraje NATO w wojnę z Rosją.

Do maja jeszcze daleko i wiele może się zdarzyć, ale funkcja prezydenta jest niejako kształtowana przez osobę, która piastuje urząd. Inna była prezydentura Kwaśniewskiego, inna Komorowskiego, a jeszcze inna śp. Lecha Kaczyńskiego czy Andrzeja Dudy. Jakim prezydentem chciałby być Karol Nawrocki? Na czym chciałby się pan skupić?

Polska na pierwszym miejscu i dobre życie Polaków – to ten cel. Nie wleczenie się za niemieckim przywództwem, nie opieranie na tym, co chciałyby od nas Bruksela czy Kijów, ale nasza własna droga, którą można przedstawić jako wykorzystywanie tego, co dzieje się na świecie, dla wzmacniania naszego interesu. Przed nami choćby teraz kwestia ceł, które USA mogą nałożyć w związku z początkiem kadencji Trumpa. Uważam, że Polska ma tu rolę do zagrania i powinna tak dogadać się z USA, żebyśmy gospodarczo na tej polityce skorzystali, stali się pośrednikiem między Ameryką a Europą. Jeśli w tę grę nie zagramy, to w Europę uderzy kolejna fala drożyzny. Fatalne relacje polskiego rządu z nową amerykańską administracją to prawdopodobieństwo zwiększa, dlatego niezbędny jest prezydent niezależny od rządu, który będzie w stanie prowadzić relacje transatlantyckie bez uprzedzeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Cenzura podzieli świat

Krystian Kratiuk

Coraz głośniej powtarzane przez członków rządu pomysły o odebraniu koncesji TV Republika albo zamknięciu portalu X na czas wyborów prezydenckich wpisują się w szersze, niezwykle niebezpieczne zjawisko. Oto gdy w USA dotychczasowi cenzorzy wycofują się ze swoich haniebnych praktyk, na Starym Kontynencie Unia Europejska zaciska pętle na naszych szyjach...

Mark Zuckerberg zaszokował publikę swoim niedawnym wystąpieniem. Przyznam, że i ja sam kilkukrotnie sprawdzałem, czy aby jego oświadczenie opublikowane w formie wideo nie jest fake newsem i nie zostało wygenerowane przy wykorzystaniu sztucznej inteligencji. Wszak szef Facebooka poinformował, że zamierza pójść w podobnym kierunku co szef portalu X Elon Musk i poszerzyć ramy wolności słowa w tym swoim medium społecznościowym.

Właściciel Mety (firmy, do której należy Facebook) zapowiedział odejście od restrykcyjnych zasad moderacji treści, które od lat budziły skrajne emocje. Do historii ma przejść znienawidzone sformułowanie: „Ta treść narusza standardy społeczności Facebooka". Algorytmy platformy zostaną „rozluźnione". Zuckerberg planuje wprowadzenie funkcji „community notes", inspirowanej mechanizmem znanym z platformy X. Kończy się zatem współpraca Facebooka z tzw. fact-checkerami, a więc samozwańczymi strażnikami prawdy, którzy określali, co można, a czego absolutnie nie wolno publikować na tym portalu.

Pół roku wcześniej szef Facebooka przyznał, że urzędnicy administracji prezydenta USA Joe Bidena wywierali presję na jego firmę, aby cenzurowała podczas pandemii treści związane z COVID-19. Teraz dodał również, że zespół odpowiedzialny za kontrolę treści na

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl a8d4c013d5

portalu przenosi z lewackiej Kalifornii do… Teksasu.

Jakby tego było mało, Meta poinformowała, że przekazała 1 mln dol. na fundusz inauguracyjny Donalda Trumpa. I ta wiadomość ma zasadnicze znaczenie. Otóż oprócz oczywistego związku zmiany polityki wielkiego medium ze zwycięstwem republikanów w USA mieszkaniec Europy wkrótce łatwo dostrzeże różnicę między zapowiedziami Zuckerberga a jego Facebookiem. Dlaczego? Otóż rzecznik Mety zapowiedział, że na razie firma „planuje zmiany tylko na rynku amerykańskim, bez natychmiastowych planów zakończenia programu sprawdzania faktów w miejscach takich jak Unia Europejska, które przyjmują bardziej aktywne podejście do regulacji firm technologicznych".

UNIA I „PRAWDA"

Organizacje, które – jak same twierdzą – zajmują się sprawdzaniem faktów (ang. fact-checking), po decyzji Zuckerberga wyraziły oburzenie. Europejska Sieć Standardów Sprawdzania Faktów, w której skład wchodzi również polski Demagog, skrytykowała Metę, twierdząc, że „weryfikacja faktów" nie jest formą cenzury, ale „wzbogaca debatę publiczną, dostarczając dodatkowego kontekstu i faktów, co pozwala obywatelom lepiej wyrobić sobie własną opinię". Urażeni fact-checkerzy zaapelowali do UE o zajęcie „stanowczej postawy wobec takich nacisków politycznych i kontynuowanie działań mających na celu przeciwdziałanie rozpowszechnianiu dezinformacji i fałszywych wiadomości".

Unia Europejska nie musiała jednak reagować, bo jej przepisy dotyczące kontroli informacji już wystarczająco krępują ręce Zuckerberga. Wszak od roku obowiązuje już „Akt o usługach cyfrowych (DSA)". Regulacje w nim zawarte wymagają od mediów społecznościowych i przeglądarek usuwania nieprawdy, a nawet takich treści, „które choć zgodne z prawdą, zostały uznane za szkodliwe". Dotyczy to „mowy nienawiści", mimo że pojęcie to nie posiada precyzyjnych definicji prawnych. Istnieją jedynie wytyczne oraz zalecenia oparte na tzw. dobrych praktykach opracowanych przez lewackich „ekspertów" w zakresie walki z MDM – „mis-, mal- i disinformation" (do tych pojęć jeszcze wrócimy). W przypadku braku skutecznej moderacji treści i przeciwdziałania „mowie nienawiści" serwisom grożą kary finansowe sięgające nawet 6 proc. globalnych rocznych przychodów.

Zanim akt ów wszedł w życie (w lutym roku 2024), w 2023 r. Komisja Europejska oficjalnie zażądała wyjaśnień od Mety X i YouTube w sprawie obowiązkowych środków podjętych w celu zwalczania „dezinformacji" i „wzmacnianych oraz rozpowszechnianych nielegalnych treści" w związku z wyborami w Polsce i wojną izraelsko-palestyńską.

A potem wszczęła postępowanie wobec platformy X.

SZKODLIWA PRAWDA

Zgodnie z regulacjami DSA platformy internetowe działające w Unii Europejskiej mają obowiązek szybkiego usuwania „szkodliwych" treści przy jednoczesnym „zachowaniu podstawowych praw obywateli". Podmioty odpowiedzialne za monitorowanie treści muszą eliminować „podejrzane" publikacje oraz sporządzać raporty dotyczące rzekomych naruszeń.

Zgodnie z unijnymi przepisami platformy powinny także analizować „zagrożenia systemowe" związane z ochroną „praw podstawowych, procesów wyborczych, bezpieczeństwa publicznego, spójności społecznej oraz różnorodności i inkluzywności". Ale – i tu proszę o skupienie – szczególną uwagę zwraca się na „treści prawdziwe, które mogłyby jednak negatywnie wpłynąć na wizerunek unijnych instytucji, zaszkodzić polityce europejskiej, osłabić zaufanie do władz lub powodować dyskomfort psychiczny wśród wybranych grup społecznych".

Nie ma jednoznacznej definicji „szkodliwych informacji", co budzi uzasadnione obawy o arbitralność w ich klasyfikowaniu. Decyzje w tej kwestii należą do unijnych urzędników, którzy tworzą szczegółowe kodeksy postępowania. DSA nakłada także obowiązek respektowania ograniczeń wolności wypowiedzi wynikających z regulacji krajowych.

Istnieje jednak kilka innych definicji. Na stronach Komisji Europejskiej czytamy, że dezinformacją nazywane są treści „weryfikowalnie fałszywe i rozpowszechniane w złej intencji". Dezinformacja to „fałszywa lub wprowadzająca w błąd treść, która jest rozpowszechniana w celu oszukania lub uzyskania korzyści ekonomicznych lub politycznych i która może spowodować szkodę publiczną".

Istnieją jednak także inne przestępstwa. Jednym z nich jest posługiwanie się misinformacją, czyli „fałszywą lub wprowadzającą w błąd treścią udostępnianą bez szkodliwych intencji, chociaż jej skutki mogą być nadal szkodliwe".

Najciekawsza pozostaje jednak definicja malinformacji. Otóż jest nią informacja… „prawdziwa, ale rozpowszechniana w celu wyrządzenia szkody osobie, grupie, organizacji lub narodowi". A więc prawda podana w nieodpowiednim kontekście, ewentualnie prawda, która… nie miała ujrzeć światła dziennego. Z posługiwaniem się takimi informacjami Unia Europejska również zobligowała się walczyć.

To niezwykle szerokie definicje, otwarte na wszelakie interpretacje. Efekt? Europejskie Obserwatorium Monitorowania Cyfrowego, organizacja finansowana przez Komisję Europejską zajmująca się „sprawdzaniem faktów", w ramach działań prowadzonych w trakcie wyborów w Europie w 2023 r. wskazała trzy główne narracje uznawane za dezinformacyjne:

– podczas wyborów w Estonii za przykład dezinformacji uznano posty informujące, że energia odnawialna jest droższa od gazu;

– w Hiszpanii za treści dezinformujące uznano doniesienia dotyczące negatywnych skutków nielegalnej migracji, w tym informacje o aktach przemocy ze strony nielegalnych migrantów oraz o ich rzekomym wpływie na obciążenie finansów publicznych;

– za niedopuszczalne uznano również krytyczne komentarze dotyczące prawa regulującego kwestie identyfikacji płciowej, uznając je za zagrożenie dla kobiet. Na cenzurowanym pozostają również negatywne komentarze dotyczące polityki genderowej oraz treści krytykujące nadużycia w środowiskach LGBT.

W KIERUNKU TRZECIEGO ŚWIATA

Jak jednak pisze Agnieszka Stelmach w niezwykle ważnej książce „Misinformacja, dezinformacja, malinformacja. Jak powstaje system globalnej cenzury", problem jest znacznie szerszy i wychodzi daleko poza granice Unii Europejskiej. Gabrielle Lim i Samantha Bradshaw w swoim raporcie zamieszczonym 19 lip-

eprasa.pl a8d4c013d5

ca 2023 r. na stronie Center for International Media Assistance szacują, że w latach 2011–2022 aż 78 krajów przyjęło regulacje mające zapobiegać rozpowszechnianiu „fałszywych lub wprowadzających w błąd informacji w mediach społecznościowych". Pod pretekstem zwalczania „informacji MDM" wprowadzano niekiedy przepisy ograniczające wolność słowa.

Warto pamiętać, że podczas pandemii COVID-19 wielu dziennikarzy było zastraszanych, a aż 17 rządów wprowadziło przepisy zakazujące rozpowszechniania informacji o pandemii. W Singapurze za „dezinformację o COVID-19" groziła grzywna do 50 tys. dolarów singapurskich, a podobne kary finansowe wprowadzono m.in. w Rosji, Egipcie i na Filipinach, gdzie możliwe było także więzienie do dwóch miesięcy. W Kambodży kara za fałszywe informacje wynosiła do dwóch lat więzienia.

Również Rosjanie po ataku na Ukrainę w lutym 2022 r. zabronili publikacji i upowszechniania wiadomości uznanych za fałszywe lub wprowadzające w błąd, które dotyczą jakiegokolwiek organu rządowego. W Egipcie już w 2018 r. aresztowano 19 osób za rozpowszechnianie „informacji MDM", a w Kamerunie, Rwandzie, Chinach i Maroku zatrzymano dziennikarzy za podobne zarzuty – przypomina Stelmach.

Z szacunków amerykańskiego Committee to Protect Journalists wynika, że w latach 2011–2015 – w związku z zarzutami dotyczącymi szerzenia „informacji MDM" – uwięziono 22 dziennikarzy. A w latach 2016–2022 już ponad… 220.

POLSKA RAMIĘ W RAMIĘ Z BRUKSELĄ

Wśród państw europejskich, również tych niezrzeszonych z Brukselą, także stosuje się tego typu zabiegi. W Szkocji np. obowiązują surowe kary za „wzniecanie nienawiści", a nowa ustawa traktuje jako przestępstwo używanie niechcianych zaimków lub imion wobec osób identyfikujących się z jedną z wielu „płci". Mimo protestów pisarki J.K. Rowling czy komika Rowana Atkinsona od ubiegłego roku każdemu uznanemu za winnego „mowy nienawiści" grozi nawet… siedem lat więzienia.

Polska, jako członek Unii Europejskiej, zobowiązuje się przestrzegać zaleceń Komisji Europejskiej – Facebook na razie będzie więc w naszym kraju działał tak jak do tej pory. Nie będzie więc można „łamać standardów społeczności", czymkolwiek one są. Czasami nie można tam zamieścić treści krytykujących subkulturę homoseksualistów, a czasami nie można promować modlitwy różańcowej – katoliccy dziennikarze i aktywiści spotykają się z takimi problemami każdego dnia.

Jednak przepisy unijne to nie wszystko. Rząd Tuska bowiem, również pod płaszczykiem ochrony przed „mową nienawiści", szykuje nam własną wersję cenzury. Tuż przed świętami projekt ustawy cenzorskiej przeszedł przez pierwsze czytanie w Sejmie i trafił do dalszych prac w komisji nadzwyczajnej do spraw zmian w kodyfikacjach. W myśl tego projektu kary mogą czekać także wszystkich, którzy będą np. odrzucać stosowanie imion i zaimków niezgodnych z prawdziwą płcią. Minister Adam Bodnar potwierdził, że nowe prawo zagrozi więzieniem np. kibicom warszawskiej Legii za antyimigrancki transparent „Refugees welcome" czy kibicom warszawskiej Polonii za transparent „Strefa wolna od LGBT".

Polski rząd zapowiedział ponadto, ogłaszając najważniejsze cele prezydencji w UE, że „priorytetem jest też praca nad narzędziami do walki z fake newsami i dezinformacją klimatyczną kwestionującą politykę energetyczną i klimatyczną UE". A więc szykują nam cenzurę klimatyczną na całego.

RUMUNIA JAKO POLETKO DOŚWIADCZALNE

Konsekwencje wprowadzania tego typu przepisów – czy to na szczeblu krajowym, czy ponadnarodowym – mogą być znacznie donioślejsze niż „tylko" cenzura i kary dla poszczególnych osób używających dezinformacji, malinformacji i misinformacji, względnie „mowy nienawiści". Konsekwencją może być również… anulowanie wyborów.

Bezprecedensowa decyzja rumuńskiego Trybunału Konstytucyjnego z 6 grudnia 2024 r. – właśnie o anulowaniu wyborów na podstawie twierdzeń o domniemanym zagranicznym wpływie „dezinformacji" na wyniki głosowania – w jaskrawy sposób wpisuje się w opisywany przez Agnieszkę Stelmach proces domykania systemu globalnej cenzury. Przypomnijmy, że rumuńscy sędziowie mieli wątpliwości co do kampanii przeprowadzanej przez jednego z kandydatów na… TikToku.

Biden i jego ludzie odchodzą. Na ich miejsce przychodzi Trump z Muskiem i nawet usłużny do tej pory wobec politpoprawności i demokratów Zuckerberg musiał przejść na inną stronę mocy

W poście na X, w związku z sytuacją w Rumunii, Ursula von der Leyen zapewniła o swym „zaangażowaniu w zapewnienie zgodności platform cyfrowych z wymogami DSA". Zapowiedziała, że „będą prowadzone działania względem platform, by uniemożliwić wpływ zagraniczny na integralność wyborów" w innych krajach europejskich w 2025 r.

Również ustępująca administracja Joe Bidena natychmiast, jeszcze tego samego dnia, poparła orzeczenie rumuńskiego Trybunału Konstytucyjnego i wyraziła „zaufanie do demokratycznych instytucji Rumunii oraz trwających dochodzeń w sprawie domniemanej rosyjskiej ingerencji w wybory".

Amerykanie mają jednak szczęście – Biden i jego ludzie odchodzą. Na ich miejsce przychodzi Trump z Muskiem i nawet usłużny do tej pory wobec politpoprawności i demokratów Zuckerberg musiał przejść na inną stronę mocy. Ale w Europie Ursula von der Leyen trwa. Cenzura też.

I będzie trwać dopóty, dopóki – co mówią wprost – mieszkańcy państw UE się nie zbuntują, tak jak zrobili to Amerykanie. To właśnie oni pokazali, że w tym oszalałym świecie, w którym radykalna większość wielkich mediów nie tylko stoi po stronie cenzury, lecz także wyraźnie ją promuje, jeszcze nie wszystko jest stracone. Że politycy i biznes muszą reagować na zdecydowane wystąpienia w obronie wolności, na czele z wolnością słowa.

Czas na działanie jest teraz, dziś. Jutro może już bowiem być za późno.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl a8d4c013d5

Z Marcinem Palade, socjologiem polityki
rozmawia Ryszard Gromadzki

Czekając na czarnego konia

RYSZARD GROMADZKI: Na niecałe cztery miesiące przed wyborami prezydenckimi wygląda na to, że duopol PO-PiS, który rządzi Polską od 20 lat, trzyma się mocno. Widzi pan choć cień alternatywy dla Rafała Trzaskowskiego i Karola Nawrockiego?

MARCIN PALADE: W 2015 r. Paweł Kukiz stał się tym trzecim i liczącym się w stawce dopiero w końcówce kampanii. W ciągu kilku tygodni jego notowania poszybowały z 3–4 proc. do finalnie 21 proc. Na starcie trwającej już kampanii duopol PO-PIS kontroluje ok. dwóch trzecich głosów, ale poszerzająca się lista kontrkandydatów, zwłaszcza po deklaracji o starcie Krzysztofa Stanowskiego, może wkrótce doprowadzić do sondażowego zamieszania.

Jesteśmy bowiem w luce, chyba największej od 2015 r. – jeśli dobrze odczytuję nastroje społeczne – między zużywającą się w zawrotnym tempie, coraz mniej popularną ekipą Tuska a brakiem tęsknoty ze strony tych, którzy rozstrzygają, czyli normalsów, do poprzedniej ekipy Kaczyńskiego. Coś, co określiłbym mianem nieco łagodniejszej wersji hasła Konfederacji „PiS-PO jedno zło". Mamy coraz bardziej widoczny rozjazd między odczuciami liderów obu wielkich partii i robiących im dobrze mediów, jednych i drugich zamkniętych w bańce, a srogą oceną klasy politycznej przez większość Polaków. Pytanie, czy to się rozleje w tej kampanii, tak jak choćby niedawno w Rumunii. Co by w naturalny sposób otwierało drzwi do ekspansji dla trzeciego kandydata, niezależnego, niepartyjnego, który będzie inny od oferty zgranych kart na scenie politycznej.

Kandydatem, który mógłby rozbić bank, jest Krzysztof Stanowski?

Takim kandydatem może być Krzysztof Stanowski. Wydaje się, że z puli kandydatów, którą w tej chwili mamy, to właśnie Stanowski ma atuty, które dają podstawy „do powtórki z Kukiza" z 2015 r. Czyli szansy na przełamanie duopolu PO-PiS. Spośród pozostałych kandydatów partyjnych nie widzę nikogo, kto mógłby skutecznie rywalizować z dwójką Trzaskowski-Nawrocki. Pozostaje jeszcze otwarte pytanie: Czy na przełomie stycznia i lutego nie wejdzie do gry jeszcze jedno duże nazwisko czy dwa, np. z cichym błogosławieństwem już trwającej konserwatywnej rewolucji w Waszyngtonie? Bo to jeszcze bardziej komplikowałoby sytuację w sondażach, także dla dwóch największych na dziś graczy.

Krzysztof Stanowski ogłosił zamiar kandydowania, ale zarzeka się, że nie zamierza zostać prezydentem, bo nie ma do tego kompetencji i umiejętności tak jak pozostali kandydaci, tylko w przeciwieństwie do nich potrafi się do tego przyznać. Czy robienie cyrku z wyborów jest fair wobec wyborców?

Dla wielu wyborców, którzy będą aktywni w czasie nadchodzących wyborów prezydenckich, cyrkiem jest to, co robi obecna klasa polityczna – od tzw. patriotów do tzw. demokratów. Stąd ten – nazwałbym to – antycyrk, w wersji happeningu politycznego Stanowskiego, wcale nie musi oznaczać negatywnego przyjęcia. Wręcz przeciwnie. Stanowski może być rzecznikiem kilku milionów Polaków, którzy właśnie w takiej formie, jak chce to zrobić kandydat, wyrażą swoją negatywną opinię o rodzimych politykach, a szerzej o zastygłym układzie, pod kontrolą Waszyngtonu i Berlina, w którym funkcjonujemy od 2005 r.

Na jakim elektoracie musiałby oprzeć kampanię kandydat niezależny, który aspirowałby do drugiej tury wyborów?

Teoretycznie jest spora pula głosów do wzięcia. Pula nie tyle dla Stanowskiego, ile dla tego trzeciego. Gdyby odrzucić najbardziej zagorzałych zwolenników PiS Koalicji Obywatelskiej, Lewicy, Trzeciej Drogi i Konfederacji, która jest jedną nogą w systemie, a drugą w antysystemie, mamy co najmniej 20–25 proc. wolnego miejsca w I turze. Jestem sobie w stanie wyobrazić sytuację w maju, że o drugą turę walczą Trzaskowski, Nawrocki i Stanowski. Przy czym niezależnie od tego, kto by się w niej znalazł ze Stanowskim, a także innym trzecim kandydatem, gdyby – jak mówiłem – taki miał się jeszcze pojawić, czy to kandydat KO, czy PiS, wybory w II turze by prawdopodobnie przegrał. Doświadczenie z Kukizem w 2015 r. czy to nowe, niemal za miedzą, z Georgescu w Rumunii, pokazuje, że Stanowski może skończyć na poziomie 4–5 proc., może mieć wynik dwucyfrowy i zająć trzecie miejsce. A równie dobrze może wjechać na 20 proc., a potem to będzie musiał sam sobie odpowiedzieć, co dalej. Bo z happeningu może zrobić się poważna polityka. Nie chcę, ale muszę – cytując klasyka, mistrza wygranych z totolotka z Gdańska. Pamiętam start w wyborach w 1991 r. Polskiej Partii Przyjaciół Piwa, która ze swoją reprezentacją na Wiejskiej stała się częścią obozu liberalnego. Niemal z dnia na dzień. Jeśli przy Stanowskim może szybko pojawić się wynik dwucyfrowy, to rozsądnych środowisk, gotowych dać wkład merytoryczny, równoległy do happeningu, jest sporo. Bo takie też czekają w blokach startowych.

Zgodzi się pan, że tym, co łączy całą stawkę kandydatów w wyborach prezydenckich, jest brak charyzmy, cech przywódczych, samodzielności? Kandydaci są bezbarwni, lepieni pod sondaże i bieżące impulsy.

Absolutnie tak. To deficyt tego, co określa się mianem „formatu prezydenckiego". Zakładam, że podobną opinię

eprasa.pl a8d4c013d5

ma co najmniej kilka milionów polskich wyborców. Ludzie patrzą na kandydatów i dochodzą do frustrującego wniosku, że znów stoją przed tym samym dylematem, co 5 czy 10 lat temu, że po raz kolejny będą głosować za tzw. mniejszym złem, nie za kimś, ale przeciw komuś. To zresztą szerszy problem, przejawiający się w tym, że jakość naszej klasy politycznej jest z każdymi wyborami parlamentarnymi i prezydenckimi gorsza niż do tej pory. To efekt chorego systemu, gdzie rola suwerena sprowadza się do wrzucenia raz na cztery czy pięć lat karty do głosowania na nominatów partyjnych. Liderów, ziemskich bogów, którzy z pozycji ich gabinetów w Warszawie układają listy radnych w gminie X czy Y. Do tego dodać trzeba jeszcze zabetonowanie wynikającego z systemu subwencji, który miał uzdrowić stan polskiej polityki, a spowodował, że kiła zastąpiła rzeżączkę.

Część sondaży w ostatnich tygodniach wskazywała na szybkie zmniejszanie się dystansu pomiędzy Rafałem Trzaskowskim a Karolem Nawrockim. Kolejne badania opinii potwierdziły jednak wyraźną przewagę Trzaskowskiego. Czy na tym etapie kampanii powinno brać się sondaże na serio?

Zwracam uwagę, że pierwsze pomiary, które pojawiły się w listopadzie czy w grudniu, obejmowały zarówno tych, którzy start już zapowiedzieli, jak i tych, którzy byli rozważani wyłącznie teoretycznie. To było wróżenie z fusów. Styczeń jest już bardziej miarodajny, choć lista kandydatów wciąż nie jest zamknięta. Dodatkowo większość Polaków nie jest jeszcze w trybie wyborczym, więc ich wskazania nie dają nam jasnego o obrazu co do preferencji Polaków na cztery miesiące przed głosowaniem. Do tego dochodzi krytykowany przeze mnie sposób prezentacji sondaży w mediach, który ten obraz jeszcze bardziej wypacza. A widzi to konsument informacji i jednocześnie potencjalny wyborca. Dla clickbaitów ze zmiany nieistotnej statystycznie, rzędu 1–2 p.p., media są gotowe zrobić tytuł o tąpnięciu jednego czy drugiego kandydata. Na sondaże zacząłbym patrzeć z mniej przymrużonym okiem od połowy lutego. Wtedy prawdopodobnie będziemy mieli jasność co do tego, kto zadeklarował start. Ale tak na poważnie to będzie dopiero od kwietnia, kiedy dowiemy się, ilu kandydatów przebrnęło przez barierę 100 tys. podpisów. Jeśli pyta pan o komentowanie sondaży, zwłaszcza przez polityków, publicystów, a także o to, co dzieje się w bańce social mediów, to u mnie powoduje to wyłącznie uśmiech. Rozchwiani emocjonalnie, zamknięci w bańkach informacyjnych często wypisują czy mówią rzeczy, które ocierają się o konieczność udania się do lekarza pierwszego kontaktu po skierowanie do psychiatry. Te wyobrażenia o wygranej tego czy innego kandydata w pierwszej turze (Trzaskowski, Nawrocki), o udziale w niej (Mentzen, Hołownia), o poziomach poparcia, które znacznie wychodzą poza, wydawać by się mogło, nieprzekraczalne 100 proc. Rozedrganie, bo w pojedynczym sondażu komuś wzrosło czy spadło, a to wszystko w granicach błędu statystycznego. No i to, co dla mnie osobiście jest największym powodem do śmiechu. Na początku stycznia podjąłem decyzję o ograniczeniu aktywności w kampanii na X, czyli dawnym Twitterze, gdzie po latach ciężkiego wysiłku, przy ponad 100 tys. obserwujących, miałem bardzo duże zasięgi i udział w segmencie analityki sondażowej. I oto już jako obserwator zauważam, że inni analitycy, w odróżnieniu ode mnie zdecydowanie niesympatyzujący z prawicą, stali się nagle autorytetami dla polityków czy socmedialnych kreatorów opinii związanych z PiS czy Konfederacją. Bo raz czy dwa zaprezentowany słupek kandydata prawicy był OK. Dopóty, dopóki owi analitycy nie zrobią, jak w przeszłości, krzywdy ich wybrańcom w swoich kolejnych prognozach.

Czy Sławomir Mentzen ma potencjał, żeby przejść do drugiej tury wyborów?

Start Grzegorza Brauna może nieco osłabić Sławomira Mentzena, bo obaj mają, co prawda niewielki, ale jednak zbiór wspólny. Za to walczyć będą głównie o elektoraty, które się odpychają. Mentzen ze swoją ofertą idzie bardziej ku centrum, rozbierając Hołownię i Trzecią Drogę, co widzimy też w sondażach partyjnych. Grzegorz Braun będzie zaś zagospodarowywać głosy bardzo twardej prawicy. Rzec by można: na prawo od obecnej Konfederacji. Problemem Mentzena będzie start Stanowskiego. Bo to właśnie on może kandydatowi Konfederacji zabrać sporo młodych, antysystemowych, antypartyjnych, rzec by można: zbuntowanych. Zresztą problemy będzie miał też Hołownia. Jego gwiazda już nie świeci jasno od dawna, a przy Stanowskim pojawił się nowy aktor na scenie. I to on może zabrać Hołowni 3–4 p.p. wyborców, których określiłbym jako anty-PO-PiS. Finalnie, gdyby Stanowski miał się mocno rozpychać, Mentzen walczyłby o wynik dwucyfrowy, a Hołownia może zanurkować w okolice nawet 4–5 proc., czyli stanąć przed alternatywą: albo dać się zjeść Tuskowi, albo wrócić do show-biznesu.

Czy w majowych wyborach prezydenckich w Polsce da o sobie znać „efekt Trumpa"?

Skoro Elon Musk wyznacza – jak rozumiem, za cichą zgodą Trumpa – kogo Waszyngton preferuje w Wielkiej Brytanii (Partia Reform Farage'a, która właśnie wyprzedziła w sondażach Konserwatystów), i wskazuje jako politycznego partnera AfD w Niemczech, to dlaczego nie miałby zrobić tego w Polsce? Może nie tak oficjalnie jak w wymienionych krajach, ale z całą pewnością administracja Trumpa bacznie przygląda się rywalizacji prezydenckiej w Polsce. Mamy jednak w tej materii dwa skrajne oczekiwania. Z jednej strony wyobrażenie mocno oderwanych od rzeczywistości niektórych polityków PiS i mediów związanych z tą partią, suwerenistów od wiszenia na klamce Waszyngtonu, że sam Trump namaści Nawrockiego i to w zupełności pozwoli kandydatowi PiS na wygranie wyborów. Bo niemal cała Polska już dała się porwać konserwatywnej rewolucji. Z drugiej strony, czyli w tzw. obozie demokratycznym, jest mocne trzymanie kciuków, by Waszyngton pozostał do czerwca w roli wyłącznie pasywnego obserwatora. Bo jest zakodowane mocno to, że pamiętliwy Trump wie, co robił i pisał o nim choćby Tusk czy Sikorski, że o szefie naszej placówki w Waszyngtonie, psychiatrze Klichu, nie wspomnę. A jak będzie? Jak przystało na Amerykanów – pragmatycznie. Bo dla Trumpa liczą się Ameryka i jej interesy. A losy prawicowej opozycji w Polsce są w poczekalni do TOP 500 priorytetów nowej administracji Trumpa. Jak centrolewicowa Warszawa ukłęknie demokratycznie i da Amerykanom więcej, to po co oni mieliby zmieniać władzę na taką, która będzie co prawda prawicowa, ale z czystą kartoteką, a w związku z tym na dłuższej smyczy?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

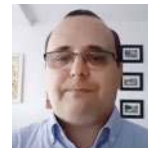

***Marcin Palade** – socjolog polityki, ekspert do spraw geografii wyborczej w Polsce.*

eprasa.pl a8d4c013d5

Andrzej Duda i Wołodymyr Zełenski przed Pałacem Prezydenckim w Warszawie, 15 stycznia 2025 r.

FOT. PRESIDENT.GOV.UA

PiS (nie)mądry po szkodzie

Łukasz Warzecha

Politycy PiS co prawda skrytykowali słowa prezydenta Ukrainy skierowane w wywiadzie do Karola Nawrockiego, ale zarazem nie zdobyli się nawet na najdrobniejszą refleksję nad własnym postępowaniem w ciągu ostatnich trzech lat. I to mimo że Ukraina wielokrotnie pokazywała, iż umie być we wzajemnych stosunkach brutalna, twarda, a nawet ordynarna czy wprost chamska

Jeżeli Ukrainy nie będzie w Unii i nie będzie w NATO, jeśli Ukraina nie będzie miała gwarancji bezpieczeństwa, to pan Nawrocki powinien już zacząć ćwiczyć, bo może się okazać, że będzie musiał wziąć broń do ręki, by wspólnie ze swoimi rodakami bronić swego kraju. Bo jeżeli Ukrainy nie będzie nigdzie, to ryzyko (wojny w Polsce) będzie bardzo wysokie. Rosja będzie wtedy na granicy z Polską i wtedy (Nawrocki) będzie miał nie polityczne zawody, lecz będzie walczył o swoje życie".

Te słowa Zełenski wygłosił podczas wywiadu udzielonego przedstawicielom czterech redakcji, z których wszystkie zajmują jednoznacznie proukraińskie stanowisko: „Rzeczpospolitej", Onet.pl, TVN24 oraz „Krytyki Politycznej". Była to odpowiedź na pytanie Sławomira Sierakowskiego, przedstawiciela tego ostatniego medium, który poprosił o skomentowanie stwierdzenia Karola Nawrockiego, że dla Ukrainy nie ma miejsca w obu wspomnianych strukturach, jeśli nie zostanie przez nią załatwiona sprawa ludobójstwa na Kresach Wschodnich.

Co charakterystyczne, Zełenski w pierwszym momencie nie mógł sobie przypomnieć nazwiska kandydata PiS i podsunął mu je dopiero szef „Krytyki Politycznej". Co może świadczyć albo o celowym okazywaniu lekceważenia Nawrockiemu, albo – co bardziej prawdopodobne – słabej orientacji prezydenta Ukrainy w polskim życiu politycznym.

ZDZIWIENIE TROPICIELI „RUSKICH ONUC"

Wypowiedź dotycząca pana Nawrockiego była bodaj jedyną dostrzeżoną w wywiadzie, który poza tym był miałki, sztampowy i nieciekawy – sam Zełenski wydaje się już liderem przebrzmiałym i trwającym jedynie siłą inercji geopolitycznego układu. Jeśli zaś celem było dogryzienie Nawrockiemu, a więc tym samym wsparcie Rafała Trzaskowskiego, jego głównego kontrkandydata, to stało się odwrotnie. Rosnącą niepopularność skrajnie proukraińskiego kursu oraz powrót do realistycznej oceny sytuacji pokazują sondaże. W listopadowym badaniu CBOS 44 proc. stwierdziło, że Ukraina będzie musiała w zamian za pokój oddać część swojego terytorium, 27 proc. nie miało zdania, a jedynie 25 proc. uznało, że Ukraina odniesie sukces (różnie definiowany).

Sama zaś wypowiedź Zełenskiego może zrobić wrażenie tylko na tych, którzy tkwią w utrwalonym schemacie bezrefleksyjnego wsparcia dla Kijowa. Wszak nie istnieje żaden łącznik pomiędzy ewentualnymi gwarancjami bezpieczeństwa dla Ukrainy a jej członkostwem w NATO i UE (tym ostatnim zwłaszcza).

Inna sprawa, że stanowisko Nawrockiego także nie jest szczególnie rozsądne – chyba że opiera się na czysto wizerunkowej kalkulacji. Wejście Ukrainy do NATO i UE byłoby dla Polski niekorzystne niezależnie od tego, jak zachowałaby się ona w sprawie poszukiwań i ekshumacji ofiar ludobójstwa. Dlatego tej pierwszej kwestii nie powinniśmy uzależniać od drugiej.

Słowa ukraińskiego prezydenta wywołały łatwe do przewidzenia reakcje polityków PiS.

„Prezydent Ukrainy niech się zajmie sprawami Ukrainy, a my sami wybierzemy naszego prezydenta. Ma prawo – i nawet obowiązek – zabiegać o interesy swojego kraju, ale to my decydujemy tutaj, kto jest kandydatem i kto ma jakie poglądy w sprawach najbardziej zasadniczych" – grzmiał w Radiu Wnet były premier Mateusz Morawiecki.

eprasa.pl a8d4c013d5

„Ukraina kiedyś pewnie będzie w UE i NATO, ale nie można mówić o bezwarunkowym poparciu na tym kierunku. Karol Nawrocki uważa – ja się z nim zgadzam – że jakieś warunki Ukrainie trzeba stawiać. Po pierwsze, reformy wewnętrzne, walka z korupcją, deoligarchizacja gospodarki. Ale są też sprawy dwustronne, dla nas bardzo istotne: rozwiązanie kwestii Wołynia, rozwiązanie kwestii gloryfikacji UPA" – oznajmił poseł PiS i były prezydencki minister Marcin Przydacz.

Natomiast bardzo aktywny na X poseł PiS i były wiceminister spraw zagranicznych, Paweł Jabłoński, nagrał nawet wideo, w którym krytykował Zełenskiego. „Dlaczego Wołodymyr Zełenski wspiera Rafała Trzaskowskiego?" – stawiał pytanie (na tle potęgującej napięcie muzyki) Jabłoński. I odpowiadał: „Nie wiem. Choć się domyślam". I tutaj pokazano wypowiedź redaktora Bogdana Rymanowskiego o tym, że są informacje, iż „będzie prawdopodobnie zgoda władz na odnowienie pomnika UPA w Polsce". Idzie o bardzo kontrowersyjną mogiłę bojowników UPA w Monasterzu. Nie chodzi tu zresztą o „odnowienie", ale o przywrócenie dawnej postaci pomnika wraz z listą zabitych. Tablica na pomniku głosi obecnie, że upowcy zginęli w walce z sowieckim NKWD w marcu 1945 r., i nie zawiera ich nazwisk. Sprawa wywołuje olbrzymie opory, a pomnik był dewastowany wielokrotnie. Przynajmniej niektórzy upamiętnieni na nim Ukraińcy są bowiem oskarżani o udział w mordowaniu Polaków.

Wypowiedź Jabłońskiego jest o tyle smakowita, że to właśnie ten polityk – obok Stanisława Żaryna, dzisiaj prezydenckiego doradcy – był naczelnym tropicielem „ruskich onuc" i strażnikiem jedynie słusznej narracji, entuzjastycznej wobec Ukrainy. Mnie samego zaś nazywał „prorosyjskim publicystą". „Wyszliście z tą Ukrainą na kompletnych patałachów, dyletantów i błaznów" – podsumował jego obecne tłumaczenia jeden z internautów.

Wspomniany Stanisław Żaryn, jako pełnomocnik do spraw bezpieczeństwa w infosferze, produkował dziesiątki „infoalertów", w których taśmowo oskarżał o powielanie rosyjskiej propagandy m.in. nasz tygodnik (posługiwał się przy tym zdjęciami redaktora naczelnego Pawła Lisickiego czy współpracującego z naszym tytułem Wojciecha Cejrowskiego). Można założyć, że gdyby Żarynowi z początku roku 2023 pokazać wypowiedź Nawrockiego ze stycznia roku 2025, bez wahania umieściłby ją w swoim „infoalercie" jako przykład prorosyjskiej propagandy.

WYŚCIGI W PROUKRAIŃSKOŚCI

Jednak harce Żaryna to nic wobec oficjalnej polityki rządu Morawieckiego, który z bycia rzecznikiem jak najszybszego przyjęcia Ukrainy do UE – bez żadnych warunków dotyczących spraw historycznych – zrobił swój produkt firmowy. W marcu 2022 r. Morawiecki podpisywał oświadczenie przywódców UE po ich nieformalnym spotkaniu w Paryżu i oznajmiał: „Z przyjętych zapisów deklaracji jasno wynika, że wszyscy zgadzamy się z tym, żeby Ukraina przystąpiła do UE". W czerwcu 2022 r. premier potwierdzał, że „dla walczącej Ukrainy jest to [przystąpienie do UE] niezwykle ważne". Ani słowa o jakichkolwiek warunkach. W maju 2023 r. premier mówił zaś: „Ukraina naprawdę broni naszych europejskich wartości. Udowadnia to każdego dnia, udowadnia to swoją krwią, można powiedzieć. Jeśli dziś Ukraina nie jest godna przyjęcia do Unii Europejskiej, to nie wiem, co musiałoby się stać, żeby taką decyzję podjąć". Nadal nic o jakichkolwiek warunkach.

Lecz proukraiński entuzjazm premiera blednie z kolei wobec tego, co przy niezliczonych okazjach wygadywał prezydent Andrzej Duda. 3 maja 2022 r. prezydent wygłosił słowa, które u wielu spowodowały co najmniej zaskoczenie, a częściej – niesmak: „[Ukraina] – mam nadzieję – będzie na dziesięciolecia, a – daj Boże – i na stulecia państwem bratnim dla Rzeczypospolitej, pomiędzy którym a nami, Polską, jak – mam nadzieję – proroczo powiedział prezydent Wołodymyr Zełenski – nie będzie granicy; że tej granicy faktycznie nie będzie; że będziemy żyli razem na tej ziemi, odbudowując się i budując swoje wspólne szczęście i wspólną siłę, która pozwoli się oprzeć każdemu niebezpieczeństwu, a którą każdy będzie się bał w przyszłości zaatakować i będzie się bał jej zagrozić". Wiele osób odczytało to jako zapowiedź jakiejś formy federacji czy konfederacji obu krajów – były to w owym czasie popularne pomysły.

Minęło ponad dwa i pół roku od tamtego wystąpienia; wojna trwa, relacje i emocje polsko-ukraińskie są dalekie od idealnych, a prezydent – można odnieść wrażenie – jakby utkwił w pierwszej połowie 2022 r. Podczas pobytu w Davos – w czasie zaprzysiężenia Donalda Trumpa – pojawił się w Domu Ukraińskim i tam powiedział: „Kiedy wojna się rozpoczynała, na świecie mówiono, że potrwa najwyżej trzy dni. Wkrótce miną trzy lata, a Ukraina broni się nadal. Naszym obowiązkiem jest, by obroniła się skutecznie. Wszyscy ci, którzy chcą porządku i spokoju na świecie, muszą pomóc Ukrainie, by to zrealizować. Jesteśmy tutaj z premierem Litwy, by powiedzieć, że jesteśmy z wami i nie opuścimy was. Uczynimy wszystko, aby niepodległa i suwerenna Ukraina trwała". Zabrakło tylko tradycyjnego okrzyku: „Sława Ukrainu!".

Nie chodzi tutaj nawet o to, że prezydent oraz obecny rząd trwają przy generalnie przychylnym Kijowowi kursie. To można uznać za błędne – w całości albo części – ale rządzący mają prawo określać kurs państwa. Czym innym jest jednak kurs, a czym innym powtarzanie deklaracji bezwarunkowego poparcia oraz obsesyjne wręcz podkreślanie przy każdej okazji rzekomej przyjaźni polsko-ukraińskiej, która jest jedynie oderwaną od realiów projekcją elity.

PRZEWIDYWALNY SKUTEK

Czy wobec takich postaw można być zaskoczonym, że Zełenski poczyna sobie dość swobodnie? Politycy PiS co prawda jego słowa z wywiadu skrytykowali, ale zarazem nie zdobyli się nawet na najdrobniejszą refleksję nad własnym postępowaniem w ciągu ostatnich trzech lat. I to mimo że Ukraina wielokrotnie pokazywała, iż umie być we wzajemnych stosunkach brutalna, twarda, a nawet ordynarna czy wprost chamska. Ani słowem nie zająknęli się o tym, że być może ich taktyka deklarowania – i realizacji – całkowicie bezwarunkowej przychylności dla Kijowa mogła być błędna. Prezydent natomiast to już inny poziom. Tam nie tylko brak refleksji – tam jest twarde trwanie na tych samych pozycjach.
A to już trudno pojąć bez dopuszczenia najbardziej nieciekawych i przygnębiających wytłumaczeń.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Dociskanie Giertychem

Rafał A. Ziemkiewicz

W imię wspólnej nienawiści do PiS i pogardy dla głosującej nań „hołoty" środowiska lewicowe i salony Michnikowe zaakceptowały wprawdzie byłego samozwańczego lidera LPR w swoim obozie, ale wyłącznie w funkcji „bulteriera" przebijającego wszystkich agresywnością i brutalnością w obsługiwaniu ich emocji

FOT. MARYSIA ZAWADA/REPORTER

Wśród dziennikarzy polujących na kuluarowe wieści z kręgów rządzących rozeszła się pogłoska, jakoby Donald Tusk, w kolejnym ataku wściekłości za to, że „rozliczenia idą niemrawo", zagroził Adamowi Bodnarowi wprowadzeniem mu do resortu, jako wiceministra, inkwizytora – Romana Giertycha. Plotka zyskała potwierdzenie, gdy dość nieoczekiwanie, ponad rok po wyborach, w których Giertych dostał z łaski Tuska immunitet, co pozwoliło mu wrócić do kraju z Włoch, gdzie ukrywał się po sławnym omdleniu podczas próby zatrzymania, znalazł się wreszcie prokurator (Beata Syk-Jankowska z prokuratury lubelskiej), który wycofał mu zarzuty.

Twierdzenie, że transakcje zawierane przez Giertycha w imieniu czterech fasadowych spółek, formalnie należących do jego bliskich współpracowników, z firmą Polnord Ryszarda Krauzego, również reprezentowaną w tych transakcjach przez niego samego, wskutek których „zniknęło" ponad 90 mln zł, „nie wyczerpały znamion czynów zabronionych wskazanych w kwalifikacjach prawnych" – jak to ujęła pani prokurator – jest, delikatnie mówiąc, dyskusyjne. Zwłaszcza że śledztwo prowadzone było przez osiem lat (!) i jeszcze miesiąc temu ci sami prokuratorzy, którzy nagle nie znaleźli w sprawie „znamion czynów zabronionych", indagowani przez dziennikarzy zapewniali, że ich zarzuty są pewne, mocne, a jedyną przyczyną zamrożenia postępowania jest immunitet poselski podejrzanego.

Ale nie mniej „dyskusyjne" było przecież wycofanie poważnie udokumentowanych zarzutów korupcyjnych ciążących na Tomaszu Grodzkim czy Stanisławie Gawłowskim, a to ludzie Bodnara załatwili swym partyjnym towarzyszom niemal z marszu, od razu po wejściu do prokuratur. Przyczyną, dla której Giertych musiał czekać na to samo ponad rok, nie było na pewno długotrwałe poszukiwanie prawniczych finezji (których zresztą w umorzeniu nie widać), ale była nią osobista niechęć, którą ma darzyć Bodnar, były aktywista radykalnej lewicy, byłego lidera radykalnych nacjonalistów, połączona z obawą przed nim i szczególną pozycją, którą daje mu – trudna do wytłumaczenia, ale niewątpliwie silna – osobista protekcja Tuska.

I to właśnie Tusk miał, według „dobrze poinformowanych źródeł", na które powołują się przywoływani wyżej znawcy kuluarów, osobiście nakazać Bodnarowi wycofanie zarzutów, pod groźbą popadnięcia w niełaskę. Czy jest to wstęp do zapowiadanej nominacji Giertycha? Mówi się nie tylko o randze wiceministra; niektórzy nie wykluczają, że Giertych miałby po prostu zastąpić „nieradzącego sobie" Bodnara. Trudno uważać to za niemożliwe po tym, jak w rządowej TVP Info jedna z czołowych postaci antypisowskiego rokoszu w środowiskach prawniczych, prokurator Ewa Wrzosek, publicznie wskazała na Giertycha jako pożądanego zmiennika obecnego ministra, którego zganiła słowami, że przesadnie trzyma się przepisów, a „to nie jest czas na pozytywistyczne przestrzeganie prawa". Po Giertychu zaś zwolennicy PO spodziewają się prędzej wszystkiego niż przestrzegania prawa, obojętne, czy na sposób pozytywistyczny czy romantyczny (cokolwiek to w ogóle miałoby znaczyć).

POMARUDZĄ, ALE SIĘ NIE ODWRÓCĄ

Z formalnymi zarzutami czy bez nich Giertych nie ucieknie od swojej przeszłości – sprawa Polnordu jest dla każdego, kto się z nią zapozna, a nie pochodzi z politycznego rozdania, dość oczywista. Nie będziemy tu wdawać się głębiej w szczegóły „oscylatora Krauzego i Giertycha", które m.in. zebrał w swych publikacjach Leszek Kraskowski na portalu Reporterzy.online

eprasa.pl a8d4c013d5

– poprzestańmy na stwierdzeniu, że nominacja taka byłaby poważną kompromitacją rządu i premiera. Ale Tusk może się tego nie obawiać. Po tym, jak poprzez naciski na media udało się zamieść sprawę przestępczej przeszłości teścia – wiceministra sprawiedliwości Arkadiusza Myrchy – i podejrzanych źródeł majątku, który przekazał córce, żonie tegoż wiceministra – posłance Kindze Gajewskiej; sprawę, która w normalnym demokratycznym kraju byłaby wielkim politycznym wstrząsem, a u nas, przemilczana przez tabloidy i popularne portale, praktycznie nie wyszła z „bańki" mediów opozycyjnych, premier ma zapewne poczucie panowania nad przekazem, w którym zamknięta jest wystarczająca mu na razie do rządzenia część opinii publicznej.

Wyniesienie Giertycha byłoby też kolejnym policzkiem dla środowisk lewicowych i dla Michnikowych salonów, które tyle piany wytoczyły swego czasu na „faszystę", wzywając, by wsadzić go „do wora" i wór wrzucić „do jeziora". W imię wspólnej nienawiści do PiS i pogardy dla głosującej nań „hołoty" zaakceptowały one wprawdzie byłego samozwańczego lidera LPR w swoim obozie, ale wyłącznie w funkcji „bulteriera" przebijającego wszystkich agresywnością i brutalnością w obsługiwaniu ich emocji. „Zespól parlamentarny", któremu przewodzi Giertych, to w istocie rodzaj klubu towarzyskiego, bez żadnego statusu prawnego. Ale funkcja w rządzie? Wychowankowie Adama Michnika i on sam dowiedli już nieraz wyjątkowej giętkości kręgosłupów, ale „faszysta" jako spełnienie ich wieloletniej walki o „demokrację" to dla niektórych może być za dużo.

Pytanie, czy Tusk uważa to za problem. Te środowiska przecież i tak się od niego nie odwrócą – pomarudzą, jak w sprawie migrantów, i co najwyżej wyrażą swe niezadowolenie, popierając w pierwszej turze wyborów, zamiast Rafała Trzaskowskiego, któregoś z pomniejszych kandydatów lewicowych. Nie mówimy jednak o grupie na tyle licznej, by mogła dać Magdalenie Biejat albo Adrianowi Zandbergowi szansę wypchnięcia kandydata PO z drugiej tury – a w niej i tak zagłosuje ona wiadomo jak. Wszystko więc, czym grozi na ten moment ich niezadowolenie, to przytarcie Trzaskowskiemu nosa, a to akurat jest Tuskowi jak najbardziej po myśli.

Jedynym właściwie problemem, który może ściągnąć Tuskowi na głowę Giertych w randze ministra, może być dostarczenie politykom „starej Unii" pretekstu do zmiany frontu wobec polskiego „obozu demokratycznego" i odcięcia się od niego. Poza krzykaczami, którzy nie mają nic do stracenia, wezwania do wojny z „agresją Trumpa" i „zdrajcami Europy", które wygłosił totumfacki lidera PO w Parlamencie Europejskim, czy apele o przekształcanie Starego Kontynentu w „klimatyczną twierdzę" raczej nie są traktowane poważnie. Poważnie natomiast brzmią kuluarowe przecieki z Brukseli, że ani Niemcy, ani Francja nie widzą innego wyjścia, niż negocjować dla siebie jak najkorzystniejsze miejsce w nowym porządku, który narzuci Unii Donald Trump. Jeśli prezydent USA zechce uderzyć w UE tym, że nie ma ona moralnego prawa go pouczać, bo sama łamie zasady demokracji oraz praw obywatelskich, jako przykład podnosząc na forum międzynarodowym Tuska, jego wypowiedzenie posłuszeństwa Konstytucji, Trybunałowi Konstytucyjnemu i Sądom, bezprawne przejmowanie instytucji i represjonowanie opozycji – to nikt w Europie nie będzie lidera PO bronił. Po co zresztą, skoro z punktu widzenia Berlina i Brukseli Tusk po prostu zawiódł?

Włączenie do rządu „faszysty", przeciw któremu lewicowe organizacje naprodukowały swego czasu wiele oskarżeń, może się okazać doskonałym pretekstem do stwierdzenia, że Tusk zaufania pokładanego w nim nadużył i że UE nigdy na jego działania zgody nie dała, a nie zareagowała w porę, bo ją okłamał. Zresztą okłamał naprawdę i z powodu tego faktu jego europejscy patroni z Europejskiej Partii Ludowej czy Komisji Europejskiej mogą poczuć się zwolnieni z lojalności. Na pewno byli zapewniani, że „przywrócenie praworządności", jeśli tylko przymkną na chwilę oczy, nastąpi szybko i sprawnie, z akceptacją miażdżącej większości polskiego społeczeństwa. Tego, że Tusk zaplącze się w „rozliczeniach" i zmuszony będzie sięgać po coraz grubsze bezprawie, wciągając w nie także ich, raczej nie brali pod uwagę, podobnie zresztą jak zmiany w USA.

Już teraz się słyszy, że zwyczajowy, nieformalny zjazd unijnych przywódców w kraju przejmującym prezydencję nie odbył się nie dlatego, że – jak podane to zostało w wypuszczonym o tym w Brukseli przecieku do mediów – odmówił Tusk, małostkowo zazdroszcząc prezydentowi Andrzejowi Dudzie honorów gospodarza takiego szczytu, ale dlatego, że europejscy liderzy nie chcieli się w obecnej sytuacji kojarzyć z polskim premierem, szczególnie po miażdżącej dla obecnego rządu ocenie jego działań przez Komisję Wenecką.

TUSK JAK GEREMEK?

Rzecz w tym, że Tusk okłamał nie tylko ich. Przede wszystkim okłamał samego siebie. Wszystko wskazuje na to, że mimo doświadczeń poprzednich „rozliczeń" z PiS, tych po objęciu władzy w 2007 r., kiedy to napompowany przez media balon rzekomych „nadużyć", „nacisków" i „zaszczucia dumnej Ślązaczki" (chodziło o Barbarę Blidę) okazał się całkowitym humbugiem, Tusk raz jeszcze uwierzył we własną propagandę. W to, że po tylu rozdzierających reportażach w TVN i mediach Axela Springera Bodnar oraz komisje sejmowe na pewno łatwo znajdą mu tak „porażające", mówiąc językiem jego przeciwnika, „kwity" na PiS, że ich nagłośnienie i seria miażdżących wyroków przysłonią w oczach zarówno Polaków, jak i Europy nadużycia, których „trzeba było" się dopuścić, by oczyścić państwo z patologii.

Tego, że będzie musiał uciekać przed swoimi własnymi radykałami po tym, jak ich latami podjudzał, niemogącymi pojąć, „dlaczego oni wszyscy jeszcze nie siedzą", nie brał pod uwagę. Inaczej zapewne nie pozwoliłby Giertychowi, by zgodnie ze swym pałkarskim usposobieniem i bojówkarską tradycją polityczną objął nad tą wścieklizną „rząd dusz". Uspokoić radykałów, powiedzieć im prawdę – że nie ma i nigdy nie było żadnych zbrodni do rozliczania – teraz już nie może. Czy widzi inne rozwiązanie – wciągnięcie Giertycha we współodpowiedzialność za fiasko „rozliczeń", zanim ten, jak on sam kiedyś Bronisławowi Geremkowi, wbije mu nóż w plecy, oskarżając o nieudolność, a może nawet zdradę?

Z tego ostatniego powodu Bodnar nie może być pewien, że Tusk tylko straszy go wsadzeniem mu na głowę Giertycha, ale ostatecznie zrobić tego nie może. Może, i to w każdej chwili – kto wie, czy nie nastąpi to w czasie, który musi upłynąć między napisaniem tych słów a wydrukowaniem niniejszego numeru.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Wiesław Chełminiak z Paryża

Wariaci są wszędzie

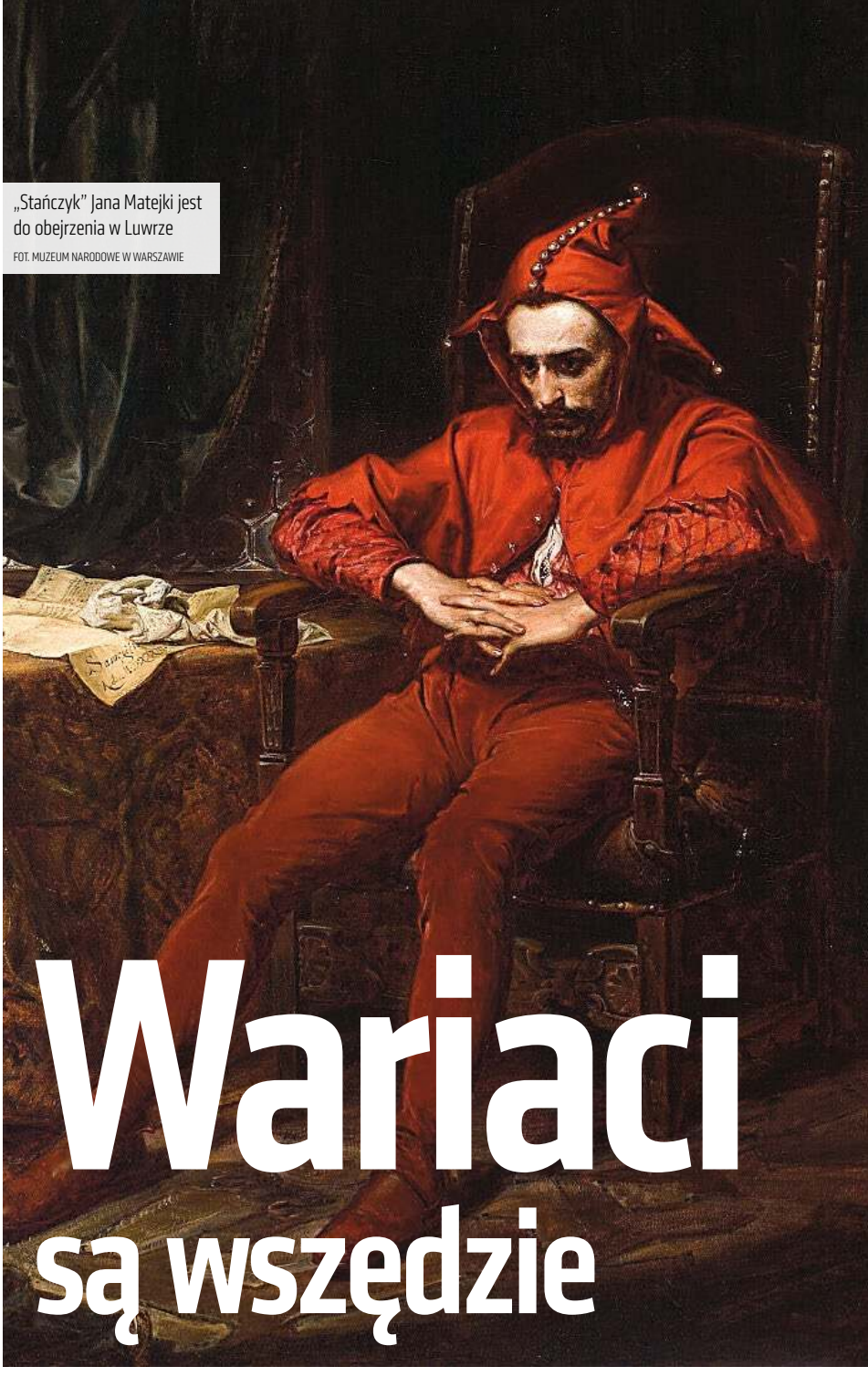

„Stańczyk" Jana Matejki jest do obejrzenia w Luwrze

FOT. MUZEUM NARODOWE W WARSZAWIE

Artysta marzący o rozgłosie musi zgrywać skrajnego ekscentryka. Krytycy komplementują sztukę rodem ze szpitalnych oddziałów zamkniętych. Mnożą się podejrzenia wobec dawnych mistrzów. Może człowiek absolutnie normalny nie jest zdolny do stworzenia arcydzieła?

Jan Matejko, któremu bardzo zależało na uznaniu Francuzów, byłby dumny, ale i trochę zdziwiony, że dyrekcji Luwru zależy właśnie na tym obrazie. Stańczyk, alter ego artysty, w przededniu powstania styczniowego wychylił się za krawędź czasu i dojrzał tam upadek ojczyzny. Autorzy wystawy „Oblicza szaleństwa" najwyraźniej uznali, że postać błazna mądrzejszego od pryncypała zaintryguje zwiedzających. Umieścili więc dzieło krakowianina w przedsionku ekspozycji, w towarzystwie rzeźby trefnisia grającego na dudach, która przez wieki zdobiła katedrę w 's-Hertogenbosch (rodzinnym mieście Hieronima Boscha), tudzież sprowadzonego z Oslo płótna Gustave'a Courbeta „Mężczyzna szalony ze strachu". To autoportret młodego malarza siedzącego na skraju przepaści.

Te trzy dzieła sygnalizują rozpiętość tematu. Francuskie słowo „fou" może oznaczać chorego psychicznie, bęcwała i błazna. Nawet największe muzeum świata miałoby problem z wygospodarowaniem przestrzeni wystarczającej dla ogarnięcia problemu. Szczęśliwie kuratorzy oparli się pokusie wszystkoizmu, ograniczając terytorium poszukiwań do wieków średnich oraz renesansu. Romantyczny epilog uzmysławia natomiast, jak szybko zmieniają się nie tylko mody, lecz także pojęcia.

Z PRZYKLEJONYM UŚMIECHEM

Ekspozycję otwiera cytat z Księgi Koheleta: „Nieskończona jest liczba głupców". Autor łacińskiego przekładu, św. Hieronim, twórczo interpretując hebrajską frazę: „Tego, czego brakuje, nie da się policzyć", trafił w sedno. W średniowieczu obłęd był występkiem, przeciwieństwem zaliczanej do cnót rozwagi. Szaleniec funkcjonował na obrzeżach społeczeństwa. Czekała go jednak wielka kariera. Zanim dobiegła kresu epoka katedr, stał się królem karnawału, symbolem obżarstwa, opilstwa, rozpusty, a także ludowej mądrości. Zarażał młodych i starych miłosnym szałem wiodącym do zguby.

Jaskrawe stroje, czapki z oślimi uszami lub kogucim grzebieniem tudzież kij służący za berło: te atrybuty do dziś zapewniają mu stuprocentową rozpoznawalność. Sylwetka błazna zdobiła zamkowe posadzki, talerze i przedmioty codziennego użytku, karty do gry i figury szachowe. Dziś jako Joker święci triumfy

eprasa.pl a8d4c013d5

w kinie. Urodzony anarchista, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, jak przed wiekami tańczy, śpiewa i natrząsa się z bliźnich, siejąc wątpliwości. Kto jest prawdziwym durniem: klaun czy ludzie, którzy go lekceważą?

Wystawa opiewa na ponad 300 dzieł. Rzeźby, obrazy, grafiki, gobeliny, iluminowane manuskrypty i wyroby rzemieślnicze tworzą zaskakująco szeroką panoramę kultury Europy Północnej z czasów, gdy przenikał ją chrześcijański duch. Figura głupca też miała biblijny rodowód. Początek Psalmu 52 wyjaśniał, że to ktoś negujący istnienie Boga. Zwykle był mężczyzną, lecz nie zawsze: dość wspomnieć przypowieść o 10 pannach z Ewangelii św. Mateusza.

KTÓRĘDY DO NARRAGONII?

Autorów ekspozycji zafascynowała moreska, frenetyczny taniec popularny na XV-wiecznych dworach. Dzikie pląsy były objawem erotycznego zapamiętania. Sześciu panów w dziwacznych kostiumach wirowało wokół damy, która wybierała zwycięzcę. Od akompaniujących muzyków również wymagano ekstrawaganckich strojów i akrobatycznych popisów. Zaiste „taniec głupców" godny był stulecia, które oglądało upadek Bizancjum, kapitulację hiszpańskich Maurów, rozkład Rzeszy Niemieckiej, a w końcu wynalazek druku i odkrycie nowych lądów. Wtedy ukształtował się również kanoniczny wizerunek trefnisia, grającego na dudach pracownika branży rozrywkowej.

Legenda przypisywała Salomonowi tolerowanie w swym otoczeniu niejakiego Markolfa (w Polsce zwanego Marchołtem). Średniowieczni władcy nie chcąc być gorsi, też zatrudniali błaznów, którzy mieli ich bawić już samym wyglądem. Ten wymóg dawał przewagę kandydatom upośledzonym fizycznie, a często również psychicznie. Typowy trefniś plótł, co mu ślina na język przyniosła, lecz niektórzy osiągali status celebrytów. W Luwrze można podziwiać portrety najsłynniejszych błaznów: Coquinet bawił księcia Burgundii, na dworze elektorów Saksonii siał postrach Klaus Narr, oprócz szpetnej fizjonomii miał ponoć także dar przewidywania przyszłości, Triboulet, ulubieniec króla Prowansji, cierpiał na mikrocefalię, co nie przeszkodziło mu zostać intelektualistą.

Takie są korzenie mitu nadwornego kpiarza, któremu wolno było bezkarnie nabijać się z elity. Stańczyka i jemu podobnych rozdmuchała literatura. Nigdy nie zdołamy dociec, ile w opowieściach o trefnisiach filozofach jest prawdy, a ile konfabulacji. Wieki średnie przekazały nam również w spadku sugestywny obraz obłąkańców ładowanych na statki. Miasta portowe rozwiązywały w ten sposób problem wałęsających się po ulicach chorych na umyśle. Według Michela Foucaulta, autora „Historii szaleństwa w dobie klasycyzmu", był to rodzaj rytualnego oczyszczenia, które od zawsze kojarzy się z wodą.

Najbardziej celebrowanym eksponatem wystawy jest zbiór 116 wierszy Sebastiana Branta. „Okręt błaznów" w 1494 r. ukazał się w Bazylei w wersji niemieckojęzycznej, ale szybko pojawiły się wydania łacińskie, francuskie i flamandzkie. Parodia mitu o Argonautach, w której greckich herosów zastąpili wariaci podróżujący do Narragonii, krainy szczęśliwych ignorantów, miała zwrócić uwagę czytelników na niedoskonałość świata. Pierwszą pieśń zdobiła ilustracja z przemawiającym uczonym, którego prawdziwy fach zdradzał rekwizyt w postaci czapki z dzwoneczkami.

LECZENIE GŁUPOTY

Poemat Alzatczyka był bestsellerem epoki, w której jeszcze mało kto umiał czytać. Inspirował artystów, ale dziś pamięta się adresowaną do intelektualistów „Pochwałę głupoty". Autor, Erazm z Rotterdamu, przewrotnie dowodził, że mędrca i trefnisia więcej łączy, niż dzieli. Drwił z kleru, mimowolnie dostarczając argumentów Lutrowi. Rozprawa, zanim trafiła na kościelny indeks ksiąg zakazanych, doczekała się rekordowej liczby wydań. Pierwsze francuskie, jak na ironię, zdobiły grafiki z „Okrętu błaznów".

Hieronim Bosch zmarł, zanim zaczęła się reformacja. Może i czytał dzieła rodaka, lecz natchnienie czerpał z poematu Branta. „Statek szaleńców", lewe skrzydło zaginionego tryptyku (dziś w zbiorach Luwru), to satyra na konsumpcyjny styl życia. Trefniś jest sternikiem, a załoganci to banda opojów i obżartuchów. Od rubasznego poczucia humoru nie stronił również Pieter Bruegel, czego koronnym dowodem są „Niderlandzkie przysłowia" (alternatywny tytuł: „Świat do góry nogami"). Obaj artyści uwiecznili zabieg usuwania „kamienia głupoty". Szarlatan wlewa olej przez otwór w czaszce pacjenta. Pozostaje wierzyć, że to tylko artystyczne harce i w realu nikt takich zabiegów nie dokonywał.

W XVI w. mogło się wydawać, że świat oszalał. Papieski autorytet legł w gruzach, władzę cesarza uznawano tylko w jego dobrach dziedzicznych. Figurę pomyleńca chętnie przywoływali moraliści i publicyści. Na wystawie zgromadzono przykłady protestanckiej propagandy: grafiki, antyklerykalne medale, a nawet kafle i pionki do tryktraka przedstawiające katolików jako ludzi niespełna rozumu. Druga strona odgryzała się, porównując bunt przeciw kurii rzymskiej do marnej komedii.

Gdy rozstrzygającym argumentem w religijnych sporach stała się przemoc, jedna z bohaterek „Okrętu błaznów" nabrała cech zgoła apokaliptycznych. Jako Szalona Greta, personifikacja wojennego zamętu, zaistniała w twórczości Bruegla i jego naśladowców. Karykatura „dobrze wykształconego głupca" potwierdza natomiast, że błazen z maskotki monarchów stał się ulubieńcem gawiedzi, bohaterem karnawału. Wyjątkowego czasu, w którym żebrak mógł się na chwilę poczuć bogaczem, cham – szlachcicem, a kurtyzana – księżną.

PIELĘGNIARZ Z BATEM

Ludowe poczucie humoru prowokowało wysyp dzieł sprzecznych z obowiązującymi dziś zasadami poprawności. Zwiedzający starają się więc powstrzymać śmiech, oglądając obrazki z wariatami spadającymi z drzew jak dojrzałe owoce. Konkurencyjna teoria głosiła, że głupcy rodzą się z jaj wysiadywanych przez gigantyczną – i najpewniej pozbawioną piątej klepki – kurę. Zdaniem kuratorów takie zabawowe podejście zaczęło zanikać w dobie oświecenia. Ostatnim błaznem w starym stylu był rozpustny prostak Pulcinella (czyli Poliszynel), przeciwnik Arlekina. Świat komedii dell'arte miał to szczęście, że zdążył go utrwalić dla potomności Wenecjanin Giandomenico Tiepolo.

Foucault nie miał wątpliwości: to nowoczesna kultura Zachodu nazwała szaleństwo chorobą psychiczną. Pod koniec XVIII w. obłąkany stał się obiektem kuracji medycznej. Zwiastunem nowego

eprasa.pl a8d4c013d5

podejścia jest przerażająca rzeźba Franza Xaviera Messerschmidta „Zniewolony człowiek". Wykrzywioną w grymasie twarz mężczyzny, leczonego magnesem, można uznać za autoportret. Austriak cierpiał bowiem na zaburzenia umysłowe, o których naturę do dziś spierają się lekarze.

Francuzi najbardziej lubią mówić o sobie, więc sporo miejsca poświęcili paryskiemu szpitalowi Salpêtrière. Pierwotnie był on fabryką prochu, potem przytułkiem dla ubogich oraz więzieniem dla przestępców, prostytutek, epileptyków i libertynów. Słynął z wielkiej populacji szczurów. Za niewielką opłatą Salpêtrière można było zwiedzać. Personel urządzał wtedy pokazy tresury podopiecznych.

Do hospicjum chętnie zaglądali artyści. Théodore Géricault na zamówienie prominentnego lekarza namalował pięć portretów pacjentów. Kuratorzy z Luwru wybrali konterfekt kobiety uzależnionej od hazardu. W Salpêtrière praktykował dr Paul Gachet, opiekun Vincenta van Gogha. Sam też miał talent, o czym świadczy rysunek przedstawiający Jeanne Duval. Egzotyczna muza Baudelaire'a była już u kresu drogi, choroba weneryczna doprowadziła ją do obłędu. „Poeta przeklęty" podążył za Jeanne kilka lat później.

Rysunek jest niewielki, malowidło sławiące humanizm republiki wręcz przeciwnie. W 1795 r. nowy dyrektor szpitala, dr Pinel, kazał zdjąć kajdany przetrzymywanym tam kobietom. Wcześniej urządził podobny happening w azylu dla zaburzonych mężczyzn. Proceder pokazywania szaleńców niczym zwierząt w cyrku trwał jednak w najlepsze.

HISZPANIA, KRAJ POMYLEŃCÓW

Romantycy z zasady interesowali się wszystkim, co dla oświecenia było anormalne. Rehabilitacja gotyku i odkrycie geniuszu Szekspira sprawiły, że Szwajcar Johann Heinrich Füssli stał się ulubionym artystą Brytyjczyków. Za młodu, gdy nie hołdował jeszcze poetyce sennego koszmaru, popełnił grafikę komentującą zauroczenie dawnych mistrzów poematem Branta. Oto szalony malarz portretuje błazna filozofa. W „dorosłej" twórczości Füssli starał się raczej straszyć, niż śmieszyć. Zwłaszcza że w XIX w. wariat stał się postacią tragiczną.

W tej części ekspozycji króluje Victor Hugo. Publikując „Katedrę Marii Panny w Paryżu" w osobie Quasimodo – garbatego króla karnawału – wskrzesił figurę średniowiecznego odmieńca. A nawet dwie figury, gdyż nieszczęsny kanonik Frollo, powodowany uczuciem do pięknej Cyganki, dopuszcza się czynów szalonych. Rok później Hugo chciał powtórzyć sukces spektaklem „Król się bawi". Wbrew tytułowi głównym bohaterem był błazen, który sekundując władcy w różnych łajdactwach, nie przewidział, że ów zapragnie zbezcześcić jego ukochaną córkę.

„Statek szaleńców" Hieronima Boscha to satyra na konsumpcyjny styl życia
FOT. FRANCK RAUX/MUSÉE DU LOUVRE

Czujna cenzura zablokowała przedstawienie, lecz wywrotowy przekaz i tak dotarł do publiczności za sprawą opery „Rigoletto". Nie było również dziełem przypadku, że w dobie kryzysu monarchii z Bożej łaski artyści jęli obrazować epizody z biografii koronowanych szaleńców. Takich jak Karol VI, który w amoku pozabijał własnych giermków oraz unikał fizycznego kontaktu, twierdząc, że jest zrobiony ze szkła. Obłęd króla, panującego długo i nieszczęśliwie, wykorzystali Anglicy. Francja znalazła się na dnie i dopiero interwencja Joanny d'Arc (przez wielu rodaków uważanej za wariatkę) odwróciła losy wojny.

Victor Hugo wiedział o szaleństwie więcej niż inni pisarze. Miał brata, który popadł w chorobę umysłową. Gdy pod pretekstem remontu przebudowano katedrę Notre Dame w duchu neogotyckim, na jej dachu umieszczono chimery. Rzeźbiarze czerpali natchnienie z ilustracji zdobiących powieść. Obecność czterech (spośród 54) odrestaurowanych straszydeł w Luwrze trzeba więc uznać za uzasadnioną.

Dziwi natomiast czepianie się Hiszpanii, która nie leży wszak w Europie Północnej. Czyżby w oczach kuratorów ziomkowie Don Kichota byli nacją szczególnie podatną na urojenia? Wizerunkom Rycerza z La Manchy towarzyszą obrazy poświęcone dziedziczce tronu Kastylii Joannie Szalonej. Z powodu nadmiernej rozpaczy okazywanej po śmierci męża została ona odsunięta od władzy, poddana egzorcyzmom, a w końcu dożywotnie uwięziona. Wszelką nadzieję odbierają zaś ryciny Francisca Goi. Tytuł najsłynniejszej – „Gdy rozum śpi, budzą się demony" – pasuje również do pozostałych. Aż z Dallas wypożyczono niewielki obraz mistrza przedstawiający bójkę pomyleńców na dziedzińcu szpitala w Saragossie. Goya był naocznym świadkiem tej sceny.

Szkoda, że w kręgu zainteresowań autorów ekspozycji znalazł się tylko jeden „Boży szaleniec", św. Franciszek. No cóż, odwieczna anegdota o kobiecie zmieniającej mężczyznę w głupca ma większy komercyjny potencjał niż mistycy, których współczesny Kościół trochę się wstydzi. XIII-wieczna legenda o Arystotelesie, ujeżdżanym przez piękną Filis, doczekała się zresztą wielu trawestacji (patrz: powieść „Profesor Unrat" i jej filmowa wersja „Błękitny anioł").

Sklepik, przez który musi przejść każdy zwiedzający wystawę, oferuje różne gadżety. Między innymi reprodukcję grafiki, która powstała we Francji w czasach wojen religijnych. W miejscu, gdzie trefniś powinien mieć głowę, Jean de Gourmont zamieścił mapę świata. Czyżby chciał dać do zrozumienia, że przed błaznami nigdzie się nie skryjesz?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Figures du Fou: du Moyen-Âge aux Romantiques" w paryskim Luwrze zakończy się 3 lutego.

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. TADEUSZ KONARZ/REPORTER

Profesor z gitarą

Krzysztof Masłoń

Jest bardem absolutnie wyjątkowym. Ten profesor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, historyk sztuki, znawca i tłumacz literatury starofrancuskiej jest także – po prostu, jak inni bardowie – facetem z gitarą śpiewającym arcypolskie utwory głęboko osadzone w naszej historii i tradycji, a także nawiązujące do współczesnych wydarzeń, do tego wszystkiego, co dzieje się tu i teraz. Regularnie nawiązuje przy tym do poezji sarmackiej, w której jest rozkochany. Nawiasem mówiąc, przed laty miał okazję wystąpić w swoistym twórczym dialogu z Jackiem Kaczmarskim w programie zatytułowanym „Dwie Sarmacje". Ci dwaj bardowie na szerokie wody wypłynęli zresztą na tej samej imprezie – Studenckim Festiwalu Piosenki w Krakowie. W 1988 r. Jacek Kowalski wygrał ów festiwal, ex aequo z kabaretem Fajf, śpiewając m.in. „Psalm rodowodowy", który do dziś uważa za jeden z najważniejszych swoich utworów:

Patrz tam, gdzie Sarmacja jest żyzna,
Tam to była Twoja ojczyzna,
Gdzie przodkowie Twoi śmiali
Z Rzymianami się ścierali.
[...]
Republiko! gdzie się zataczasz,
W jakie obce porty znów zbaczasz,
A z ojczystej twojej strony
Czyj dom będzie uczyniony?
– Ja się zowę rzeką podziemną,
Bóg jest ze mną, orzeł nade mną;
Choć się skryję, to wypłynę,
A bądź pewien, że nie zginę.

Jest autorem kilkudziesięciu książek naukowych i popularnonaukowych, wśród nich jednej z najpiękniejszych książek wydanych w ostatnich latach – „Straszny Dwór, czyli sarmackie korzenie Niepodległej", jak również nagrodzonej Nagrodą im. Józefa Mackiewicza pracy „Sarmacja. Obalanie mitów". Równie bogata jest jego dyskografia, obejmująca dziesiątki kaset i płyt CD, nagrywanych z zespołami Monografista JK i Klub Świętego Ludwika, w duecie z lutnistą Henrykiem Kasperczakiem, a także solo. A koncertuje Jacek Kowalski w przeróżnych miejscach, bo i na festiwalach muzyki dawnej i piosenki autorskiej, i na spotkaniach w kościołach, i na rekonstrukcjach historycznych. I śpiewa tam takie pieśni jak „Kazanie Świętego Jacka w Wyszogrodzie" ze słowami:

Jeżeli wierzysz w Boga
pamiętaj, że prawda jest jedna,
Niezmienna i nieodwołalna
i do zbawienia potrzebna.
Te słowa w sercu wyryj
i w duszy swej rozważaj,
A jeśli ktoś ci mówi
że ma własną prawdę – uważaj!
Albowiem człowiek sam z siebie
niczego nie ustanowi:
Nie ufaj byle komu
zaufaj Kościołowi.

Owo „Kazanie..." nasuwa skojarzenie ze sławnym hymnem Piwnicy pod Baranami, którym stały się „Dezyderata". Wsłuchajmy się więc w rady, jakie przekazuje prof. Kowalski:

Nie w księdza wierz, ale w Kościół,
nie szukaj podłych błahostek,
Dziś, gdy pragnienie prawdy
zastąpił głód ciekawostek
Toleruj głupców, lecz tęp
głupotę i podły gust,
Nie pozwól w imię miłości
zamykać sobie ust.
Niech wiedzą niedoskonali
że są niedoskonali,
Albowiem prawdziwa miłość
w prawdzie się doskonali.
Nie próbuj naśladować
głupoty prostego tłumu,
Jeżeli Bóg dał ci rozum,
to rób użytek z rozumu.
Na przekór inteligentnej
wulgarnych mędrców armii
Niech wiara twa szuka rozumu
a rozum prawdą się karmi.
Niech nie zachwieje tobą
dyskurs przewrotnie mętny
Bo szatan nie ma mądrości,
jest tylko inteligentny.

Śpiewa Kowalski o „Szarży i śnie husarskim": „Bo będzie durszlak alias sito / Kto chce uderzyć Rzeczpospolitą", o tym, jak „Berestecką potrzebą Apollo śpiewa": „Powstań Lechu, powstań Lechu, a pisany porzuć dzban! / Patrz w słoneczko Beresteczka, hajdamaków gnaj!", przekazuje „Dumę o Chodkiewiczu", a i „Dumę ukraińską", z końca XVI (!) stulecia z tym niezapomnianym retorycznym pytaniem: „Cóż może być piękniejszego, / Nad człowieka rycerskiego?". A i szczególnie lubiany przez piszącego te słowa utwór: „Dlaczego »Pan Tadeusz«...?":

Niezmiennie, nieodmiennie,
codziennie mnie wzrusza
Dziewięć tysięcy wersów „Pana Tadeusza".
Ich ogrom, ładność, blask i mrok łaskawie lśniące
Spadają na mnie niczym gwiazdy spadające.
[...]
Lecz cóż ja – podczas naszych obcesowych czasów,
Żądz niskich, średnich płac
i wysokich obcasów,
Gdy świat przebiera miarkę, zdążając do kreski,
Czuję się sam jak niedźwiedź głupi i litewski.
Lub jak szlachecka mucha, gnuśna, eleacka,
Którą Wojskiego packa rozpłaszcza znienacka.
Lub jak otarta z wąsów Sędzi słona łza –
Szczęściem, wbrew pandemonium, „Pan Tadeusz" trwa.

Doktorat zrobił Jacek Kowalski w 1997 r., habilitację w roku 2011 na podstawie rozprawy „Gotyk Wielkopolski. Architektura sakralna XIII–XVI w.". W swoim rodzinnym Poznaniu jest człowiekiem bardzo popularnym, przez starszych pamiętany także dzięki swoim rodzicom, projektantom tzw. mebli Kowalskich, w tym pierwszej polskiej meblościanki, robiącej furorę w latach 60. zeszłego wieku. Przez lata prowadził w Radiu Poznań stałą audycję „Kowalski na pięć minut". Już nie prowadzi.

Jest laureatem wielu nagród i wyróżnień, ale właśnie w Poznaniu w 2022 r. rada miasta nie przyznała mu nagrody „Zasłużony dla miasta Poznania", po protestach Grupy Stonewall i artykułach w „Gazecie Wyborczej", w której jego konserwatywne poglądy uznano za „ohydne". W istocie wyraził się krytycznie o ruchu LGBT+ i nurcie gender, uważając je za „społecznie szkodliwe i oparte na ideologii". Przypomniał również, że „w świetle nauki chrześcijańskiej akt homoseksualny jest grzechem i nic tego zmienić nie jest w stanie: ani żaden ksiądz, ani żaden biskup, ani żaden papież". I tak bard Kowalski stał się nieomal wrogiem publicznym „postępowej" części ludzkości ochoczo reprezentowanej przez gazetę redagowaną w Warszawie przy ulicy Czerskiej. Na tym większy szacunek zasługując. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. JULIE EDWARDS/PHOTOSHOT/LFI/AVALON.RED/REPORTER

Spokojna dzikość serca

Piotr Gociek

15 stycznia zmarł David Lynch, twórca serialu „Twin Peaks", który wszedł do historii kina filmami „Blue Velvet", „Dzikość serca", „Prosta historia" i „Mulholland Drive"

Poznałem Davida Lyncha we wrześniu 2000 r. w Los Angeles, dokąd przybyłem wraz z organizatorami festiwalu Camerimage. Głównym celem były uroczystości ku czci Krzysztofa Kieślowskiego organizowane przez amerykańską Akademię Filmową przy współpracy Camerimage: przegląd krótkich filmów i panel dyskusyjny w Samuel Goldwyn Theater, potem dwutygodniowa retrospektywa twórczości reżysera w Los Angeles County Museum of Art. Całość uzupełniała wystawa polskich plakatów filmowych w siedzibie Akademii.

Program był ciekawy, ale nieprzeładowany, mieliśmy sporo czasu na rozmaite inne aktywności, więc członkowie delegacji rozpierzchali się po mieście każdego kolejnego dnia, wędrując za własnymi zainteresowaniami. Dzień przed powrotem do Polski chłopaki z Camerimage oznajmiły, że mają w zanadrzu niespodziankę. Pojechaliśmy do jednej z hal nieopodal lotniska LAX, gdzie w najdalszym kącie stała scenografia, na tle której robiliśmy sobie za chwilę fotki. I tak oto trafiłem wprost na plan filmu „Mulholland Drive", a dokładnie do kuchni domu zamieszkanego przez Betty Elms, graną przez Naomi Watts.

RZADKI OKAZ W HOLLYWOOD

Okazało się, że w czasie, gdy reszta z nas odwiedzała miejscowe kina, muzea i plaże, Marek Żydowicz, szef Camerimage, omawiał z Davidem Lynchem szczegóły jego wizyty planowanej na grudzień 2000 r. (wtedy to w Łodzi reżyser otrzymał nagrodę za całokształt twórczości). Omawianie szło tak dobrze, że zamieniło się w naszą wizytę na planie; sam Lynch okazał się przeuroczym, sympatycznym kompanem, który nie robi wrażenia ani ponurego, ani tajemniczego, ani szalonego – w odróżnieniu od jego filmów. „Był niezwykle miłym, pogodnym człowiekiem, szczerym, oddanym. Powiem nawet, że jego dobroć była tak daleko posunięta, że niektórzy ludzie bardzo ją wykorzystywali" – wspominał Marek Żydowicz, dyrektor Camerimage, w rozmowie z PAP, gdy dotarła do nas smutna wieść o śmierci reżysera.

Marek ma rację, Lynch był świetnym gościem, a w dodatku bardzo rzadkim okazem we współczesnym Hollywood. Kręcił filmy takie, jak chciał, wtedy, kiedy chciał, i ze znanych tylko sobie powodów. A nie dlatego, że zmuszały go do

eprasa.pl a8d4c013d5

tego jakieś wieloletnie kontrakty, prośby i groźby właścicieli studiów fimowych, żądza sławy, aktualne mody czy cokolwiek innego. Kiedy nie kręcił – i tak miał ręce pełne roboty: malował, rysował, pisał, komponował muzykę.

Dla mnie pożegnanie z Lychem ma głębokie osobiste znaczenie nie dlatego, że poznałem go blisko jak Żydowicz (tak nie było), ale dlatego, że był on jednym z tych autorów, którzy stworzyli ścieżkę dźwiękową i wizualną do mojego życia. Pamiętam szok, w jakim byłem po obejrzeniu na jednym z konwentów miłośników fantastyki jego ekranizacji „Diuny" (1984). Był to film tak dziwny i inny od typowej kinowej fantastyki, że nie można go było wyrzucić z głowy. „Blue Velvet" (1986), który do Polski trafił dopiero dwa lata po premierze (wciąż pamiętam odrapane opolskie Kino Stylowe), tak wpasował się w inne wydarzenia mego życia, że stał się kamieniem granicznym między szczęśliwymi barwnymi latami szczenięcymi a przedwczesną dorosłością, światem poważnym i czasami ponurym.

Dwoistość, warstwowość świata na ekranie oddawała doskonale ten moment; tak jak parę lat później „Dzikość serca" (1990) rozwalała system – był to dla mnie film symbol, jeden ze zwiastunów innego porządku także w świecie kultury. Komunizm się rozpadał, zaczynały się nowe czasy, kolorowy ekstrawagancki trip Lyncha stał się ich symbolem, tak jak eksplozja popularności wypożyczalni kaset wideo, uliczne stragany z niemieckimi gumami Mamba czy inwazja kolorowych tanich ciuchów z Azji.

Symboliczne znaczenie dla całego pokolenia – będę bronił tej tezy – miał też największy sukces w karierze Lyncha, czyli serial „Twin Peaks". Kiedy trafił na ekrany polskich telewizorów, byliśmy właśnie w sytuacji granicznej, między starym a nowym. Stare były takie historie jak komedia „Och, Karol" czy serial „Jan Serce", a nawet brutalnie rozliczający się z mrokami PRL „Krótki film o zabijaniu" Krzysztofa Kieślowskiego. Opuszczaliśmy świat komunizmu, który był podły, nędzny, zakłamany i biedny, ale którego reguły funkcjonowania znaliśmy doskonale. Nowy świat, którego symbolem stały się zakazane dotąd amerykańskie seriale i japońskie odcinkowe kreskówki, oferował nowy zestaw emocji i reguł, podbijany jeszcze perswazją mediów z początków III RP. Połączenie radosnej konsumpcji z darwinizmem społecznym i wolnej konkurencji, czyli kapitalizmu, który miał być ponoć dziki, a tak naprawdę okazał się ustawioną grą w kasynie dla najbogatszych.

„Twin Peaks" szokował tym, że niczego nie wyjaśniał. Oczywiście, przede wszystkim, robota była świetna: połączenie melodramatu, kryminału, soap opery i fantastyki. Oczywiście – hipnotyzująca muzyka Angela Badalamentiego. Obsada, atmosfera, humor – wszystko zagrało. Ale najbardziej zaskakujące było to, że tyle milionów ludzi z całego świata emocjonowało się opowieścią, która ku niczemu nie prowadzi. Niby dowiedzieliśmy się w drugim sezonie, kto odpowiada za śmierć Laury Palmer, ale do dziś (mimo powstania sezonu trzeciego w roku 2017 r.) jesteśmy bezradni, gdy ktoś zapyta o zasady rządzące uniwersum „Twin Peaks". Żadne rozstrzygnięcie fabularne, żaden cliffhanger, żaden finał nie przywracał porządku w chaosie. Dlaczego? Bo – po pierwsze – nie wiemy, jaki to miałby być porządek rzeczy, po drugie – nie wiemy, czy w ogóle taki istnieje, po trzecie – niczym w powieściach Dicka pojawiała się nieustanna sugestia, że rzeczy nie są takimi, jakie są. A jakie są? Tego nie wiadomo. Widzimy tylko kolejne zasłony.

Według mnie to przesłanie korespondowało doskonale ze stanem ducha wielu widzów (szczególnie w Polsce), którzy ze świata przeregulowanego i czytelnego (świata zimnej wojny) przenosili się właśnie do świata płynnej nowoczesności. Ktoś pociąga za sznurki. Ale kto i gdzie? Istnieją jakieś reguły. Ale kto je ustala, po co i w czyim interesie? Politycy coś ogłaszają. Czy można im wierzyć? Zgiełk konsumpcjonizmu, łoskot burzenia i budowania, rozsypujące się dawne tożsamości i powstające nowe narracje – wszystko to utrudniało zrozumienie świata. Niczego nie wyjaśniało.

PIERWSZY POPULARNY SURREALISTA

I wreszcie moje kolejne olśnienie Davidem Lynchem – film „Prosta historia" („Straight Story"). Miałem szczęście być wśród pierwszych jego widzów – w 1999 r. podczas festiwalu w Cannes. Wyszedłem z seansu oszołomiony. Dziś w rozmaitych zestawieniach wspomina się „Mulholland Drive" jako jeden z najlepszych lub czasem najlepszy film XXI stulecia – jeśli tak, to „Prosta historia" jest jednym z najlepszych filmów ostatniego ćwierćwiecza wieku XX. Tak naprawdę dopiero wtedy zrozumiałem, że Lynch nie jest jedynie ekscentrykiem, który bawi się oczekiwaniami publiczności i wodzi ją na manowce poetyką surrealistycznego snu. „Prosta historia" to był film, którego nie powstydziłby się ani włoski neorealista, ani amerykański przedstawiciel kina autorskiego lat 70. XX w. A jednocześnie film głęboko Lynchowski, pełen niepokoju, podszyty metafizycznym lękami. Znacie zapewne doskonale ten boomerski argument przeciw awangardzie: niech sobie malują trójkąty i plamy, ale najpierw niech pokażą, że potrafią porządnie namalować konia. Otóż Lynch pokazał „Prostą historią", że potrafi. Potrafi wszystko – porównajcie „Diunę" z „Prostą historią" właśnie. Albo „Człowieka słonia" i „Mulholland Drive". Jakże różne to opowieści! A zarazem wszystkie – bardzo Lynchowskie.

Gdyby ktokolwiek miał wątpliwość co do piętna, które odcisnął David Lynch na kulturze ostatniego półwiecza, to podpowiem jeszcze, że jest chyba pierwszą postacią od czasów Humphreya Bogarta, która stała się rozpoznawalnym symbolem w świecie masowej wyobraźni. Nawet publika, która nigdy nie widziała żadnego z jego filmów, rozpoznaje jego charakterystyczną sylwetkę, fryzurę i zbolałą twarz, gdy goszczą w żartach rysunkowych. Tak jak kiedyś bezbłędnie rozpoznawano Bogarta parodiowanego w kreskówkach Looney Tunes czy nawet wrysowywanego osobiście w świat animowany.

Reżyser „Dzikości serca" doczekał się wejścia do języka potocznego przymiotnika stworzonego od jego nazwiska. Mówimy, że coś jest „lynchowskie", tak jak mówimy, że coś jest „bergmanowskie" albo „allenowskie" – wszyscy od razu wiedzą, o co chodzi. Pauline Kael, znana amerykańska krytyk, nazwała go „pierwszym popularnym surrealistą". Dla mnie jest pogodzonym ze światem gigantem kina. Pogodzonym, bo rozumiał, że snu, który wspólnie śnimy, zwykle nie da się racjonalnie wyjaśnić. Ale że ten niepokój nie powinien nam przeszkadzać w podróży.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

KINO

Cena ryzyka

★★★★☆☆
REŻ. MICHAEL GRACEY
„BETTER MAN: NIESAMOWITY ROBBIE WILLIAMS" („BETTER MAN")
AUSTRALIA/ WIELKA BRYTANIA 2024

Satyryczny musical i dekonstrukcja tradycyjnej biografii. Za 110 mln dol. O artyście, który od dekady nie miał wielkiego hitu. Cóż. Nie powinniśmy się dziwić temu, że ten film zatonął, lecz raczej temu, że ktoś dał pieniądze na jego produkcję.

W dodatku Robbie Williams nigdy nie podbił amerykańskiego rynku. Dlaczego więc ktoś miałby ochotę oglądać w USA jego biografię? Jest i inna zagadka: Czemu także w Anglii, gdzie ma status supergwiazdy, na salach były pustki? Reżyser Michael Gracey poprzednim razem dostarczył publice hit: musical „Król rozrywki" o P.T. Barnumie, z Robertem Downeyem Jr. w roli głównej (pół miliarda dolarów wpływu). Teraz w weekend otwarcia zarobił w USA tylko nieco ponad milion. Co tu się porobiło?

Podobno zawinił zbyt odważny koncept: zamiast prawdziwego Robbiego Williamsa lub aktora wcielającego się w byłą gwiazdę Take That dostaliśmy cyfrowo animowaną małpę. Był ku temu powód. Nękany rozmaitymi lękami Williams wyznaje, że tak właśnie zawsze widział siebie samego: jak małpę w cyrku, osobnika, który tu nie pasuje, walczy z poczuciem niższości. Inni są bardziej przystojni, utalentowani, bogatsi, a on musiał zawsze w dwójnasób pracować, żeby udowadniać, że też coś tam potrafi. Doceniam szczerość czy wręcz ekshibicjonizm Williamsa, ale zapewne część potencjalnych widzów uznała pomysł za zbyt ekstrawagancki. Nie przebili się przez małpę.

Odrzucam jednak to tłumaczenie jako zbyt łatwe. Myślę, że zaważyły dwie inne sprawy: mimo wizualnych szaleństw opowieść jest konwencjonalna do bólu (chłopak z nizin przebija się na szczyt, a po drodze ćpa i ma kryzysy). Ponadto nieco ponad rok temu kilkadziesiąt milionów widzów obejrzało szczery, wciągający, prowokujący serial dokumentalny „Robbie Williams" w Netflixie. Po co więc mieliby dziś płacić ekstra za obejrzenie bryku z małpą?

A teraz paradoks: film „Better Man: Niesamowity Robbie Williams" doczekał się entuzjastycznych recenzji krytyków i niemal równie entuzjastycznych opinii widzów. I co więcej, są one zasłużone. Najnowsze dzieło Michaela Graceya kwalifikuję więc do rzadkiej kategorii: świetnie nakręcone filmy, które nikomu nie są potrzebne. ©℗

GRA TYGODNIA: „DONKEY KONG COUNTRY RETURNS HD" ★★★★☆☆

Remaster 15-letniej platformówki przygotowany na zlecenie Nintendo przez polskie studio Forever Entertainment. Gra debiutowała na Wii, potem na 3DS-a wydano port, który broni się jeszcze dziś i w zasadzie niewiele odbiega od wersji na NS. Klasyczny przedstawiciel gatunku z dobrze znanym bohaterem, ze zróżnicowanymi poziomami i dopracowany technicznie. Aż tyle i tylko tyle. Dla fanów gatunku solidna pozycja. Gracze, którzy chcą w kolekcji zaledwie dwie–trzy platformówki, na pewno znajdą coś lepszego w bogatej ofercie Nintendo. ©℗ ***Radosław Wojtas***

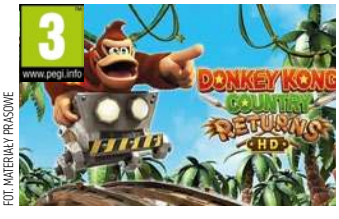

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** ***platformowa***
- ***Platforma:*** ***Nintendo Switch***
- ***Producent; wydawca:*** ***Forever Entertainment; wydawca: Nintendo***

eprasa.pl a8d4c013d5

Pociąg do paraboli

KINO

Rzadko się zdarza, by sequel dorównał oryginałowi. Jeszcze rzadziej, by go przewyższał. Nie tęskniłem więc za ponownym spotkaniem z bohaterami polskiej wersji „Młodych gniewnych", dość wydumanej opowieści o nauczycielu, który znalazł patent na niesfornych małolatów z ogólniaka imienia Stanisława Barei. A tu niespodzianka. Poza paskudnym tytułem kontynuacja nie powiela większości grzechów poprzednika. Slalom między tyczkami banału, wulgarności i ckliwości przebiega sprawnie. Nie bez kozery ścieżkę dźwiękową otwiera przeróbka landrynkowych „Dmuchawców, latawców", a zamyka dziarski utwór „Lust for Life" Iggy'ego Popa. Narkotyki i wątki kryminalne zniknęły za horyzontem, dzieciaki z III B nie pozują już na wyrzutków (były w tym mało wiarygodne). Dawid Ogrodnik też się uspokoił i dał sobie spokój z rapowaniem. Prawdę powiedziawszy, tym razem nie ma zbyt wiele do zagrania. Ciężar fabuły dźwiga aktorska młodzież i – z drobnymi wyjątkami – daje radę.

Od kiedy pamiętam, krytycy znęcali się nad takimi dziełami, zarzucając ich autorom lakiernictwo. No cóż, kino spod znaku „coming of age" wypracowało reguły, które często kłócą się z realizmem. Pieniądze nie są tu problemem. Wszyscy je mają. Warszawa i Wisła są piękne jak sen (kładka dla pieszych i rowerzystów zastąpiła dawny fetysz – most Świętokrzyski). Nastoletniej egzaltacji czepiać się nie warto. W tym wieku nawet drobny niefart odbiera się w kategoriach apokaliptycznych.

Nad scenariuszem unosi się jednak zapaszek dydaktyzmu. Z ekranu płyną myśli złote, srebrne i brązowe o tym, że seksizm to hańba, porno to ściema, że lepiej rozmawiać, niż tłumić emocje, że szkoła ma przede wszystkim uczyć empatii tudzież tolerancji dla odmieńców (reprezentowanych przez autystycznego Kordiana vel Korka). Wszyscy wiedzą, że polski system edukacji robi bokami, a jedną z przyczyn jest niskie morale kadry nauczającej. W filmowym liceum ciało pedagogiczne nie jest monolitem. Ostra jak brzytwa matematyczka, wicedyrektor – karykaturalny konserwatysta, ludzki ksiądz katecheta i polonista skandalista – każdy ciągnie w swoją stronę. Gdzie szukać pocieszenia? W kolejnictwie (nie mylić z PKP). ©℗

Wiesław Chełminiak

★★★★☆☆

REŻ. SARA BUSTAMANTE-DROZDEK
„PIEP*ZYĆ MICKIEWICZA 2"
POLSKA 2025

wyst. Hugo Tarres, Wiktoria Koprowska, Karol Rot

DŻIHAD W PRAKTYCE

CINEMAN

W Dniu Dialogu z Islamem zachęcać do obejrzenia „Hotelu Mumbai"? Trudno o większy nietakt. Jesienią 2008 r. 10 zbirów uzbrojonych w karabiny i granaty zaatakowało kluczowe obiekty Bombaju, w tym luksusowy hotel Taj Mahal. Obsługa, której wbito do głów, że „klient jest bogiem", za wszelką cenę próbuje ochronić gości, zanim z odległej o 1,3 tys. km stolicy przybędzie jakaś odsiecz. To nie „Szklana pułapka", do akcji nie wkroczą urlopowany amerykański policjant, brytyjski agent ani biznesmen – posiadacz czarnego pasa w karate. Bohaterem okaże się człowiek najmniej do tego predestynowany. Celem dżihadystów jest zabicie jak największej liczby niewiernych („To zwierzęta i nie zasługują na łaskę Allaha"), głównym zaś zmartwieniem – że mocodawca zwleka z wypłaceniem ich rodzinom obiecanych pieniędzy. ©℗

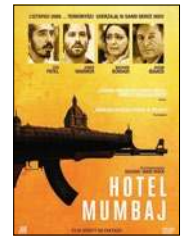

★★★★☆☆

REŻ. ANTHONY MARAS
„HOTEL MUMBAI"
AUSTRALIA, INDIE, USA 2018

wyst. Dev Patel, Armie Hammer, Nazanin Boniadi

RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Zmiana planów

Gdyby nie fakt, że od jakiegoś czasu „piniendzy w Polsce nie ma" i – przynajmniej jeszcze przez jakiś czas – nie będzie, nigdzie i na nic, a w kulturze i na kulturę zwłaszcza, Zamek Królewski w Warszawie wszedłby w nowy rok z dwiema czasówkami. Jedną z nich byłaby, zapowiadana nie bez przesady jako „prawdziwa sensacja", pierwsza w Polsce wystawa dzieł Rafaela Santiego. Stało się inaczej i trzeba się zadowolić mniej imponującą wystawą obrazów z Narodowego Muzeum Sztuki im. Bohdana i Warwary Chanenków w Kijowie.

FOT. MACIEJ CIOCH

Dzieła, zagrożone zniszczeniem w wyniku rosyjskich ataków na Kijów, zostały wypożyczone do Warszawy, gdzie czekają bezpiecznie na spokojniejsze czasy. Ekspozycję, na którą składa się 37 obrazów, m.in. Rubensa, Bellotta, czy Juana de Zurbarána, podzielono na sześć części prezentujących sztukę włoską, hiszpańską, holenderską, flamandzką, francuską oraz polonika. Wśród nich „Portret Stanisława Augusta w stroju Henryka IV" z 1797 r. ©℗

GDZIE?
Zamek Królewski w Warszawie
KIEDY?
do 30 marca

eprasa.pl a8d4c013d5

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Barwy ochronne

W marcu 1977 r., po obejrzeniu głośnego wówczas filmu Krzysztofa Zanussiego „Barwy ochronne", prof. Władysław Czapliński zawarł w dzienniku taką o nim opinię: „Podobał mi się bardzo i choć uważam, że to atak jednostronny, to po pierwsze: nie paszkwil, po drugie: pożyteczny". Nie dopatrzył się więc w filmie „paszkwilu na uniwersytety", jak sugerował mu w liście Henryk Wereszycki, przyjaciel, też profesor, tyle że Uniwersytetu Jagiellońskiego, a nie Wrocławskiego.

Gdyby Zanussi w pisaniu scenariusza mógł posłużyć się dziennikiem Czaplińskiego, przedstawiony przez niego obraz środowiska naukowego w PRL byłby jeszcze bardziej negatywny. Autor nie cenzurował bowiem sam siebie, wyrażając swoje oceny zdecydowanie, nie owijając prezentowanych spraw w bawełnę, a wnioski formułując w ostrym, nierzadko, języku. Niewątpliwie, gdyby jakimś cudem ten potężny, ponad 700-stronicowy „Dziennik z lat 1958–1981" ukazał się bezpośrednio po śmierci Władysława Czaplińskiego (1905–1981), wstrząsnąłby społecznością akademicką w całej Polsce, a we Wrocławiu wywołałby chyba lokalne trzęsienie ziemi. Spadkobiercy autora nałożyli jednak na te zapiski wybitnego historyka klauzulę umożliwiającą ich dostępność dla czytelników dopiero po 20 latach.

Od śmierci prof. Czaplińskiego minęły już 43 lata i, jak sądzę, większość kontrowersyjnych treści zdążyła w tym czasie z „Dziennika" wyparować, a bohaterowie opisywanych wydarzeń przynajmniej po części zostali zapomniani. Warto tu zaznaczyć, że w starannie przygotowanej przez Tomasza Siewierskiego edycji wiadomości zakrawające na pomówienie czy też zwykłe plotki doczekały się komentarza, a w jednym wypadku przedstawienia zgoła odmiennej relacji.

Dla czytelników, którzy nie urodzili się wczoraj, wartość dziennika prof. Czaplińskiego nie ogranicza się do warstwy historycznej. PIW-owska edycja jest dobrą okazją do przypomnienia dorobku tego badacza dziejów Polski (i krajów skandynawskich), autora znanych prac o czasach Władysława IV, m.in. „Życia codziennego magnaterii polskiej w XVII wieku", a także twórcy opracowań „Pamiętników" Jana Chryzostoma Paska i Jerzego Ossolińskiego. Ale może nade wszystko był Władysław Czapliński wyjątkowym dydaktykiem i, jakże dziś rzadkim, autorytetem dla pracowników naukowych i studentów. Był – pisze Tomasz Siewierski – „bezpartyjnym, głęboko wierzącym katolikiem, człowiekiem zasadniczym i wiernym swoim przekonaniom, a zarazem dalekim od jakichkolwiek skrajności – pozostawał wzorem człowieka umiaru".

I to właśnie obrazuje „Dziennik z lat 1958–1981". Poglądy jego autora są jasne; nieprzypadkowo do nazwisk swoich kolegów akademickich dodawał w nawiasach dwie literki – (pg), czyli towarzysz partyjny, z niemieckiego Parteigenosse. Ewidentnie solidaryzował się z działaniami opozycyjnymi, nasilającymi się zwłaszcza po powstaniu KOR i Sierpniu '80. Jednak zwraca uwagę to, że wśród jego uczniów, a potem bliskich mu osób, był skądinąd świetny naukowiec, który jednak zapamiętany został głównie jako kierownik Wydziału Nauki KC PZPR – Jarema Maciszewski, a w zapiskach pojawia się inny aparatczyk, Marian Orzechowski. Choć najważniejszym i najbliższym mu uczniem był z pewnością prof. Adam Kersten, obecnie kojarzony z inną opcją polityczną, z tym, że w grudniową wigilię 1963 r. prof. Czapliński tak opisywał wrażenia z konferencji historyków w Warszawie, w której wziął udział. Spotkał się ze swoimi młodymi przyjaciółmi: „Obaj partyjni, ale jednak różni. W pewnym momencie Jarema powiada: »W naszym kraju trudno nie być narodowo nastrojonym. Ot, mój synek dopytuje się, co to znaczą te groby na ulicach, te miejsca stracenia, jakże mu nie powiedzieć o Niemcach, o ich wyczynach«. Potem dodaje: »Naturalnie, uczę go rozróżniać, powiadam, że są i dobrzy Niemcy«. Kersten zgasł. »Czy nie lepiej by było uczyć syna, że wszyscy są ludzie?«. Kersten jest z pochodzenia Żydem. To wiele tłumaczy i muszę przyznać, że zrobiło mi się żal i rozumiem go dobrze".

Niemal 15 lat później prof. Czapliński zapisał: „Telefonowałem w ten dzień do Adama Kerstena, jednak usunęli go z partii, zapewniając, że nie oznacza to usunięcia z uczelni. Sam Adam jednak wątpi, czy to tak będzie i czy zapewnienia będą dotrzymane. Prosił mnie, by jednak wiadomości tej nie rozszerzać. Bardzo mu współczuję. To jednak musiała być dla niego trudna chwila, zwłaszcza że podobno nie brakowało ataków na niego. Ostatecznie jego staż partyjny jest dość dawnej daty".

Takie były zabawy (?), spory w owe lata… Władysław Czapliński podobnych problemów nie miał. Jak ci wszyscy, którzy nie zostawali bohaterami, bo nie oddali czerwonej legitymacji ani też nikt im jej nie zabrał. Po prostu nigdy nie wzięli jej do rąk. Brzydzili się? Być może. Czasem chronili się pod – powiedzmy, że barwnym – parasolem ochronnym, ale dzięki temu jakoś przez to Morze Czerwone przebrnęliśmy. Z Bożą pomocą. ©℗

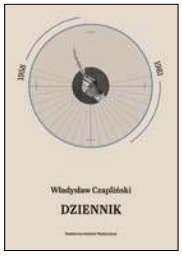

★★★★☆☆

WŁADYSŁAW CZAPLIŃSKI „DZIENNIK Z LAT 1958–1981" PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2024

eprasa.pl a8d4c013d5

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Widzialne i niewidzialne

To była moja odkładana długo przyjemność: czytanie podczas przerwy świątecznej opasłego tomu, ku któremu zerkałem od dawna łakomie, pamiętając, jak znakomitą książką było „Stwarzanie świętości. Ślady biologii we wczesnych wierzeniach religijnych" (pol. wyd. 2007). Gdy Walter Burkert zmarł w roku 2015, żegnano go słowami „gigant wśród znawców antyku". Pochwały pochwałami, najważniejsze jest pytanie, czy jego dzieło pozostaje żywe i inspirujące. O tak, jakże bardzo tak!

Lektura „Religii greckiej" wskrzesiła w pamięci lata szczenięce, gdy Jan Parandowski rozpalał swoimi opowieściami o mitologii mój zmysł cudowności, a dzieła takich badaczy jak Schliemann pobudzały ciekawość. Dzieło życia Burkerta dopełnia wszystkie te doświadczenia w sposób niezwykły, to nie jest proste wspomnienie dawnych, fascynujących czasów. Oto znakomity filolog uzbrojony w wiedzę antropologa o wielkiej wrażliwości religijnej szuka odpowiedzi na pytanie, jaką właściwie funkcję w życiu człowieka pełnią rytuał i mit. Proponuje wytłumaczenie odwołujące się do natury ludzkiej, której oczywistą konsekwencją jest rodzenie się religijności. Stworzeni jesteśmy do tego, by się ona w nas pojawiała, bez niej czujemy się niepełni, całkiem jakbyśmy byli zaprogramowani do wiary niczym komputer, który jest bezużyteczny dopóty, dopóki się do niego nie wgra odpowiedniego systemu operacyjnego.

Wspaniały jest rozdział „Religia filozoficzna" (ale nie będę oszukiwał, są tu same wspaniałe rozdziały), z kapitalną analizą religijności jako naturalnej funkcji rozumienia rzeczywistości: rodzimy się, żyjemy, przemijamy, umieramy, niesiemy pamięć o zmarłych, więc choćby to ostatnie dowodzi, że oprócz świata rzeczywistego istnieje nierzeczywisty. „Bogowie homeryccy nie byli kosmicznymi mocami – przypomina Burkert – reprezentowali rzeczywistość". A „dokładniejsze poznanie tego, co rzeczywiste nie oddala od bogów, a wręcz przeciwnie – dopiero dzięki temu można ich zrozumieć". Wszystko jest pełne bogów – pisał Tales. Dziś powiedzielibyśmy: wszystko jest pełne Boga. Oczywiście ci z nas, których nie parzy taka oto oczywistość: istnienie ma sens, gdy jest się rozumnym, ale bycie rozumnym oznacza bycie religijnym. ©℗

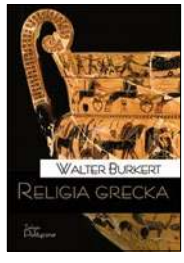

★★★★★☆
WALTER BURKERT „RELIGIA GRECKA" TEOLOGIA POLITYCZNA 2024

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

O literaturze, o filozofii, o sztuce, bez których nie da się zrozumieć przemian współczesnego świata, i bez atencji, dla których nie da się odwrócić trendów negatywnych. Klucz do Wildsteina w 10 rozmowach.

BRONISŁAW WILDSTEIN, MACIEJ MAZUREK „KULTURA W CZASACH ZAMĘTU" OMP

Miłośników spisków rozczaruje: Graff nie pisze o kosmitach więzionych w bunkrach CIA, daje nam za to pełną detali historię „narodowej obsesji" na punkcie UFO, nie zapomina też o tych, którzy obcych szukają naprawdę.

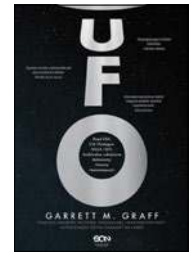

GARRETT M. GRAFF „UFO" SQN

Jedna z lepszych, a nieco mniej znanych powieści Dicka. Melodramat, dzieje kosmicznej wojny, polityczna metafora – a w centrum tego wszystkiego substancja, za sprawą której nie da się odróżnić fikcji od rzeczywistości.

PHILIP K. DICK „TERAZ CZEKAJ NA ZESZŁY ROK" REBIS

Wszystko, wszędzie, naraz, na szczęście do udźwignięcia, wystarczy odrobina uwagi i silnej woli, by dać swemu zdrowiu szansę, sercu odpowiednie wsparcie, a bliskim – spokój o naszą formę. Doktor medycyny podpowiada. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

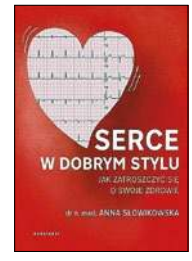

ANNA SŁOWIKOWSKA „SERCE W DOBRYM STYLU" MARGINESY

KOMIKS TYGODNIA:
TEN JEDEN WIECZÓR

Co wydarzyło się owego wieczoru, gdy cała rodzina Grimaudów została zamordowana? Zaczyna się jak kryminał, a dalej zamienia w psychologiczną dramę niczym z filmów Gusa Van Santa. Nowy na polskim rynku komiks autora „Dni, których nie znamy" przypomina, że forma graficznej powieści nie tylko uwalnia fantazję, lecz także pozwala na eksplorowanie przestrzeni wewnętrznej. ©℗

Piotr Gociek

TIMOTHE LE BOUCHER „PACJENT" NON STOP COMICS 2024

eprasa.pl a8d4c013d5

Farsa w sędziowskiej todze

Krzysztof Masłoń

Nasze sądownictwo ukształtowało się za komuny i choć na pozór się zmieniło, to pod wieloma względami pozostało takie, jakie było wtedy. Z małymi wyjątkami. Jeśli naprawdę chcą państwo zrozumieć to, co się stało z całym naszym systemem prawnym i dlaczego należałoby go zaorać, by nawet ślad po nim nie pozostał, to proszę przeczytać książki Jana Majchrowskiego

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. ADOBE STOCK

Koniec roku 1990. W restauracji Pod Gwiazdami, gdzie mieścił się warszawski sztab wyborczy Lecha Wałęsy, siedzą obok siebie Krystyna Pawłowicz i Hanna Gronkiewicz-Waltz, „wówczas – czytamy w »Polidrukach« Jana Majchrowskiego [Zysk i S-ka, 2024] – bardzo ze sobą zaprzyjaźnione (a potem zdecydowanie już nie) […]. Doszło do jakiegoś nieprzyjemnego starcia między szefem naszego sztabu Jackiem Stankiewiczem a Hanną Gronkiewicz-Waltz. W rezultacie dr Waltz, jak to kobieta, popłakała się, obraziła i poszła".

Nie oddaliła się daleko: „Po wyborze Lecha Wałęsy na Prezydenta RP Lech Falandysz (już jako prezydencki minister) przedstawił mu swoje koleżanki z Wydziału Prawa i ze sztabu wyborczego: Krystynę Pawłowicz i Hannę Gronkiewicz-Waltz. Pierwszą jako kandydatkę na Prezesa NIK, drugą – na Prezesa NBP. Jak relacjonowała mi później Krysia Pawłowicz, Wałęsa ich »przesłuchanie« powierzył swojemu sui generis od finansów, czyli Wachowskiemu. Doktor Pawłowicz (której erystyczny temperament nie uległ nigdy zmianie) miała mu od razu wygarnąć, że wszystko skontroluje, rozliczy złodziei i powysyła do więzienia. Doktor Waltz miała być znacznie bardziej wstrzemięźliwa w wypowiedziach.

– No i co?! – spytałem rozpalony ciekawością.

– No i nic. Hanka została Prezesem NBP, a ja nie zostałam Prezesem NIK".

Dalej już się potoczyło. Samo, a może i nie samo: „Hanna Gronkiewicz-Waltz wystąpiła w 1995 roku w wyborach prezydenckich przeciw Lechowi Wałęsie, a potem jakoś dobrowolnie ustąpiła z konstytucyjnego urzędu Prezesa NBP, dla fotela jednego z wiceprezesów Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju w Londynie. W ten sposób Prezesem NBP mógł zostać Leszek Balcerowicz, opuszczając z kolei dla Bronisława Geremka stanowisko szefa Unii Wolności. Zakręciła się karuzela stanowisk".

ORWELLOWSKA LUKA (NIE)PAMIĘCI

Jak w swojej poprzedniej, o rok wcześniejszej książce („Przeciw uzbrojonym analfabetom") wspomina Jan Majchrowski, gdy prof. Lech Falandysz rozczarowany Lechem Wałęsą odmówił mu pracy w Kancelarii Prezydenta, orzekł: „Jest pan jeszcze bardzo młody. Kiedyś, jak będzie pan ministrem i będzie siedział w takim fotelu jak ja, to zrozumie pan, jak to jest". „Wiem, jak to jest, i dlatego nigdy nie zostanę ministrem". I tu się pomylił. Kilka lat później Jan Majchrowski został podsekretarzem stanu w rządzie AWS, a potem był wojewodą lubuskim. Ale przede wszystkim był i jest prawnikiem oraz politologiem, profesorem Uniwersytetu Warszawskiego, a w 2018 r. prezydent Andrzej Duda powołał go do pełnienia urzędu sędziego Sądu Najwyższego.

„Uchylałem – wspomina – w Izbie Dyscyplinarnej Sądu Najwyższego immunitety sędziom ze stanu wojennego. Chciałem sądzić sędziów, bo uwierzyłem, że do tego zostałem powołany. Jakiś niedomyślny byłem. Ale mi to uniemożliwili niektórzy z tych »swoich«, bo się przestraszyli Unii Europejskiej i TSUE, bo droższy nad sprawiedliwość był miraż strumieni euro na Fundusz Odbudowy (których oczywiście nie dostali). Potem Izbę Dyscyplinarną całkiem zlikwidowano, rozpędzono na cztery wiatry, a teraz się dziwią i oburzają, jakie są tego skutki… Zatem już nie uchylam immunitetów, nie sądzę. Zrezygnowałem z Sądu Najwyższego i z sądownictwa. Odszedłem, ale nie w »stan darmozjadny«. Mnie po prostu w ogóle tam już nie ma… W dalszej części tej farsy już nie uczestniczyłem. Teraz piszę sobie książki […]".

Ale jakie książki i jak! Pamiętają państwo Ministerstwo Prawdy z „Roku 1984" George'a Orwella, kontrolujące przeszłość? I oto u nas ta fikcja literacka staje się rzeczywistością, a słowo ciałem, na co mamy aż nadto dowodów. Wciąż są tacy, którzy – jak pisze we wstępie do „Polidruków" Jan Majchrowski – „chcieliby coś wrzucić do tej Orwellowskiej »luki (nie)pamięci«. Jakieś prawdy na danym etapie niewygodne: a to o Katyniu, a to o Wołyniu, o Zamojszczyźnie, o Jałcie… O tym, kto po wojnie nie »zachował się jak trzeba«, a kto się zeszmacił. O tym, co kto powiedział w telewizji, a co trzeba elektronicznie skasować, wygumkować z wirtualnej przestrzeni, anihilować. Wciąż są tacy, którzy chcieliby wybrać przyszłość bez przeszłości. Bez tożsamości. Nieludzką przyszłość. Tę książkę dedykuję wszystkim tym, którzy się na to nie godzą" – kończy autor tę wyjątkowo utrzymaną w podniosłym stylu frazę. Generalnie

eprasa.pl a8d4c013d5

bowiem pisze lekko i z humorem, a omawia przecież kwestie z gatunku tych najpoważniejszych. Świadomy tego, że to język jest forpocztą idei, korzysta z najlepszych literackich wzorów, talent pisarski dziedzicząc pewnie po ojcu – Stefanie Majchrowskim, autorze m.in. opowieści biograficznych o Józefie Wybickim, Henryku Sienkiewiczu czy Aleksandrze Fredrze. Pisze ze swadą, jak zarazy unikając rozpowszechnionej nowomowy, z nieczęstym poczuciem komizmu, a wreszcie z dogłębną znajomością rzeczy, spraw i ludzi, i to… po nazwisku.

ZUPEŁNIE NADZWYCZAJNA KASTA

Ot, wspomina np. takiego choćby Stanisława Ehrlicha, do dzisiaj uważanego za prawniczy autorytet. Całkiem mała jest jednak wiedza „o jego działalności w okupowanym Lwowie, gdzie z poparcia Wandy Wasilewskiej został docentem na wydziale prawa sowietyzowanego uniwersytetu, z którego wyrzucano wtedy Polaków, a zatrudniano przeważnie Ukraińców […]. Mało wiadomo też o jego ochotniczej służbie w Armii Czerwonej i późniejszej funkcji oficera politycznego w LWP pod koniec wojny. Najwięcej osób kojarzy go dziś z Uniwersytetem Warszawskim. Jednoznacznie jako stalinowca wspominał go Jan Olszewski, który studiował w latach pięćdziesiątych na Wydziale Prawa UW, a inaczej postrzegali go ci, którzy zetknęli się z nim w późniejszych latach".

A przecież nie było tajemnicą, że w 1950 r. nie tylko kierował on ważnym miesięcznikiem „Państwo i Prawo", w którym publikował takie artykuły jak „Teoria kolektywizacji Józefa Stalina", lecz także stał na czele Komitetu Uczelnianego PZPR na Uniwersytecie Warszawskim. Profesorem UW został dopiero w roku następnym, „w znamiennej kolejności – dopowiada Majchrowski – bo majorem był już wcześniej. Stworzył Katedrę Ustroju Radzieckiego. Potem przez długie lata dowodził Katedrą Teorii Państwa i Prawa. Wraz z ewolucją PRL i on zaczął ewoluować. Najbardziej po 1968 r. Spojrzał wtedy inaczej na Związek Sowiecki i socjalizm, bo i one inaczej wówczas spojrzały na niego". Ten wnuk właściciela domu bankowego w Przemyślu i uczestnika pierwszego zjazdu syjonistów w Bazylei stał się nagle orędownikiem pluralizmu, o którym pisali jego doktoranci, „z których – czytamy – część mogła go wówczas postrzegać już jako mędrca i kontestatora, opozycjonistę niemal. W każdym razie po latach jego byli doktoranci (Jarosław Kaczyński, Piotr Winczorek, Maciej Łętowski i inni) oraz stali lub okresowi uczestnicy jego nieformalnego prywatnego seminarium (Bogusław Wołoszański, Wojciech Sadurski, Marek Safjan, Marek Ostrowski, Sławomir Popowski i inni) chętnie roztaczali wokół niego taką właśnie aurę".

No tak, ludzie się zmieniają, ich poglądy ewoluują. Tyle że niezmiennie są to ci sami ludzie. I tak jak socjalizm w PRL z tzw. błędów i wypaczeń oczyszczali ci, którzy „błędy" te popełniali, tak samo praworządności strzegła w Polsce wciąż ta sama „zupełnie nadzwyczajna kasta ludzi" – że przywołam w tym miejscu sławne zdanie, którym zapisała się w naszej historii najnowszej sędzia Naczelnego Sądu Administracyjnego Irena Kamińska.

GRAFOWIE I GRAFIĄTKA

W książce „Przeciw uzbrojonym analfabetom" Jan Majchrowski przypomniał sylwetki wyjątkowo „zasłużonych" prawników, którymi chlubić się może Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ten sam, który ukończył autor, na którym uczył studentów często nieświadomych tego, kim była np. Helena Wolińska, także absolwentka tegoż wydziału. Na tej stalinowskiej prokurator ciąży odpowiedzialność za aresztowanie bohatera Polski Podziemnej, w konsekwencji skazanego na karę śmierci i zamordowanego gen. Emila Fieldorfa „Nila". A nawiasem mówiąc, doktoryzowała się na podstawie pracy „Przerwanie ciąży w świetle prawa karnego" (wydanej przez PWN w roku 1962), będąc zwolenniczką rozwiązań prawnych maksymalnie ułatwiających aborcję. W PRL przecież dopiero co, wzorem ZSRS, zalegalizowano aborcję, „a raczej przywrócono – zauważa Majchrowski – bo po raz pierwszy zalegalizował ją przecież rząd Generalnej Guberni na czele z Hansem Frankiem – też doktorem prawa".

JAN MAJCHROWSKI „PRZECIW UZBROJONYM ANALFABETOM" ZYSK I S-KA 2023

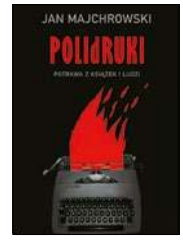

JAN MAJCHROWSKI „POLIDRUKI. POTRAWA Z KSIĄŻEK I LUDZI" ZYSK I S-KA 2023

Aż dziw bierze, że aktywistki Strajku Kobiet nie eksponują jako swojej patronki tej zmarłej w 2008 r. komunistycznej zbrodniarki, która wraz z mężem, profesorem, podpułkownikiem, a także współpracownikiem NRD-owskiego Stasi Włodzimierzem Brusem, dożyła swych dni w angielskim Oksfordzie, uchodząc za ofiarę polskiego antysemityzmu, przed którym ta „zupełnie nadzwyczajna para" musiała zbiec po roku 1968. Naturalnie Wielka Brytania w tej sytuacji odmówiła w 1998 r. wydania Polsce prokurator Wolińskiej, zwłaszcza że zainteresowana twierdziła, iż nad Wisłą sprawiedliwego sądu nie mogłaby się doczekać. To, że winna była bezprawnego pozbawienia wolności 24 żołnierzy Armii Krajowej, w tym gen. „Nila", było bez znaczenia.

Dla „Nila" kary śmierci zażądał inny absolwent, jeszcze przedwojenny, Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego – Beniamin Wajsblech. „Żądanie ochotniczo spełniła (także nasza przedwojenna absolwentka) Maria Gurowska, oddana działaczka komunistyczna jeszcze z czasów KPP, którą resort sprawiedliwości oddelegował do sądzenia (czy raczej wydawania wyroków) w sądzie wojewódzkim. Jak niektórzy stalinowscy »sędziowie« doczekała wolnej III RP, by móc w niej swobodnie powiedzieć, że niczego nie żałuje. Kropkę nad i w sprawie generała Fieldorfa postawiła, zresztą również nasza przedwojenna absolwentka, prokurator Alicja Graff, podpisując nakaz niezwłocznego wykonania na nim wyroku śmierci. Na marginesie: jeden z byłych prezesów TK relacjonował mi szeptem, kto z wydziału »wżenił« się w prokuratorską rodzinę Graffów. Ach te »rody« czasów stalinowskich… grafowie i grafiątka. Prawdziwe drzewa genealogiczne wydające po dziś dzień owoc obfity. Także wśród prawników".

Tak się jakoś złożyło, że wszystkie osoby wymienione wyżej w kontekście skazania gen. „Nila" i mordu dokonanego na nim w majestacie (tfu!) prawa były jednego pochodzenia. Studiowały prawo

eprasa.pl a8d4c013d5

w II Rzeczypospolitej, kiedy to – jak od dziesięcioleci wbija się do polskich głów – na uniwersytetach szalały bojówki narodowców, a żydowscy studenci cierpieli w ławkowych gettach. Bliska jest mi głęboko niepoprawna myśl, że może gdyby skala tych antysemickich wybryków była większa, to wszystkie te Wolińskie i Gurowskie, Wajsblechy i Graffy robiłyby co innego i nie miałyby okazji, by po wojnie po swojemu realizować myśl wyrytą na gmachu sądu w Warszawie, jakoby to sprawiedliwość była ostoją mocy i trwałości Rzeczypospolitej. Której? – spytam nieśmiało.

W „Polidrukach" Jan Majchrowski zwraca uwagę na popis przedstawicielki młodszego pokolenia familii Graffów, tym razem nie prawniczki, a literaturoznawczyni, pisarki i działaczki feministycznej Agnieszki Graff – wnuczki brata Kazimierza Graffa, męża uhonorowanej już tutaj prokurator Alicji Graff, naturalnie także prokuratora – która już dość dawno temu, bo w 2008 r., w firmowanej przez Fundację im. Stefana Batorego dyskusji oceniającej tamte, pierwsze rządy Tuska ostro skrytykowała premiera za to, że był wobec Kościoła katolickiego… za miękki. Tak jakby ten Józef Cyrankiewicz III RP nie rozumiał, że „problem polega na tym, że w Polsce Kościół nie tylko mówi o etyce, tożsamości i wartościach do swoich wyznawców, lecz także decyduje, jakie są polskie wartości narodowe, i na tej podstawie określa odrębność Polski od UE". Podzielam to oburzenie autorki nominowanej do Nagrody Nike wiekopomnej pracy „Świat bez kobiet. Płeć w polskim życiu publicznym". O polskich wartościach narodowych powinni wszak decydować predestynowani do tego „grafowie i grafiątka". A katolików w tym czasie opiłowywać będzie Nitras.

ZMIENIONE OBLICZE HOMO SOVIETICUS

A do połowy zeszłego stulecia warto wracać, i to z wielu powodów, ale przede wszystkim dlatego, że stalinizm zadziwiająco się odradza, niekiedy w karykaturalnej postaci, innym razem znów w zgoła niezmienionej formie. Jan Majchrowski przywołuje na tę okoliczność dyskusję, którą w 1951 r. usiłowała rozpocząć ze swoim profesorem studentka, nie – nie prawa, bo akurat germanistyki. – Myślałam, że… – powiedziała i dalej nie dane już jej było kontynuować wywodu. Usłyszała bowiem: – Niech pani nie myśli! Niech pani przeczyta (tu padło nazwisko jakiegoś sowieckiego uczonego) i niech pani nie myśli!

Tak jak socjalizm w PRL z tzw. błędów i wypaczeń oczyszczali ci, którzy „błędy" te popełniali, tak samo praworządności strzegła w Polsce wciąż ta sama „zupełnie nadzwyczajna kasta ludzi"

„Niejeden posłuchał takich wskazań – komentuje autor »Polidruków« – i słucha po dziś dzień. Pewnie dobrze na tym wychodzi. Nie myśli, ale czyta co trzeba, ogląda co trzeba, powtarza co trzeba. Ulepszanie człowieka przecież wciąż trwa. Homo sovieticus wytrwale zmienia oblicze i z niezwykłą ewolucyjną intuicją dostosowuje się do nowych sytuacji i nowych oczekiwań. Będzie jadł robaki, jeśli każą, by »ratować planetę«, a potem będzie jadł robaki już z życiowej konieczności – gdy planeta zostanie wreszcie »uratowana«. Ciekawe, w co się zmieni po takiej diecie w myśl odkryć Trofima Denisowicza Łysenki?".

Nasze sądownictwo ukształtowało się za komuny i choć na pozór się zmieniło, to pod wieloma względami pozostało takie, jakie było wtedy. Z małymi wyjątkami. Czterdzieści lat temu nie kto inny, jak sam Adam Michnik, tyle że sporo młodszy, pisząc o sędziach stanu wojennego, oznajmiał: „Myśl, że mógłbym stać się K.Z., posiadać jego umysłowość i powierzchowność, moralność i maniery, przeraża prawdziwie. Być Z.! Jak on – szpiclować i donosić, brać łapówki i sądzić krzywoprzysiężnie… Czyż można być surowiej ukaranym przez Opatrzność? […] Cóż za szczęście nie być Z.".

No i rzeczywiście – dopowiada Jan Majchrowski – „lepiej było być innym sędzią niż Z., bo ten prawdziwie miał pecha, że skazał akurat Adama M. Jako pierwszy po 1990 roku sędzia Z. został usunięty z zawodu. Gdyby sądził jakiegoś nieznanego robotnika, co napisał na murze »Solidarność« lub ulotki porozklejał, mógłby pewnie dochrapać się w III RP stanowiska sędziego Sądu Najwyższego, jak niektórzy jego koledzy skazujący w stanie wojennym".

13 GRUDNIA. REDIVIVUS

Sławny przyjaciel Adama Michnika, Wojciech Jaruzelski, zżymał się na wysuwane oskarżenia o niekonstytucyjność wprowadzenia stanu wojennego. A właśnie takie stanowisko zajął Trybunał Konstytucyjny, nie uwzględniając – co podkreślał Jaruzelski – opinii prezesa Sądu Najwyższego, prof. Lecha Gardockiego, następcy na tym stanowisku Adama Strzembosza, a przede wszystkim ucznia samego Igora Andrejewa, przy którego nazwisku znów trzeba powrócić do sprawy gen. Emila Fieldorfa „Nila". Bo to właśnie Andrejew utrzymał w mocy wydany na generała wyrok śmierci, wydał też negatywną opinię w sprawie jego ewentualnego ułaskawienia w przyszłości. Nic takiego nie nastąpiło. „Nila" zamordowano, Andrejew stał się klasykiem w zakresie prawa karnego, Gardocki poszedł w prezesy…

Jaruzelski ironizował, że oto Trybunał zajmuje się tym, czy dekret o stanie wojennym wydano w czasie sesji Sejmu i kiedy został on opublikowany w „Dzienniku Ustaw". Czyżby im gorsza, im marniejsza była konstytucja, tym bardziej można ją łamać? Na to wygląda, „bo po 13 grudnia – ale już 2023 roku – konkluduje Jan Majchrowski – Konstytucja jest łamana w najlepsze, jak nigdy dotąd w III RP, mimo że to przecież właśnie ta najlepsza Konstytucja: uchwalona za prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego przez SLD, PSL i UW [Unię Wolności – przyp. K.M.] – czyli politycznie dokładnie to samo, co dzisiaj rządzi (tylko w innych proporcjach). Skoro jednak to »ich« Konstytucja, to może właśnie mogą ją łamać? Na zasadzie prawa własności… I tu z 13 grudnia 1981 r. byłby punkt wspólny. Zresztą niejeden".

Jeśli naprawdę chcą państwo zrozumieć to, co się stało z całym naszym systemem prawnym i dlaczego należałoby go zaorać, by nawet ślad po nim nie pozostał, to proszę przeczytać książki Jana Majchrowskiego. Aby pozbyć się złudzeń, które – być może – jeszcze państwu pozostały.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Polak, czyli imperialista

Marcin Skalski

Polska w swej historii wielokrotnie robiła rzeczy, o które sama oskarża dziś Rosję – i dobrze na tym wychodziła. Nasi sąsiedzi nie muszą nas przy tym lubić, mają nas jedynie szanować. Cywilizacyjna tożsamość Polski nie jest zaś dziś zagrożona przez Rosję, która nie zrezygnuje jednak z polityki typowej dla mocarstw

FOT. ADOBE STOCK

Jest w Europie państwo, które całkiem niedawno wprowadziło na obszar sąsiada swoje „zielone ludziki", przeprowadzając tam następnie głosowanie wśród miejscowej ludności. W tym czasie zlikwidowało też państwowość ukraińską, wspierając także wbrew prawu międzynarodowemu swych rodaków wszczynających powstanie na innych terenach spornych. Wreszcie – wykorzystując słabość kolejnego sąsiada – zabrało mu terytorium, grożąc użyciem siły. Rządzone było przy tym przez dyktatora, który fałszował wybory i zamykał przeciwników politycznych w obozie pracy przymusowej.

POLAK ZDOBYWCA

Czy mowa o Rosji rządzonej przez Władimira Putina? Częściowo tak, ale powyższy opis dotyczy II Rzeczypospolitej, od 1926 r. pozostającej pod dyktatorską władzą Józefa Piłsudskiego. Polska ma piękną i chlubną kartę narzucania innym swej woli siłą, likwidowania wrogich tworów państwowych czy wydzierania przeciwnikowi spornych obszarów mimo wcześniejszych ustaleń międzynarodowych.

Przypomnijmy – to właśnie Piłsudski jako Naczelnik Państwa każe w październiku 1920 r. upozorować gen. Żeligowskiemu „bunt" swych żołnierzy, aby ci wkroczyli na zajmowaną przez Litwinów Wileńszczyznę. W 1922 r. odbywa się głosowanie do miejscowego Sejmu, dzięki któremu pozornie niezależna Litwa Środkowa wchodzi następnie w skład Rzeczypospolitej. Z kolei w latach 1918–1919 polska armia likwiduje separatystyczną „Zachodnioukraińską Republikę Ludową" z proklamowaną stolicą we Lwowie, gdzie pierwsze walki stoczyły z nią Orlęta Lwowskie. Większość obszaru samozwańczej „ZURL" staje się potem integralną częścią Polski. Natomiast w latach 1920–1921 wspierani przez Polskę powstańcy śląscy uprzedzili niekorzystne rozstrzygnięcia na Górnym Śląsku, z sukcesem wszczynając konfrontację zbrojną z Niemcami. Wreszcie w 1938 r. odbieramy Czechom nasze Zaolzie, wykorzystując likwidację Czechosłowacji przez III Rzeszę.

Powyższe świadczy o tym, że gdy tylko Polacy rozumieją reguły rządzące stosunkami między państwami, wówczas są w stanie osiągać sukcesy. Do dziś możemy być dumni, gdy w ukraińskich czy litewskich podręcznikach do historii czytamy o „polskich okupantach". Wreszcie Polak nie jest frajerem, który chce zbawiać świat kosztem własnej ojczyzny, lecz bierze to, co uważa za swoje, i nie przejmuje się zdaniem innych.

WBREW ZACHODOWI

Rzecz jasna, braliśmy tylko to, co byłoby nasze również dziś, gdyby tylko stosunki między narodami urządzała wyłącznie zasada słuszności moralnej. Wileńszczyzna była i w wielu miejscach nadal jest zamieszkana w większości przez Polaków, stąd uroszczenia Litwinów do ustanowienia w Wilnie swej stolicy należało ukrócić zbrojnie. Lwów za przynależność do odrodzonej Rzeczypospolitej zapłacił daninę krwi i niemal każdy kamień do dziś mówi tam po polsku.

Wreszcie także Zaolzie było zamieszkane w większości przez Polaków i w 1938 r. po prostu odebraliśmy swoją własność, którą sami Czesi zagarnęli w roku 1919. Niech dumy z odzyskania polskiej ziemi nie przysłania nam natomiast współczesne samobiczowanie się za ten akt egzekwowania naszych słusznych interesów. Dość przy tym dodać, że niemal każda wzmiankowana ekspansja terytorialna czy też rewindykacja przeprowadzona przez Polskę spotykała się z dezaprobatą czy też oporem poszczególnych mocarstw zachodnich.

W związku z powyższym sprzeciw budzi stwierdzenie redaktora Piotra Semki, że „Jałta jest dla Polaków symbolem zdrady Zachodu" – zawarte w tekście „O rusofobii.

eprasa.pl a8d4c013d5

Przyczyna i skutek, czyli jak nie stawiać wozu przed koniem" („DRz" nr 4/2025), będącym polemiką z moim tekstem „Rusofobia – jak sterują strachem Polaków" („DRz" nr 51/2024).

Sam Zachód, cokolwiek to pojęcie oznacza, nie ma i nigdy nie miał wobec Polski żadnych zobowiązań, stąd sama „zdrada" jest bezprzedmiotowa. Jeśli mimo lekcji udzielonej przez historię wciąż uznajemy inaczej, to wcale nie świadczy to źle o „Zachodzie", lecz potwierdza jedynie polityczne dyletanctwo Polaków. Redaktor Semka twierdzi zaś, że „jednocześnie odgrodzenie się Polski od aspiracji wolnościowych Białorusinów i Ukraińców byłoby dla naszych wschodnich sąsiadów taką samą zdradą", konkludując to przysłowiem: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe".

Ten punkt widzenia nie wyjaśnia jednak, dlaczego Polska ma wspierać „wolnościowe aspiracje" innych narodów i dlaczego miałby to być synonim polskiego interesu, skoro nigdy wcześniej takowy nie był. Nie dowiadujemy się, dlaczego Polska ma nie stosować zasady „nie rób drugiemu, co tobie niemiłe", skoro państwa położone między nami a Rosją stosują ją wobec nas. Jednocześnie próby wyartykułowania polskiego punktu widzenia na kwestie sporne są pacyfikowane przez Litwinów, a ostatnio przez Ukraińców, za pomocą naszego lęku przed Rosją. Niedawno przekonał się o tym Karol Nawrocki, którego prezydent Zełenski postraszył Moskwą w odpowiedzi na postulat pochowania naszych zamordowanych na Wołyniu rodaków. Można wręcz odnieść wrażenie, że Kijów wolałby zaryzykować upadek swej państwowości, niż obnażyć prawdę o zbrodniczych dokonaniach postaci wynoszonych przezeń na piedestał. Mimo tego według redaktora Semki wciąż nie mamy prawa „zdradzić" Ukraińców ani uczynić im niczego „niemiłego", i to tylko dlatego, że Ukraina akurat walczy z Moskwą o terytorium i rzekomo oddziela nas od Rosji.

UKRAINA NAS NIE BRONI

Tymczasem, gdy w zeszłym roku na granicy z Białorusią z rąk imigranta zginął sierż. Mateusz Sitek, to nie tylko okazało się, że prezydent Łukaszenka może się Polsce boleśnie zrewanżować za próby pozbawienia go władzy „kolorowymi rewolucjami" wspieranymi przez Warszawę. Tragiczna sytuacja unaoczniła, że w krytycznych momentach Ukraina wcale nie osłania Polski od Wschodu – wszak za prawdziwego suwerena na Białorusi i tak powszechnie uznaje się w Polsce samego Władimira Putina. Jednocześnie prezydent Rosji włada graniczącym z Polską obwodem kaliningradzkim, stąd nieprawdziwa jest teza redaktora Semki, że „istnienie niepodległej Ukrainy oddala od nas kontakt z armią rosyjską na ponad 2 tys. km".

Stawką ukraińskiej wojny nie jest istnienie Ukrainy jako odrębnego państwa – Rosja nie jest w stanie zająć jej całego obszaru. Gra toczy się o pozablokowy status Ukrainy oraz zasięg jej terytorium państwowego na południu i na wschodzie. Redaktor Semka twierdzi przy tym, że za rządów Wiktora Janukowycza „rosyjskie wojsko obsadzałoby strategiczne punkty Ukrainy", mimo że przez całą kadencję obalonego później prezydenta nic tego nie zapowiadało. Dość przy tym dodać, że wyraźnie nie uszanowano „wolnościowych aspiracji" Ukraińców, którzy Janukowycza wybrali przecież w demokratycznych i uznanych przez państwa zachodnie wyborach. Tym razem to ukraińscy Rosjanie i prorosyjscy Ukraińcy przegłosowali swoich współobywateli z zachodniej części kraju, mimo że sami musieli wcześniej znosić prezydenturę prozachodniego Juszczenki. Jeśli nie szanuje się wyboru i tożsamości milionów mieszkańców tak heterogenicznego państwa jak Ukraina, to jest to proszenie się o ruchy odśrodkowe i secesjonistyczne. To nie „rosyjski imperializm" jest praprzyczyną obecnego konfliktu, mimo że na dowód agresywnej natury Rosji redaktor Semka przytacza też przykład wojny w Gruzji.

Tymczasem Gruzja jednak wciąż jest niepodległa, choć podczas wojny w roku 2008 rosyjskie wojska byłyby w stanie ją zdobyć. Utrata terenów zamieszkanych przez Abchazów i Osetyńców może i jest bolesna, ale Gruzja istnieje mimo skutków tego, że Micheil Saakaszwili – jak sam przyznał – w sierpniu 2008 r. zaatakował pierwszy. Podobną nieroztropnością wykazali się Ukraińcy, którzy zdecydowali o tym, że zagrają o pełną stawkę i odrzucą każde żądanie Rosjan, nie mając ku temu wystarczających sił.

Nieliczenie się z realiami to przy tym główny zarzut, który można postawić także przywódcom XIX-wiecznych polskich powstań narodowych. Ich szanse powodzenia były wątpliwe, a skutki pogorszyły położenie sprawy polskiej. Redaktor Semka pyta: „A może po stronie rosyjskiej była też polonofobia?". Ale niby czemu Rosjanie mieliby się wówczas bać Polaków, tj. przejawiać wobec nich fobię? Przecież to klucz do spraw polskich leżał w rosyjskich rękach, a nie na odwrót. To Rosjanie pokonali nas, a nie my ich. Nawet jeśli ustępstwa wobec Polaków wynikały u Rosjan z czystej kalkulacji – a najpewniej tak było – to jeszcze nie powód, żeby stawiać zaborcę w sytuacji bez wyjścia i samemu prowokować pacyfikowanie własnego narodu. Tymczasem przywódcy czerwonych w powstaniu styczniowym nie liczyli się z tym w ogóle, uczynili za to Polskę zakładnikiem swojej ideologii. Redaktor Semka nawołuje: „To Rosja niech się leczy z obsesji imperialnych snów", ale nie wyjaśnia, dlaczego akurat Rosja ma się „leczyć", a inne mocarstwa już nie. Istnieje przy tym ryzyko, że Rosjanie redaktora Semki nie posłuchają

SILNIEJSZY MA RACJĘ

Wreszcie przegrana na własne życzenie rywalizacja z Rosją o dominację w Europie Wschodniej nie zamyka sprawy polskich wpływów, wciąż powiązanych mimo przeciwności losu z wiarą katolicką. Na Litwie i Białorusi mamy istotny zasób, którym są wielusettysięczne społeczności naszych rodaków. W tym pierwszym kraju interesy mniejszości polskiej i rosyjskiej się wręcz zbiegają, o Białorusi zaś i tak musielibyśmy rozmawiać z Moskwą, skoro uznajemy ją za decyzyjną w sprawach tego kraju. Optymalnie powinien na tym obszarze istnieć polsko-rosyjski i katolicko-prawosławny modus vivendi, w tym wzajemna asekuracja przed tyleż antyrosyjskimi, co antypolskimi nacjonalizmami w tych państwach. Podobne uwagi tyczą się Ukrainy, choć po Polakach pozostały tam głównie zabytki i nieliczna mniejszość narodowa. Nawet gdyby zresztą było inaczej, to ciężko sobie wyobrazić, by polska elita skorzystała z hipotetycznej okazji odzyskania Lwowa. Nie wolno wszak być „imperialistą", tak jak Putin, i wykorzystywać czyjejś słabości. Szkoda tylko, że dziś myślą tak wyłącznie Polacy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Fiasko liberalnej demokracji

Filip Memches

Amerykańscy politycy chcieli obalić dyktatorów w Iraku, Syrii, Libii i innych krajach muzułmańskich, by zostały one przyłączone do lepszej części świata. A tymczasem swoimi działaniami je politycznie mocno zdestabilizowali. Bo nie patrzyli na stosunki międzynarodowe poprzez pryzmat tragizmu

Życie jest tragedią, a już życie polityczne szczególnie. I nie chodzi tu o politykę w jakimś konkretnym miejscu i konkretnym czasie. Tragizm jest wpisany w istotę polityczności.

Do takich wniosków dochodzi amerykański dziennikarz i publicysta Robert D. Kaplan. Są one o tyle cenne, że stanowią owoc przewartościowania jego dawnych przekonań.

Kaplan jest autorem książki pod wymownym tytułem „Tragizm polityki naszych czasów. Strach, fatum i brzemię władzy". Ukazała się ona w roku 2023 i stanowi świadectwo przejścia drogi od optymistycznej wiary w demokrację liberalną pojętą jako globalny projekt wyzwolenia ludzkości z rąk tyranów i dyktatorów do realistycznej refleksji nad skutkami wolnościowych misji podejmowanych przez USA w rozmaitych zakątkach świata.

Urodzony w roku 1952 Kaplan wywodzi się z kręgu neokonserwatystów. To grono polityków i intelektualistów, spośród których prominentna część (o – tak jak Kaplan – korzeniach żydowskich) ewoluowała od rozmaitych idei nowej lewicy lat 60. XX w. do twardego antykomunizmu cechującego Partię Republikańską w okresie prezydentury Ronalda Reagana. W dużym uproszczeniu można powiedzieć, że chęć uszczęśliwiania ludzkości tym ludziom nie przeszła. Po prostu zamienili jedną receptę na inną. Najpierw zła upatrywali w instytucjach społeczeństwa kapitalistycznego, postrzeganych przez nich jako siły represjonujące ludzi rygorami tradycyjnej moralności. Kiedy jednak pozbyli się młodzieńczych złudzeń, na głównego wroga desygnowali Związek Sowiecki i uznali, że wszelkie polityczne kłopoty rozwiązuje instalacja w poszczególnych państwach liberalnej demokracji.

KATEGORIE ZERO-JEDYNKOWE

W „Tragizmie polityki naszych czasów" Kaplan poniekąd rozlicza się ze swoją neokonserwatywną przeszłością. Wyznaje, że kiedy dwie dekady temu USA interweniowały zbrojnie w Afganistanie i Iraku w imię walki z terrorem Al-Kaidy i reżimem Saddama Husajna, był gorącym zwolennikiem tych działań. Okazały się one jednak – jak twierdzi – niewypałem.

Ilustracją tezy Kaplana może być dewastująca wizerunek Wuja Sama ewakuacja wojsk amerykańskich z Kabulu w roku 2021 – po tym, gdy do władzy w Afganistanie doszli talibowie. Przypomina się też rozsiewane przez USA kłamstwo, którym okazała się informacja o posiadaniu przez reżim Husajna broni masowego rażenia.

Ale książka Kaplana to nie jest bilans zysków i strat odniesionych przez Biały Dom od zmierzchu zimnej wojny. Składają się na nią raczej metapolityczne rozważania autora, w których filozoficzna refleksja nad kanonicznymi dziełami kultury europejskiej przeplata się z osobistymi wspomnieniami.

Nie można bowiem abstrahować od tego, że Kaplan to przede wszystkim reporter wojenny i podróżnik. Uznanie w świecie zdobył błyskotliwie napisanymi bestsellerami o tym, co widział na własne oczy. I choć elementy literatury faktu również są obecne w „Tragizmie polityki naszych czasów", to tę akurat książkę można czytać przede wszystkim jako traktat o sprzecznościach, które targają naturą ludzką.

Przyzwyczailiśmy wszelkie konflikty między ludźmi rozpatrywać w kategoriach zero-jedynkowych. Ktoś ma rację, a kto inny – będący z nim w sporze – jej nie ma. Wiadomo zatem, komu życzyć zwycięstwa. I takie podejście ma zastosowanie również do rzeczywistości politycznej. Stanowi ona obszar, w którym trzeba wybierać między dobrem a złem. Oczywiście każdy podmiot polityczny – może to być i pojedyncza osoba, i jakaś zbiorowość – po swojemu definiuje dobro i zło. Dlatego, że kieruje się swoimi partykularnymi interesami. Tyle że zachodnia nowoczesność nadbudowała je treściami uniwersalistycznymi, czyli odwoływaniem się do wartości moralnych, które mają obowiązywać ogół ludzkości.

Dlatego w tym kontekście istotne jest ukształtowanie nowoczesnych umysłów przez ideę postępu. To ona stanowi matrycę wartościowania, które zadomowiło

eprasa.pl a8d4c013d5

się na Zachodzie. Ale ambicją polityków państw zachodnich stało się uszczęśliwienie ideą postępu reszty świata.

Pod koniec XX w. można było jednak odnieść wrażenie, że nastąpiło przystopowanie takich pasji. Rozmaite projekty rewolucyjne zostały skompromitowane głównie przez komunizm, który przegrał i jako teoria, i jako praktyka. Nastąpił krach ZSRS, blok wschodni się rozpadł. W latach 90. na Zachodzie rozpowszechniony był już pogląd, że nie ma alternatywy dla – pod względem ideologicznym letniej – liberalnej demokracji, gdyż pozbawiona jest ona konfrontacyjnych aspiracji, a za jej zaletami przemawiają doświadczenia tych społeczeństw, które dzięki niej osiągnęły stabilizację polityczną i dobrobyt.

Skoro tak, to nic dziwnego, że wśród politycznych i intelektualnych elit państw zachodnich zaświtała myśl – paradoksalnie jak najbardziej o charakterze ideologicznym – że system liberalno-demokratyczny jest korzystny dla każdego kraju, a w dodatku stanowi on doskonałą płaszczyznę globalizacji ekonomicznej. I szlak w tej sprawie przetarli wcześniej neokonserwatyści. Tym samym po zimnej wojnie stało się jasne, co stanowi dobro, a co zło oraz jaki jest kierunek postępu. Dlatego tacy ludzie jak Robert D. Kaplan optowali za amerykańskim eksportem liberalnej demokracji.

Szkopuł w tym, że polityka ta na dłuższą metę poniosła fiasko. Oparta na dyktacie wielkich ponadnarodowych korporacji globalizacja ekonomiczna odsłoniła swoje ciemne oblicze podczas światowego kryzysu finansowego lat 2008–2009. Natomiast w „Tragizmie polityki naszych czasów" Kaplan porusza szczególnie kwestię opłakanych efektów eksportu liberalnej demokracji na Bliski Wschód i północ Afryki. Amerykanie chcieli obalić dyktatorów w Iraku, Syrii, Libii i innych krajach muzułmańskich, by zostały one przyłączone do lepszej części świata. A tymczasem swoimi działaniami je politycznie mocno zdestabilizowali, co spowodowało, że w siłę urosły takie ruchy jak Państwo Islamskie i przez świat zaczęły się przetaczać nowe fale dżihadystowskiego terroru. Okazało się bowiem, że ci, którzy wysunęli uniwersalistyczne pomysły, zlekceważyli lokalne uwarunkowania kulturowe, historyczne, geograficzne. To, co się sprawdziło na Zachodzie, wcale nie musi się sprawdzić w krajach muzułmańskich.

A gdzie są źródła problemów, o których pisze Kaplan? Odpowiedź brzmi: w mentalności politycznego i intelektualnego establishmentu amerykańskiego, którą znamionuje wspomniane wyżej zero-jedynkowe podejście do wszelkich konfliktów. Według Kaplana ludzie podejmujący doniosłe decyzje dotyczące losów całych społeczeństw powinni nabrać pokory wobec natury ludzkiej i porzucić złudzenia, że celem polityki jest zwycięstwo – w sensie moralnym – dobra nad złem, a więc także liberalnej demokracji nad tyraniami i dyktaturami. Przewodnikami zaś dla tych osób mogą być klasyczne dzieła teatralne – tragedie antycznych Greków oraz Williama Shakespeare'a.

I tu dochodzimy do wyjaśnienia, czym jest afirmowany w książce Kaplana tytułowy tragizm. Przyjęło się ten termin kojarzyć z postawą pesymistyczną, która stanowi wyraz rozpaczy w obliczu beznadziei. Kaplanowi jednak chodzi o coś zupełnie odmiennego: tragizm to pełne męstwa realistyczne podejście do rzeczywistości – także tej politycznej. Oznacza ono mierzenie się z przeciwnościami, których nie da się pokonać ideologicznymi zaklęciami. Zdaniem Kaplana przeznaczeniem polityka jest dokonywanie trudnych wyborów, ale nie między dobrem a złem, lecz między jednym dobrem a innym dobrem albo między złem mniejszym a złem większym.

Dylematy, przed którymi stają ludzie sprawujący władzę, to temat choćby „Antygony" Sofoklesa. Bohaterka tego dramatu musi wybierać między wiernością rodzinie a wiernością państwu. Antygona czuje się w obowiązku pochować swojego brata, ale ponieważ był on zdrajcą, to w świetle prawa nie wolno jej tego zrobić.

POLITYCZNY INFANTYLIZM

Rozważania Kaplana o tragizmie warto odnieść do liberalnej demokracji, z którą mają do czynienia dziś Polacy. Promuje ona moralizatorstwo, w którego ramach nie ma miejsca na niuansowanie sytuacji konfliktowych i branie pod uwagę kontekstów, w jakich one występują. Tym samym Polakom zaszczepiany jest polityczny infantylizm.

Polega on choćby na fetyszyzacji praworządności. Już samo zastanawianie się nad tym, że werdykty polskich sędziów mogą kolidować z polskimi interesami narodowymi, jest powodem do zgorszenia dla masy filistrów, którym w głowie się nie mieszczą takie – właśnie typowo tragiczne – sytuacje konfliktowe. A przecież bywa tak, że praworządności używa się wyłącznie jako pustego sloganu. Legitymizuje on wiązanie rąk polskim politykom za pośrednictwem wymiaru sprawiedliwości na rzecz grup, którym bynajmniej nie zależy na korzyściach dla Polski.

ROBERT D. KAPLAN „TRAGIZM POLITYKI NASZYCH CZASÓW. STRACH, FATUM I BRZEMIĘ WŁADZY" PRZEŚWITY, WARSZAWA 2023

Polityczny infantylizm wśród Polaków przejawia się też np. w niezrozumieniu motywacji, którymi kierują się politycy obcych państw. Weźmy choćby stosunek do Niemiec. Od polityków niemieckich oczekuje się, że zaakceptują oni wypłacenie Polsce gigantycznych reparacji za szkody wyrządzone jej przez III Rzeszę podczas drugiej wojny światowej. Tyle że ludzie ci – przy założeniu, iż wartości moralne stanowią dla nich ważny punkt odniesienia – są w położeniu tragicznym: stoją przed wyborem między elementarną przyzwoitością, która równoznaczna jest z finansowym zadośćuczynieniem Polakom, a niemieckim patriotyzmem, nakazującym troszczyć się o budżet państwa niemieckiego. Ale w Polsce spekulowanie głośno o tym hipotetycznym rozdarciu niemieckiej klasy politycznej naraża jednak na to, że się zostanie okrzykniętym pachołkiem Niemiec.

Dlatego jeśli polityka traktowana jest jako pole walki dobra ze złem, to nie może być mowy o ważeniu rozmaitych racji. A liberalna demokracja stanowi system, w którym przekazy dnia środowisk mainstreamowych wyzbyte są tragizmu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

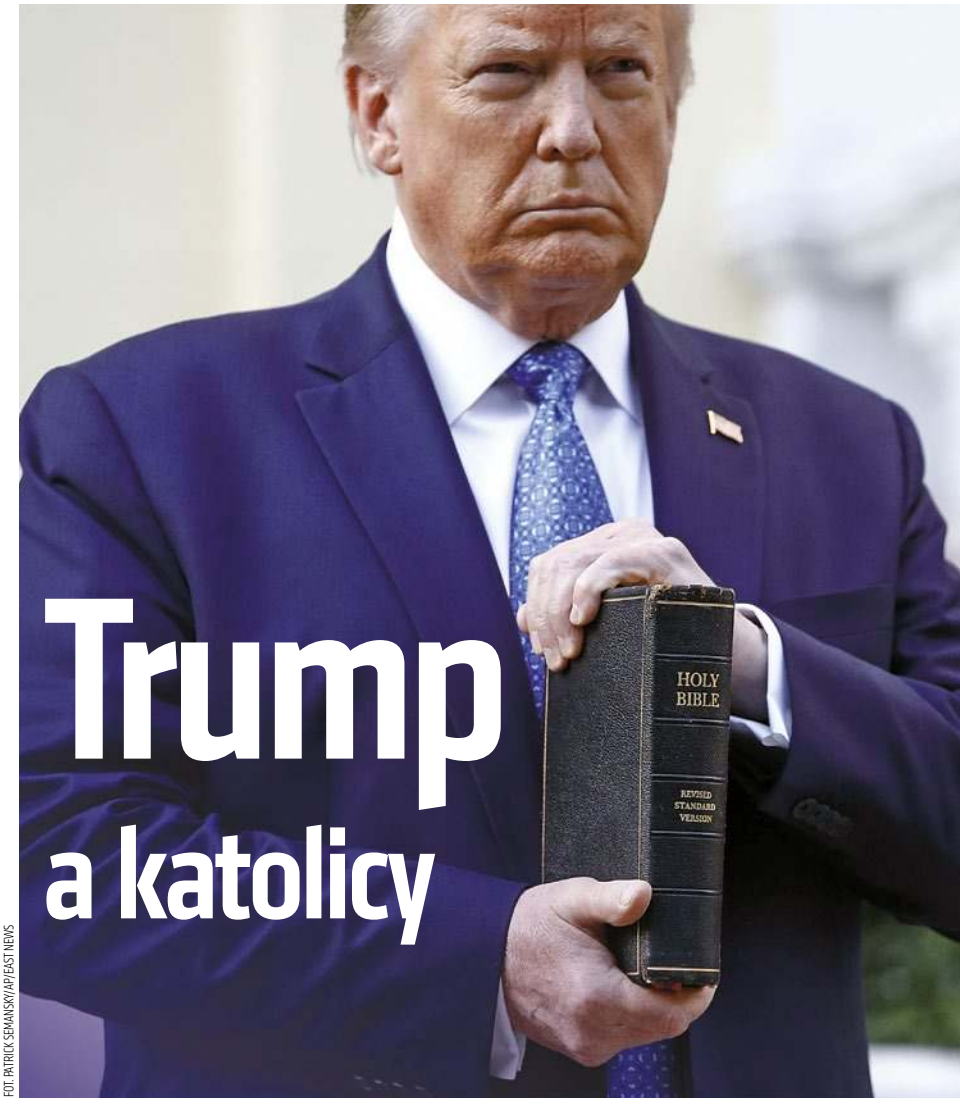

FOT. PATRICK SEMANSKY/AP/EAST NEWS

Trump a katolicy

Paweł Chmielewski

Kościół katolicki w Stanach Zjednoczonych może odetchnąć. Objęcie prezydentury przez Donalda Trumpa pozwoli uporać się z wieloma poważnymi problemami. Niezadowolona jest tylko jedna grupa: najbliżsi sojusznicy Franciszka

W wyborach większość białych katolików zagłosowała na Donalda Trumpa. Republikanin otrzymał też wsparcie ok. 43 proc. katolików latynoskich pomimo tego, że ta grupa głosowała dotąd w zdecydowanie większej części na demokratów. Przyczyny są dość oczywiste. Dla wierzących członków Kościoła kandydatury Joe Bidena i Kamali Harris były po prostu nieakceptowalne. Poparcie dla legalnego dzieciobójstwa prenatalnego, ideologia gender, wojna z własną historią i tożsamością, wreszcie – otwarte prześladowania zaangażowanych katolików. Również większość amerykańskich biskupów poparła Trumpa – nawet jeżeli nie deklarowali tego wprost, akcentując niemożność głosowania na polityków proaborcyjnych, to wysyłali wyborcom wyraźny sygnał.

NIEZADOWOLENI LIBERAŁOWIE

Ze zwycięstwa kandydata republikanów niezadowolona jest tylko jedna część amerykańskiego Kościoła: liberałowie ściśle związani z linią Franciszka. Jorge Mario Bergoglio nigdy nie krył głębokiej niechęci do Trumpa. W 2016 r. ogłosił, że polityk „nie jest chrześcijaninem"; pośrednio skrytykował go też w encyklice „Fratelli tutti" z 2020 r. Przed ostatnimi wyborami ogłosił w jednym z wywiadów, że zarówno Trump, jak i Harris są „przeciwko życiu", bo pierwszy odrzuca masową migrację, a druga popiera aborcję – tak jakby mordowanie dzieci było tym samym, co uszczelnianie granic. Działania w obronie demokratów podejmowało w ostatnich latach sporo liberalnych amerykańskich hierarchów związanych. Najważniejsi to trzej kardynałowie związani z Franciszkiem: Blase Cupich z Chicago, Joseph Tobin z Newark w New Jersey i Robert McElroy – dotąd z San Diego w Los Angeles, od 2025 r. przeniesiony do Waszyngtonu. Wszystkich charakteryzuje to samo: poparcie dla ideologii gender i politycznego ruchu LGBT oraz de facto akceptacja legalnej aborcji, wyrażana przez nich w postaci zgody na udzielanie Komunii Świętej proaborcyjnym politykom. Dodatkowo Blase Cupich prowadzi działania wymierzone w tradycjonalistów, zamykając kościoły i walcząc z przyjmowaniem Eucharystii na kolanach.

Chociaż za kadencji Bidena najważniejszą rolę odgrywali Cupich i Tobin, to dziś na czoło wysuwa się McElroy, człowiek o radykalnie prosynodalnym i progejowskim nastawieniu. Według amerykańskich dziennikarzy katolickich z „The Pillar" nuncjusz apostolski w USA kard. Christophe Pierre nie był zwolennikiem obsadzenia Waszyngtonu McElroyem ze względu na jego polaryzującą osobowość. Ostatecznie jednak zapadła inna decyzja: Franciszek zdecydował się na eskalację konfliktu i 6 stycznia ogłosił nominację właśnie dla McElroya. Można argumentować, że była to odpowiedź na decyzję Trumpa. Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia repu-

eprasa.pl a8d4c013d5

blikanin poinformował, że ambasadorem USA w Watykanie zostanie Brian Burch, dotychczasowy szef protrumpowskiej organizacji katolickiej CatholicVote. Burch jest ojcem dziewięciorga dzieci i zadeklarowanym konserwatystą. Krytykował Franciszka za walkę z Mszą trydencką; negatywnie oceniał proces synodalny; dawał wyraz swojej bliskości wobec kard. Gerharda Müllera, którego otoczenie papieża uważa za jednego z głównych wewnątrzkościelnych wrogów.

Większość amerykańskiego episkopatu nie ma z nowym prezydentem USA większego problemu, choć trudno oczywiście o pełną jedność politycznych ocen. Katolików w Stanach jest ponad 70 mln, diecezji – prawie 200. Niektóre z nich – jak Cheyenne w stanie Wyoming czy Great Falls-Billings w stanie Montana – mają ponad 200 tys. km kw. powierzchni, a wiernych jest tam zaledwie po ok. 50 tys. Inne, jak Nowy Jork czy Boston, to diecezje terytorialnie małe, ale zamieszkane przez miliony katolików. Daje to bardzo zróżnicowany obraz. Biskupi są jednak generalnie nastawieni do Trumpa dość pozytywnie. Dotyczy to przede wszystkim kwestii aborcji. Choć republikanin, według własnych deklaracji, nie zamierza zmieniać prawa aborcyjnego, to wszyscy pamiętają, że to dzięki jego nominacjom Sąd Najwyższy obalił proaborcyjny wyrok Roe vs. Wade z 1973 r. Trump, pomimo wielu politycznych flirtów ze środowiskiem LGBT, odrzuca też ideologię gender, która jest nieakceptowalna dla większości biskupów w USA. Bardzo ważna pozostaje kwestia wolności religijnej. Za prezydentury Bidena katolicy bywali autentycznie prześladowani. FBI prowadziła działania przeciwko tradycjonalistom w Richmond w stanie Wirginia. Zatrzymywano i wsadzano do więzienia pro-liferów protestujących w klinikach aborcyjnych. Prokurator generalny Merrick Garland zachęcał służby do zajęcia się rodzicami, którzy – także z powodów religijnych – aktywnie angażowali się w szkołach przeciwko lewicowej indoktrynacji ich dzieci. Trump chce z tym skończyć. Na stanowisko prokuratora generalnego wskazał Pamelę Bondi; podczas przesłuchania w Senacie na początku stycznia jasno deklarowała, że podobnych działań już nie będzie, bo wolność religijna w USA musi być bezwzględnie chroniona.

Choć sam Trump nie jest członkiem Kościoła, to chętnie współpracuje z katolikami. Emblematyczna jest postać Kevina Robertsa, szefa wpływowej Heritage Foundation, która przygotowała słynny „Projekt 2025" szczegółowo opisujący drogę do głębokiej transformacji systemu państwowego USA w kierunku ściśle konserwatywnym. Roberts jest znajomym J.D. Vance'a, nawróconego kilka lat temu wiceprezydenta przy Trumpie, który prezentuje się chętnie jako katolicki konserwatysta. Szefem sekretariatu stanu został Marco Rubio. Sam o sobie mówił, że „teologicznie i doktrynalnie jest w pełnej zgodzie z Kościołem katolickim". Na ambasadora przy ONZ Trump wybrał Elise Stefanik, katoliczkę zaangażowaną w walkę z aborcją. Szefem CIA został John Ratcliffe, katolik, który krytykował proaborcyjne działania demokratów. Szefem departamentu zdrowia został Robert F. Kennedy Jr, określający się wprawdzie mianem „liberalnego katolika", ale będący zarazem przeciwnikiem aborcji. Polityką migracyjną i deportacjami ma zająć się Thomas Homan. Homan niewiele mówi o swojej wierze, ale przyznaje się do „bardzo konserwatywnego i bardzo katolickiego" wychowania, regularnie uczęszcza na Mszę Świętą, a kwestię uszczelniania granicy przedstawia w kategoriach moralnej powinności USA.

KONTROWERSYJNY TEMAT

Pomimo powierzenia kwestii migracyjnych w ręce katolika to właśnie temat granicy może najbardziej dzielić biskupów i Trumpa. Podczas zebrania plenarnego Konferencji Episkopatu USA z połowy listopada 2024 r. biskupi prezentowali wręcz „bojowe" nastroje. Szef komisji episkopatu do spraw migracji, bp Mark Seitz z diecezji El Paso przy granicy z Meksykiem, mówił, że jeżeli nowa administracja USA będzie realizować program masowych deportacji w sposób uwłaczający godności i prawom człowieka, to episkopat „ostro zareaguje". Według Seitza dopuszczalne jest wyrzucanie z kraju tylko tych nielegalnych imigrantów, którzy popełniają przestępstwa; inni powinni móc pozostać. Na tym samym zebraniu przewodniczący episkopatu abp Timothy Broglio, który kieruje archidiecezją Sił Zbrojnych USA, deklarował poparcie dla „naprawy" prawa migracyjnego, ale bez naruszania „ludzkiej godności". Takie stanowisko biskupów wynika najprawdopodobniej nie tylko ze starań wpisania się w „linię duszpasterską" pontyfikatu Franciszka. Episkopat stara się wskazywać na złożoność problemu migracyjnego także dlatego, że Kościół w USA ma coraz bardziej latynoskie oblicze: Latynosi to już 30 proc. katolików w tym kraju. Rosnąca liczba diecezji jest de facto dwujęzyczna. Ma to swoje konsekwencje dla zapatrywań biskupów na problem migracji.

Punktów spornych jest oczywiście więcej. To m.in. in vitro, które wbrew stanowisku Kościoła Donald Trump popiera bardzo zdecydowanie, czemu dał wyraz nawet w nowym programie Partii Republikańskiej z lata 2024 r. Episkopat, chcąc zachować wierność wobec magisterium Franciszka, deklaruje też niezadowolenie z proponowanej przez Trumpa polityki środowiskowej. W przeszłości biskupi skrytykowali np. decyzję o wyjściu z paryskich porozumień klimatycznych.

W sumie jednak, wyjąwszy liberalną frakcję ściśle związaną z „linią Franciszka", amerykański Kościół może liczyć na cztery dobre lata. Modlitwę, która otworzyła jego inaugurację, tak samo jak w 2017 r., poprowadził arcybiskup Nowego Jorku, kard. Timothy Dolan, związany z konserwatywnym skrzydłem episkopatu USA. To ważny sygnał. Rosnąca liczba republikanów rozumie, że konserwatywna odnowa Stanów Zjednoczonych nie może odbyć się bez ścisłej współpracy z Kościołem katolickim, a konkretnie tą jego częścią, która pozostaje wierna tradycyjnemu nauczaniu. Żadna z protestanckich denominacji nie może dać amerykańskiej polityce tego, co katolicyzm.

W tej kadencji może być to szczególnie wyraźne. Jeżeli wierzyć słowom kard. Dolana, który rozmawiał niedawno z nowym prezydentem, to po zamachu terrorystycznym z lipca 2024 r. Trump naprawdę uznał, że doszło do cudu, a jego wiara „zaczęła się odradzać". Nie oznacza to oczywiście, by miał podjąć próbę realizacji całej katolickiej agendy politycznej. Każdy element otrzeźwienia z lewicowego amoku będzie jednak cenny. Konserwatywni katolicy zdają się być przekonani, że przy wszystkich oczywistych brakach Trumpa takich elementów będzie całkiem sporo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl a8d4c013d5

Z dr Miriam Grossman, specjalistką w zakresie psychiatrii dzieci, młodzieży i dorosłych
rozmawia Piotr Włoczyk

Mamy do czynienia ze „społeczną zarazą”

PIOTR WŁOCZYK: Kilka lat temu doszło w pani życiu zawodowym do prawdziwej rewolucji, czego owocem jest ta książka. Co się wtedy stało?

DR MIRIAM GROSSMAN: Od 35 lat pracuję jako psychiatra dziecięcy i mniej więcej pięć lat temu w ramach mojej praktyki doszło do radykalnej zmiany. Wcześniej zajmowałam się m.in. depresją, stanami lękowymi czy ADD (zaburzenia koncentracji uwagi). Teraz jednak zajmuję się tylko nastolatkami i młodymi dorosłymi, którzy sami siebie identyfikują jako osoby transpłciowe. Wolę jednak mówić, że te osoby czują napięcie związane z odczuwaniem własnej płci, ponieważ staram się nie używać języka tej ideologii. Narzucany nam język ma zmanipulować nasze myślenie – te słowa nie mają podstaw w prawdziwej nauce i są bardzo niejednoznaczne.

Oprócz leczenia młodych, zagubionych ludzi rozmawiam też z ich rodzicami. Staram się przeprowadzić ich przez ten bardzo trudny dla nich czas. I właśnie na podstawie tych doświadczeń napisałam moją książkę.

Lata temu tragiczne historie ludzi, którzy nie wiedzieli, kim są, były wyjątkowo rzadkie – zdarzały się raz na dziesiątki tysięcy przypadków. Teraz widzimy prawdziwą falę dziecięcych ofiar ideologii trans.

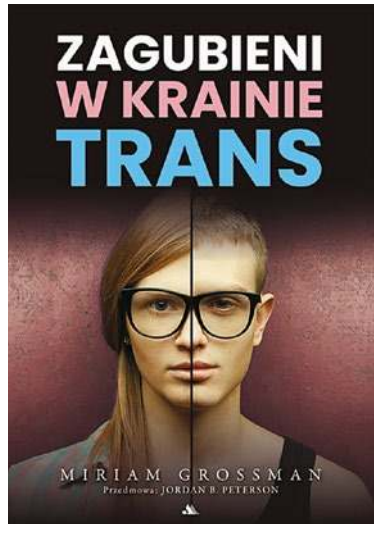

Gdy studiowałam, by zostać psychiatrą dziecięcym, przypadłość, którą nazywano zaburzeniem tożsamości płciowej (ang. Gender Identity Disorder), była niezwykle rzadka. Nigdy bym nie pomyślała, że kiedykolwiek będę miała do czynienia z takim pacjentem. To zagadnienie wydawało się czysto teoretyczne – była o tym mowa w specjalistycznych podręcznikach, a czasem słyszało się o takich przypadkach w telewizji. Zazwyczaj chodziło o mężczyznę w średnim wieku, który nagle zaczynał przedstawiać się jako kobieta i przyjmował hormony, a następnie poddawał się operacji. To wciąż określane jest jako przypadłość psychiatryczna, ale nie nazywa się już tego zaburzeniem. Była to decyzja polityczna, a nie naukowa, ale szerzej opowiadam o tym w książce.

Aby pokazać skalę problemu, wystarczy powiedzieć, że zaledwie 20 lat temu, w 2004 r., na całym świecie były zaledwie trzy kliniki, które zajmowały się dziećmi mającymi problem z postrzeganiem swojej płci: w Holandii, w Wielkiej Brytanii i w Kanadzie. Do tych klinik trafiało rocznie ok. 10 dzieci. Natomiast w ciągu mniej więcej dekady mamy istny wysyp takich przypadków i klinika w Londynie zanotowała wzrost liczby wysyłanych do niej dzieci o 5 tys. proc.!

Co się stało?

Musimy zacząć od tego, że są różne postacie tzw. dysforii płciowej. Jedna z nich dotyka małe dzieci, które sygnalizują, że są przeciwnej płci. To bardzo rzadkie przypadki. I ogromna większość tych dzieci, jeżeli da się im po prostu spokojnie dorosnąć, w naturalny sposób pozbędzie się tych negatywnych odczuć względem własnego ciała – ci ludzie w dorosłość wchodzą pogodzeni z tym, kim naprawdę są.

O drugiej grupie już wspomniałam: heteroseksualni mężczyźni w średnim wieku, którzy nagle postanawiają żyć jako kobiety.

I jest jeszcze trzecia grupa: nastolatkowie, którzy nagle zaczynają manifestować nową tożsamość. Na rodziców spada to jak grom z jasnego nieba – ich dzieci ogłaszają, że identyfikują się z inną płcią, choć jeszcze niedawno wszystko wydawało się w porządku. Co ważne – większość z nich ma poważne problemy psychiczne, jak np. depresja, stany lękowe, bądź też są w spektrum autyzmu.

Dwie pierwsze grupy składały się w większości z chłopców i mężczyzn. Tymczasem ta trzecia grupa, która niesamowicie szybko pęcznieje na naszych oczach, to w zdecydowanej większości dziewczyny.

Dlaczego teraz obserwujemy wysyp przypadków w tej trzeciej grupie? Czy to możliwe, że ta „epidemia” po prostu zbiegła się w czasie z szalonym rozwojem mediów społecznościowych,

eprasa.pl a8d4c013d5

gdzie dzieci łatwo mogą znaleźć niebezpieczne treści aktywistów ruchu trans?

Nie ma tu żadnego zbiegu okoliczności. Mamy do czynienia ze „społeczną zarazą". To sytuacja, gdy pewne idee czy zachowania rozchodzą się w kręgu znajomych. To może być krąg w świecie rzeczywistym lub właśnie w Internecie. A dziś przecież dzieci nierzadko mają znajomych wyłącznie w Internecie.

Amerykańskie Towarzystwo Psychiatryczne niestety zadecydowało o zmianie diagnozy i dziś już nie mówi się w tym kontekście o zaburzeniu. W ten sposób społeczeństwo zaczęło być przekonywane, że ten bardzo głęboki niepokój odnośnie do postrzegania własnego ciała mieści się w normie rozwoju człowieka, tak jakby to był jeden z wariantów rozwoju. W ten sposób zostało to wyjęte ze sfery patologii, choroby. Dziś mamy więc do czynienia z sytuacją, gdy poczucie odrzucania własnego ciała i wiążąca się z tym chęć przejścia operacji są uznawane za normę.

Dziś w wielu amerykańskich stanach to, co pani robi – leczenie „głowy", by zaakceptowała ciało, a nie odwrotnie – jest nielegalne. Legalne są natomiast blokery dojrzewania, wstrzykiwanie hormonów płci przeciwnej czy okaleczające dzieci operacje.

Wszystkie mainstreamowe stowarzyszenia medyczne promują przekonanie, że ludzie tacy jak ja mają automatycznie potwierdzać odczucia dzieci odnośnie do ich ciał, bez względu na ich wiek czy stan zdrowia psychicznego.

Trzeba tu podkreślić kluczową rzecz: żadne dziecko nie rodzi się w „złym" ciele. Jeżeli młody człowiek zaczyna sygnalizować, że źle się czuje z własnym „ja", to winne jest nie ciało, ale – tak jak pan zwrócił uwagę – „głowa". Natomiast aktywiści trans – i wielu medyków – przekonują, że jedynym wyjściem jest dopasowanie ciała do „głowy". Czyli musisz wymyślić sobie nowe imię, używać nowych zaimków i każdy dookoła ciebie musi to zaakceptować. A ci, którzy tego nie zrobią, są twoimi wrogami, nie kochają cię i musisz się od nich odciąć, nawet jeżeli są to rodzice czy rodzeństwo.

W zeszłym roku przeprowadziłem dla tygodnika „Do Rzeczy" wywiad z Chloe Cole – młodą Amerykanką, która została okaleczona, bo wydawało się jej, że jest chłopcem. Tymczasem Chloe cierpi na autyzm...

Lekarze niestety upewniają dziś pacjentów w ich urojeniach. Zadaniem psychiatrów jest diagnozowanie urojeń i prowadzenie terapii mającej na celu poprawę stanu zdrowia. Nie możemy potwierdzać, że pacjent rzeczywiście jest Napoleonem, a mniej więcej z takimi sytuacjami mamy dziś do czynienia! Niestety, moja profesja została przejęta przez radykalnych aktywistów, przez co psychiatria jest dziś w bardzo niebezpiecznym miejscu. Na szczęście w USA widać coraz większy opór przeciw ideologii trans i mam nadzieję, że w końcu psychiatria wróci na swoje właściwe tory.

Napisałam książkę nie dla specjalistów, tylko dla matek i ojców, by chronili swoje dzieci, zanim dojdzie do tragedii – zanim ich zagubione dzieci wpadną w ręce ideologów ze strzykawkami z hormonami i skalpelami. Ta książka ma być jak szczepionka przeciw bardzo niebezpiecznemu „wirusowi" atakującemu umysły młodych ludzi.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Poszli za Nim
Kontynuacja bestsellerowej trylogii

Zamów też:

432+432+456 str.,
19,5 x 24 cm, twarda oprawa.
Cena kompletu: ~~267 zł~~ 199 zł
Można zamawiać tomy pojedynczo! ~~89 zł~~ 69 zł

PREMIERA!

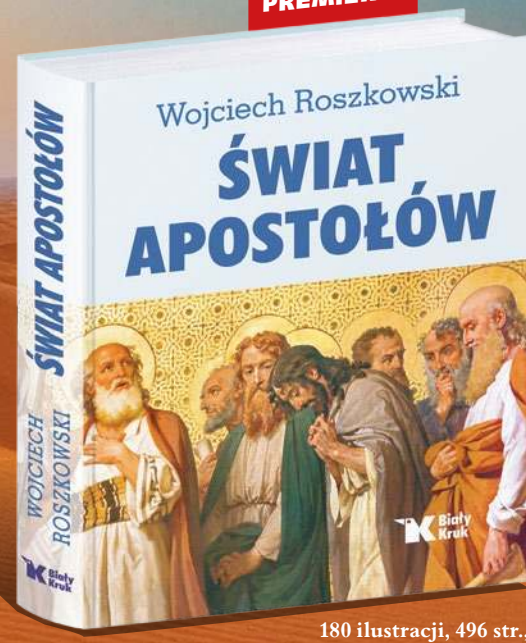

180 ilustracji, 496 str.,
19,5×24 cm, twarda oprawa.
Cena det. 89 zł

Dla czytelników „Do Rzeczy" 25% taniej!
Wejdź na stronę bialykruk.pl i wykorzystaj
kod rabatowy DORZECZY25

ZAMÓW: bialykruk.pl, tel.: 12/254 56 02, 12/254 56 19 lub e-mail: handlowy@bialykruk.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.

eprasa.pl a8d4c013d5

PRL-owska propaganda i show-biznes

Grzegorz Majchrzak

W maju 1982 r. Mariusz Walter odszedł z Telewizji Polskiej. Przez wiele lat uważany był za jedną z ofiar weryfikacji przeprowadzonej po wprowadzeniu stanu wojennego w Komitecie do spraw Radia i Telewizji, którego częścią była TVP. Czy jednak słusznie?

Mariusz Walter z mediami był związany przez wiele lat – początkowo (w latach 1960–1961) z Polskim Radiem w Katowicach, następnie z Telewizją Polską w stolicy Górnego Śląska (1961–1963) oraz TVP w Warszawie. Swoją przygodę z mikrofonem rozpoczynał od sportu, jako sprawozdawca sportowy, a kończył jako redaktor naczelny Naczelnej Redakcji Widowisk Publicystycznych i Form Dokumentalnych Telewizji Polskiej. Był doceniany przez przełożonych, o czym świadczą licznie przyznawane mu nagrody oraz wyróżnienia, m.in. pięciokrotnie doroczne nagrody Prezesa Komitetu do spraw Radia i Telewizji czy dwukrotnie Ministra Spraw Wewnętrznych.

Był też – od 1967 r. – członkiem Polski Zjednoczonej Partii Robotniczej. Nic zatem dziwnego, że 15 czerwca 1977 r. powierzono mu stanowisko redaktora naczelnego w pionie politycznym TVP. Sprawował je przez blisko pięć lat, a kiedy odchodził z Telewizji Polskiej 15 maja 1982 r., oceniano go na tym stanowisku nadal pozytywnie. W opinii dotyczącej jego pracy stwierdzano: „Pracując na stanowiskach kierowniczych, stwarzał zawsze atmosferę sprzyjającą pracy twórczej. Wymagający, ale obiektywny, w ocenie członków podległego mu zespołu". I dodawano: „Jego szeroką wiedzę wykorzystywały uczelnie filmowo-telewizyjne", oczywiście za wiedzą i zgodą jego szefów. Dlaczego zatem zdecydował się odejść z TVP?

Jak się okazuje, nie wszyscy oceniali go podobnie jak jego przełożeni czy podwładni, czyli również pozytywnie. Zdecydowanie bardziej krytyczna wobec jego osoby była „odnowiona" po 13 grud-

eprasa.pl a8d4c013d5

Mariusz Walter w programie publicystycznym TVP „Progi i bariery" (1975)
FOT. ZYGMUNT JANUSZEWSKI/TVP/EAST NEWS

nia 1981 r. organizacja zakładowa PZPR w Komitecie do spraw Radia i Telewizji oraz „opiekująca się" tą instytucją Służba Bezpieczeństwa. Czemu? Otóż – jak wynika z notatki biograficznej Waltera przygotowanej w Departamencie III MSW w październiku 1986 r. – „Jako wieloletni kierownik zespołu »Studio 2« posiadał duże możliwości politycznego i programowego oddziaływania na podwładnych i program TVP. Swoimi posunięciami programowymi nie wspierał jednak linii partii, szczególnie po sierpniu 1980 r.". Lista esbeckich zarzutów wobec niego była zresztą sporo dłuższa, m.in. rzekome preferowanie w działalności programowej „płaskich wzorców telewizji komercyjnej w USA" czy przenoszenie na antenę „formuły telewizji płytkiej, bezproblemowej, lansującej kosmopolityczne wzorce osobowe". Najbardziej jednak miało go obciążać coś innego – „głęboka niechęć do jednoznacznego określenia swego zaangażowania politycznego", która miała być „szczególnie szkodliwa" po powstaniu NSZZ „Solidarność". Miało o tym świadczyć m.in. wystąpienie z szeregów PZPR dwóch jego zastępców – Macieja Wierzyńskiego i Stefana Truszczyńskiego w październiku 1981 r. Tym bardziej że Mariusz Walter nie wyciągnął wobec nich „żadnych wniosków służbowych" i „nie dokonał politycznej oceny ich postaw i działalności".

BULWERSUJĄCA DECYZJA

Po 13 grudnia 1981 r. Waltera szybko „włączono do prac programowych w warunkach stanu wojennego". Nie wszystkim się to zresztą spodobało. Jak wspominał w sprawozdaniu z drugiego tygodnia stanu wojennego komisarz – pełnomocnik Komitetu Obrony Kraju w Komitecie do spraw Radia i Telewizji – decyzja ta miała zbulwersować „zwłaszcza środowisko partyjne". Podobnie jak inni pracownicy tej instytucji podlegał weryfikacji. W pionie, w którym kierownikiem był Mariusz Walter, rozpoczęła się ona 12 stycznia, a zakończyła (a właściwie jej pierwszy etap) po 2 lutego 1982 r. Przeprowadzali ją Józef Rudnicki (przedstawiciel Komitetu Centralnego PZPR), Bogdan Michalski (z Komitetu Warszawskiego PZPR), Przemysław Marcisz (Główny Urząd Kontroli Publikacji, Prasy i Widowisk), Stefan Zieliński (Główny Zarząd Polityczny Wojska Polskiego), Stanisław Milewicz (MSW) oraz Jerzy Bajdor (dyrektor generalny w Komitecie do spraw Radia i Telewizji). Zdecydowali oni, że 41 osób należy zwolnić z pracy, a kolejnych dziewięć usunąć z zajmowanego stanowiska. Co ciekawe, nasz bohater (obok m.in. Niny Terentiew czy Xymeny Zaniewskiej) znalazł się pierwotnie w grupie osób negatywnie zweryfikowanych, wytypowanych do zwolnienia. Obok zarzutów dotyczących postawy w tzw. solidarnościowym karnawale, zbieżnych z tymi z późniejszej esbeckiej notatki z 1986 r., stwierdzano również: „Poglądy, które prezentował w czasie rozmowy, wykazały brak zdolności do samokrytycznej oceny działań programowych »Studia 2« i własnej osoby. Równocześnie deklarowanie, że jest się gotowym podjąć służenie swoimi umiejętnościami kolejnemu kierownictwu TV, pogłębia negatywną charakterystykę postawy publicznej i moralnej M. Waltera. Nie gwarantuje to prawidłowego wznowienia działalności programowej tej redakcji pod jego kierownictwem". Jakby tego było jeszcze mało, dodawano, że „realizował w koprodukcji z zachodnioniemiecką firmą film o alkoholizmie i narkomanii w Polsce", a pracę tę rzekomo „podjął bez koniecznej w takich wypadkach zgody kierownictwa służbowego".

Walter znalazł obrońców na szczytach PRL-owskich władz. Wsparcia udzielili mu m.in. członek Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i wicepremier Mieczysław Rakowski oraz członek KC PZPR i zastępca członka Biura Politycznego Jan Główczyk

Wydawałoby się, że w tej sytuacji jego los jest przesądzony. Tak się jednak nie stało, gdyż wobec decyzji pozostałych członków komisji weryfikacyjnej w jego przypadku votum separatum zgłosił Bajdor. Decyzji w sprawie przyszłości Mariusza Waltera nie podjęto również podczas posiedzenia Prezydium Komitetu do spraw Radia i Telewizji 11 lutego 1982 r., na którym zatwierdzano decyzje komisji weryfikacyjnej odnośnie do pracowników pionu artystycznego (w tym Naczelnej Redakcji Widowisk Publicystycznych i Form Dokumentalnych Telewizji Polskiej). Zdecydowano jedynie, że przewodniczący Komitetu do spraw Radia i Telewizji Władysław Loranc

eprasa.pl a8d4c013d5

„przeprowadzi rozmowy konsultacyjne" w sprawie jego dalszej przydatności dla TVP. Ostatecznie, przynajmniej według ustaleń Służby Bezpieczeństwa – po konsultacji z Wydziałem Prasy, Radia i Telewizji KC PZPR – kierownictwo Komitetu do spraw Radia i Telewizji zdecydowało, że Walter pozostanie nadal pracownikiem tej instytucji, ale zostanie odwołany ze stanowiska redaktora naczelnego. Z tego rozwiązania nie był zapewne zadowolony sam zainteresowany, gdyż 27 kwietnia 1982 r. zwrócił się do swoich przełożonych o rozwiązanie – na zasadzie porozumienia stron – jego umowy o pracę, dodając: „Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami proponuję datę 1 maja 1982 r.". Ostatecznie jednak został zwolniony dwa tygodnie później.

Tak na marginesie dopiero z tą datą został też odwołany ze stanowiska redaktora naczelnego Naczelnej Redakcji Widowisk Publicystycznych i Form Dokumentalnych TVP. Przy okazji przewodniczący Komitetu do spraw Radia i Telewizji Loranc stwierdzał: „Dziękuję Obywatelowi za wybitny wkład w rozwój programu i warsztatu telewizyjnego". Nie trzeba chyba w tym miejscu dodawać, że negatywnie zweryfikowani pracownicy mediów na takie „laurki" nie mogli liczyć. Co ciekawe, we wspomnianej wcześniej opinii powstałej, a przynajmniej datowanej na dzień jego odejścia z Telewizji Polskiej stwierdzano, że „Ob. Mariusz Walter na własną prośbę został odwołany ze stanowiska redaktora naczelnego".

„CZARNA PROPAGANDA"

Która wersja jest prawdziwa – ta z dokumentacji pracowniczej Waltera czy ta z materiałów MSW – nie sposób dzisiaj przesądzić. Nie można jednak również w tym miejscu nie przypomnieć, że Walter znalazł obrońców na szczytach PRL-owskich władz. Wsparcia udzielili mu m.in. członek Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej i wicepremier Mieczysław Rakowski oraz członek KC PZPR i zastępca członka Biura Politycznego Jan Główczyk. I nic dziwnego, skoro – jak pisał w lutym 1983 r. rzecznik prasowy rządu Jerzy Urban – dziennikarz ten czynnie wspierał swoimi umiejętnościami władze stanu wojennego. Miał on przedstawiać Rakowskiemu i Urbanowi „sporo interesujących koncepcji ogólnopolitycznych i propagandowych". Jakich? Tego niestety nie wiemy, możemy się jedynie domyślać – był to przecież okres bezpardonowego zwalczania członków, a zwłaszcza liderów Solidarności czy – szerzej – opozycji. Zapewne jednak na tyle cenne były to koncepcje, że rzecznik prasowy rządu, który proponował utworzenie w MSW oddzielnego pionu zajmującego się propagandą (w tym „czarną propagandą", czyli formą propagandy, która ma sprawiać wrażenie, że została stworzona przez tych, których ma zdyskredytować), sugerował szefowi resortu spraw wewnętrznych Czesławowi Kiszczakowi wykorzystanie w nim Mariusza Waltera. Urban sugerował powierzenie mu funkcji „głównego konsultanta, jakiegoś szefa programowania, szefa realizacji programów radiowych i TV – jednym słowem, nie kierownika pionu propagandy, lecz głównej siły koncepcyjno-fachowej". Chwalił go: „Najzdolniejszy w ogóle redaktor telewizyjny w Polsce, organizator i koncepcjonista […]. Wielki talent i wulkan energii. Oczywiście członek PZPR, ale raczej profesjonalista niż polityk". Przy okazji stwierdzał, że Walter odszedł z Telewizji Polskiej – mimo pozytywnej weryfikacji – w wyniku konfliktu z Komisją Zakładową PZPR, „mając dość nękania go". Miało ono, według niego, polegać na tym, że wobec Mariusza Waltera kilkukrotnie wysuwano „fałszywe oskarżenia: o nadużycia finansowe (upadło), o członkostwo w »Solidarności« – zupełnie nieprawdziwe". I – jak informował Kiszczaka – „Jedyne, co mu można było zarzucić, to to, że część jego współpracowników związała się z »Solidarnością«", przy czym od razu dodawał: „Ale w której redakcji tak nie było (u Rakowskiego też)".

Notabene – jak wynika ze słów rzecznika prasowego rządu – dwukrotne w ciągu kilku ostatnich miesięcy ponowne przy-

Weryfikacja w Polskim Radiu i Telewizji Polskiej

Po wprowadzeniu stanu wojennego władze PRL przystąpiły m.in. do weryfikacji, czyli czystek politycznych wielu środowisk, w tym dziennikarskiego (dziennikarzy prasy, radia i telewizji oraz pracowników administracji, wydawnictw, drukarń, kolportażu i techniki Polskiego Radia i Telewizji Polskiej). Przeprowadzono ponad 10 tys. rozmów. W ich wyniku – według oficjalnych danych – negatywnie zweryfikowano ponad 10 proc. środowiska. Z kolei według ustaleń opozycji oprócz zwolnionych w wyniku weryfikacji kolejne 10 proc. objęto innymi represjami, np. przesunięciem na gorsze stanowisko, zdegradowaniem czy wysłaniem na emeryturę. Po 13 grudnia 1981 r. odwołano z funkcji 60 redaktorów naczelnych, 78 ich zastępców oraz 57 sekretarzy redakcji. Zrezygnowano również z wydawania 21 gazet i czasopism (m.in. „Trybuny Mazowieckiej" czy „Gazety Budowlanych"). Zawieszono, a z dniem 20 marca 1982 r. rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich. Zamiast niego utworzono nową, ściśle podporządkowaną Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej organizację – Stowarzyszenie Dziennikarzy PRL.

W Komitecie do spraw Radia i Telewizji, w którego skład wchodziły PR i TVP, weryfikacja rozpoczęła się w pierwszej dekadzie stycznia 1982 r. Odbyła się ona w dwóch etapach – w pierwszym poddano jej dziennikarzy funkcyjnych (naczelnych redaktorów, ich zastępców oraz kierowników poszczególnych redakcji), w drugim zaś (z udziałem pozytywnie wcześniej zweryfikowanych członków kierownictwa) „przeglądowi kadrowemu" podlegali pozostali dziennikarze. W celu jej przeprowadzenia powołano 33 zespoły główne, a także 103 podkomisje, w których pracach uczestniczyło kilkaset – ponad 570 – osób. Niestety, „dziwnym trafem" sporządzony w stanie wojennym wykaz weryfikatorów „zaginął" w nieznanych okolicznościach, podobnie jak zresztą protokoły z większości rozmów weryfikacyjnych…

eprasa.pl a8d4c013d5

jęcie Waltera do TVP miał „polecać" sam I sekretarz KC PZPR i premier Wojciech Jaruzelski. Problem w tym, że „nie przedstawiono jednak Walterowi konkretnej propozycji stanowiska", a ten miał „zwlekać z decyzją powrotu, żądając satysfakcji i pognębienia" swoich wrogów… Były zresztą – przynajmniej według Urbana – plany, aby otrzymał „wysokie stanowisko w TV, jak tam mu się oczyści przedpole". Do tego jednak ostatecznie nie doszło.

W 1983 r. Mariusz Walter został współwłaścicielem ITI (International Trading Investments) zajmującego się w tym czasie wideoprodukcją. Na Woronicza już nie powrócił, mimo że w 1984 r. otrzymał kolejną już propozycję powrotu do pracy w Komitecie do spraw Radia i Telewizji, od ówczesnego przewodniczącego tej instytucji, pułkownika Ludowego Wojska Polskiego Mirosława Wojciechowskiego. Z czasem – dane z końca 1986 r. – zresztą definitywnie wykluczył możliwość pracy w tej instytucji, nawet w przypadku ewentualnej oferty ze strony następcy Wojciechowskiego – Janusza Roszkowskiego. Wynikało to z jego negatywnej oceny nie tylko kierownictwa Telewizji Polskiej, lecz także samej TVP, która jego zdaniem „straciła w tej chwili wpływ na młodzież i inteligencję, m.in. nie zaspokajając oczekiwań telewidzów w dziedzinie rozrywki, preferując w nadmiarze bloki programowe o charakterze informacyjno-publicystycznym". Co ciekawe, gotów był jednak do współpracy z telewizją, „w zakresie produkcji programów rozrywkowych na video".

Jerzy Urban i Mariusz Walter należeli do tych nielicznych przedstawicieli „PRL-owskich elit", którzy potrafili poradzić sobie po transformacji 1989 r. Wręcz poczuli się po niej „jak ryby w wodzie"

ESBECY NIE DOCENIALI

Gdyby to zresztą zależało od Służby Bezpieczeństwa, to przynajmniej – sądząc po przytaczanej już wcześniej notatce biograficznej – nie miałby najmniejszych szans na ponowne zatrudnienie w Telewizji Polskiej. Dlaczego? Otóż funkcjonariusze oprócz wcześniej wymienionych zarzutów stawiali mu również wiele innych. Rozliczali go zwłaszcza za działalność telewizyjną w okresie rządów „Krwawego Maćka", czyli Macieja Szczepańskiego, w Komitecie do spraw Radia i Telewizji. Uważali, że „stał się z miejsca ich [tych rządów] głównym doradcą i wykonawcą »zleceń specjalnych«. Zrealizował m.in. za wysokie honorarium film dokumentalny o byłym I sekretarzu KC PZPR Edwardzie Gierku, który szeroko popularyzował na Zachodzie". I – jak dodawali recenzenci z MSW – „po tym serwilistycznym utworze starał się zdobyć uznanie byłego premiera [Piotra] Jaroszewicza i jego rodziny, w tym m.in. celu zgłosił chęć – natychmiast zaakceptowaną przez M. Szczepańskiego – realizacji filmu o Andrzeju Jaroszewiczu [synu premiera – przyp. G.M.], byłym polskim rajdowcu. Film okazał się nieudolnym kiczem".

Generalnie pod koniec 1986 r. esbecy zdecydowanie nie doceniali umiejętności zawodowych Waltera, a jego okres pracy w Komitecie do spraw Radia i Telewizji podsumowywali: „W okresie wieloletniej pracy w TVP Mariusz Walter wykazał ogromną zapobiegliwość w tworzeniu wokół swojej osoby i kierowanej przez siebie redakcji atmosfery wyjątkowości i szczególnych umiejętności zawodowych". I nie zmieniał tego fakt, że – jak oceniali – „prezentuje przychylny stosunek do naszej służby"… Czas pokazał, że w przypadku Waltera rację miał Urban, a nie esbecy. Zresztą obaj należeli do tych nielicznych przedstawicieli „PRL-owskich elit", którzy potrafili poradzić sobie po transformacji 1989 r., wręcz poczuli się po niej „jak ryby w wodzie". Ale to już temat na oddzielną opowieść…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN.

Weryfikacja – o czym była mowa – miała charakter polityczny, a nie merytoryczny. Polegała ona zazwyczaj na indywidualnych „rozmowach", które miały na celu sondaż stanowiska poszczególnych pracowników wobec Solidarności, stanu wojennego czy modelu środków masowego przekazu. Według opozycji rozmowy te nie miały jednak wpływu na decyzje o losach poszczególnych osób – ważniejsze okazywały się materiały zebrane na temat weryfikowanych przez ich przełożonych czy przez funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa. W niektórych przypadkach (zwłaszcza internowanych) komisje obradowały pod nieobecność zainteresowanych.

Według oficjalnych danych przeprowadzono „rozmowy" z blisko 6250 osobami spośród ogółem 9200 zatrudnionych w PR i TVP na koniec stycznia 1982 r. (w tym niemal 4250 „rozmów" w centrali Komitetu do spraw Radia i Telewizji). W ich wyniku zwolniono 513 osób (w tym 299 w centrali). Większość z nich (272 osoby) to dziennikarze (w tym 160 z Komitetu do spraw Radia i Telewizji), pozostałe zaś były zatrudnione w pionach technicznym i administracji. Ponadto komisje wniosły o odwołanie ze stanowisk kierowniczych lub „dokonanie zmian w aktualnym stosunku pracy" wobec 109 osób i przeprowadzenie ponownych rozmów i ocen w przypadku 134 pracowników (w tym 100 z centrali).

Weryfikowani mieli możliwość odwołania od niekorzystnej dla nich weryfikacji – spośród 214 odwołań od decyzji komisji weryfikacyjnych pozytywnie rozpatrzono prawie co czwartą – łącznie 49. Jak zatem widać, weryfikacja w radiu i telewizji była – przynajmniej przeciętnie – zdecydowanie bardziej łagodna niż ogólnie w mediach. Tyle że to dane przeciętne i zupełnie inaczej wyglądało to w Gdańsku, Szczecinie, Katowicach, Krakowie czy we Wrocławiu, gdzie przeprowadzono największe czystki. ©℗

Grzegorz Majchrzak

eprasa.pl a8d4c013d5

LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Dwie Polski

Już podczas wojny i okupacji w latach 1939–1945 rodziły się dwie Polski. Gdy masowo traciliśmy najlepszych, którzy dawali daninę krwi i oddawali życie, wzrastała potęga sił prosowieckich, organizowanych w konspiracji (ale dopiero od 1942 r., wcześniej Niemcy byli najlepszym sojusznikiem Stalina) – nominalnie antyniemieckich, faktycznie antypolskich. Już wtedy komuniści z PPR i GL-AL szykowali się do objęcia władzy w kadłubowej, zwasalizowanej Polsce. Pracowity był ich wywiad (oznaczony kryptonimem P), skierowany wyłącznie na zbieranie informacji o polskich organizacjach niepodległościowych i ich działaczach. Czasem wyrywali się z szeregu, atakując i mordując nie tylko pojedyncze osoby, lecz także całe grupy. Niektóre zbrodnie były szczególnie drastyczne, dorównujące okrucieństwem temu, co wyprawiała ukraińska UPA, np. w Puziowych Dołach 19 kwietnia 1944 r.

Szykowali się również wcześniej do wystąpienia w powstaniu warszawskim, o którym w podziemiu było wiadomo, że Polskie Państwo Podziemne taką operację przeprowadzi. Instruowali swe szeregi, że będą mieli przed sobą siły „dwóch wrogów – faszystę niemieckiego i polskiego"! Na szczęście okazali się bardzo słabi, ale warto tę intencję zapamiętać. Byli bowiem skłonni wystąpić faktycznie po stronie niemieckich okupantów.

Po tzw. wyzwoleniu komuniści zostali dopuszczeni do władzy przez Sowietów, którym warstwa kompradorska była potrzebna, choćby na pokaz wobec Zachodu, że Polacy sami się rządzą. W istocie i tak rządzili Sowieci, często w „polskich" mundurach, których opinia publiczna celnie zwała „popami", czyli… pełniącymi obowiązki Polakami.

Istotą działania Urzędów Bezpieczeństwa, Informacji Wojskowej, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, sądownictwa i prokuratury wojskowej była jak największa eliminacja wszelkich „wrogów ludu". Po 1945 r. komuniści zabili kilkadziesiąt tysięcy ludzi, których miejsc ich tajemnego grzebania już nigdy nie odnajdziemy. Setki tysięcy wtrącono do więzień, przedtem ci ludzie musieli przejść niewyobrażalne tortury. Tak przetrącono Polakom kręgosłup. Było to tzw. obezhołowienie, czyli oderwanie społeczeństwu głowy.

Gdy po 1989 r. spodziewaliśmy się choćby częściowej dekomunizacji i przykładnego ukarania choćby najgorszych sprawców, nic takiego się nie stało. O przyczynach można wiele mówić, ale taki jest stan faktyczny. Dziś ich drugie i trzecie pokolenie działa z podniesioną głową, korzystając z bezkarności i nagrabionych zasobów swych przodków.

Dwie Polski to ta, za którą walczyli i ginęli niepodległościowcy, oraz ta, która z nimi walczyła i z sowiecką pomocą wygrała. ©℗

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

MFR

Mieczysław Franciszek Rakowski zapisał się w dziejach Polski jako człowiek, który zakończył historię komunizmu nad Wisłą. To właśnie on, na ostatnim zjeździe partii, który rozpoczął się 27 stycznia 1990 r., wypowiedział słynne słowa: „Sztandar PZPR wyprowadzić". W kraju rządził gabinet Tadeusza Mazowieckiego, Balcerowicz wprowadzał swoje reformy, a niedawni komuniści opluwali własną przeszłość. Rakowski zachowywał spokój, prosząc młodszych kolegów partyjnych, aby „nie znęcać się nad PZPR, bo jest to znęcanie się także często nad własnym życiem". Dobrze wiedział, że czołowe role w nowo powstałej SdRP zajmą młodsi politycy: Aleksander Kwaśniewski, Leszek Miller, Józef Oleksy. Natomiast dla niego pozostanie wyłącznie miejsce honorowego emeryta.

Rozwiązanie PZPR miało dla Rakowskiego podwójnie gorzki smak. Kończyła się pewna epoka, w przeszłość odchodziła formacja, której poświęcił własne życie. Z PZPR był związany od jej początku i przez lata powoli się wspinał po szczeblach kariery. Na czele partii stanął w lipcu 1989 r., historia nabrała jednak przyspieszenia i dzieje PZPR miały potrwać zaledwie pół roku. Ostatecznie towarzysz Mieczysław okazał się również najkrócej sprawującym funkcję pierwszym sekretarzem, nawet Stanisław Kania i Edward Ochab pozostawali na stanowisku dłużej niż on.

W Ludowym Wojsku Polskim trafił do szkoły politycznej, realizując aktualne hasło („Nie matura, lecz chęć szczera zrobi z ciebie oficera"). Do PPR wstąpił rok po zakończeniu wojny, a następnie trafił do Wydziału Prasy i Propagandy KC PZPR. Opinie przełożonych jednoznacznie akcentowały jego „partyjną bezkompromisowość" i „słuszne klasowe podejście". Doceniano również „sprężystość, jeśli chodzi o wykonywanie poleceń", co szczególnie warto podkreślić. Były to przecież najczarniejsze lata polskiego stalinizmu…

Rakowski nie ograniczał się wyłącznie do pracy partyjnej. Energicznie uzupełniał wykształcenie na słynnej „czerwonej Sorbonie" (Instytut Kształcenia Kadr Naukowych, późniejsza Wyższa Szkoła Nauk Społecznych przy KC PZPR). Ukończył tam studia historyczne, a następnie zrobił doktorat.

Najważniejszym wydarzeniem w jego karierze było objęcie funkcji redaktora naczelnego „Polityki". Na fali odwilży w 1956 r. został komisarzem partyjnym przy poprzedniku (Stefanie Żółkiewskim), a następnie osobiście objął stanowisko. Pozostał na nim przez ćwierć wieku, a dla „Polityki" nadeszła era MFR. Tak bowiem jej szef uwielbiał się podpisywać, czytelnie nawiązując do zachodnich wzorców. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Śmigiel, miasto wiatraków i arian

JACEK KOMUDA

Położony ok. 50 km na południe od Poznania Śmigiel historię ma niezwykłą. Ufundowany został w średniowieczu na gruntach wsi Koszanowo i dopiero od początku XV w. nazywany był Śmiglem, Szmiglem lub z niemiecka Schmiegelem. Nazwa wywodzi się zapewne od śmigieł wiatraka, jako że miasteczko położone było na wzgórzu, co stwarzało dobre warunki do rozwoju młynarstwa. Dziś zwany jest „miastem wiatraków", a – jak podaje „Słownik geograficzny Królestwa Polskiego" – ok. 1890 r. było ich jeszcze 48. Śmigiel kilkukrotnie uzyskiwał nadania praw miejskich – m.in. w 1415 r., kiedy Ramszel von Oppeln nadał mu prawo magdeburskie, które potwierdził później król Kazimierz Jagiellończyk. W XVI w. miasto stało się jednym z ośrodków reformacji, znanym przede wszystkim z działalności arian polskich, którym przewodził Eliasz Arciszewski ze znanego rodu szlacheckiego. Około 1590 r. kupił on miasteczko i rozbudował istniejący tutaj zbór oraz założył szkołę. Nowy dziedzic zamierzał stworzyć ośrodek myśli ariańskiej na wzór małopolskiego Rakowa i nie żałował pieniędzy ani na edukację, ani na zwoływanie synodów. Sam zresztą był przez wiele lat ministrem w miejscowym zborze. Arciszewski organizował w Śmiglu częste dysputy religijne, nie tylko z jezuitami z Poznania, lecz także z luteranami. Jego działalność pochłaniała jednak ogromne sumy pieniędzy, których nie mogły zrównoważyć wpływy z miasteczka ani innych włości. Zawzięty arianin zadłużył się zatem u niejakiego Jaruzela Kacpra Brzeźnickiego, sprytnego palestranta przy trybunale w Piotrkowie. Arciszewski brał od niego pożyczki, które obciążały dobra. Wkrótce sprzedał Brzeźnickiemu połowę miasteczka, drugą zaś po przegranym procesie w trybunale musiał oddać tytułem nieuregulowanych należności. Wywołało to wściekłość rodziny, a zwłaszcza dwóch synów Eliasza – Krzysztofa i Eliasza młodszego, z których pierwszy został później podróżnikiem i naukowcem, starszym nad armatą koronną; zasłużył się w wojnach z Kozakami i Tatarami.

RYS. MART

Brzeźnicki nie był szlachcicem, pochodził z mieszczan, jednak występując jako patron, zebrał znaczny majątek, miał też wielu bogatych znajomych. Walerian Nekanda-Trepka opisuje go w „Liber Generationis Plebeanorum" tak: „Brzeziński nazywał się Kasperek, z Brzeźnice miejski synek. Ten był podpiskiem w Piotrkowie, zaś prokuracją w trybunałach bawił się. Kupił był dworek na Długiej ulicy w Piotrkowie i kamienicę na Rybnej ulicy w Lublinie, potem wioskę w sieradzkiej ziemi".

Utrata Śmigla doprowadziła do tragedii, bracia Arciszewscy bowiem postanowili zemścić się na Brzeźnickim i siłą zmusić go do oddania ich ojcu zastawionych majętności. Urządzili zatem w 1623 r. zasadzkę w Poninie pod Kościanem, napadli na palestranta, wyciągnęli go z bryki, po czym usiłowali siłą zmusić do ustąpienia ze Śmigla, to jest zapewne podpisania stosownych dokumentów. Niespodziewanie Brzeźnicki okazał się niezwykle odważny i uparty, odmawiając zwrotu miasteczka ojcu Arciszewskich. Zapłacił za to głową, porąbany, skłuty dzidą i zastrzelony przez Krzysztofa, który dodatkowo wyciął mu język i przybił go do szubienicy.

Za to okrutne morderstwo bracia skazani zostali na banicję i infamię, ponadto, ponieważ zabity także był arianinem, wykluczeni ze zboru braci polskich. Krzysztof udał się pod protekcję hetmana Krzysztofa Radziwiłła, a potem na długoletnią emigrację do Holandii. Jego przygody to już inna historia. Eliasz młodszy wrócił do Polski, gdzie w końcu zawarł ugodę z żoną Brzeźnickiego Ewą z Reklewskich, katoliczką. Ostatecznie przejęła ona całkowicie Śmigiel, ale jednocześnie doprowadziła do zamknięcia zboru ariańskiego w mieście. Szkołę ariańską zlikwidowano ostatecznie w 1637 r. Pod miastem istniał kiedyś cmentarz ariański, położony na wprost dawnego ewangelickiego; być może położony był w okolicach dzisiejszego parkingu przy ulicy Kościańskiej. Jak podaje „Słownik…", znajdowała się tutaj także sadzawka do chrztu – być może pozostałością po niej jest staw przy parku miejskim. Dziś niedaleko obejrzeć można zrekonstruowane dwa wiatraki koźlaki przypominające o dawnych losach Śmigla.

Inną ciekawostką jest to, że w okolicy miasteczka już pod koniec XVII w. wykopywano z ziemi pamiątki po Słowianach – popielnice. Pierwsze takie znaleziska, rozkopywane rabunkowo, bo nie istniały jeszcze archeologia i naukowe metody pracy, opisano w 1679 r., w dziele Jakuba a Mellen „Historia urnae sepulcralis Sarmaticae". Kolejne cmentarzysko znaleziono i rozkopano w 1719 r., szukając skarbów. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

Przyszły kanclerz Niemiec?

Cezary Gmyz

W 1979 r. grupa młodych chrześcijańskich demokratów w czasie podróży studyjnej do Wenezueli zorganizowanej przez Fundację Konrada Adenauera, obficie racząc się whisky, miała podpisać żartobliwy dokument, tytułując go „Pakt Andyjski". Dziś jeden z jego domniemanych sygnatariuszy ma szansę, by już w lutym zostać najpotężniejszym człowiekiem nie tylko w Republice Federalnej, lecz także w całej Europie. Friedrich Merz. Najprawdopodobniej przyszły kanclerz Niemiec

FOT. MICHAEL SOHN/AFP/EAST NEWS

Pakt Andyjski" wziął nazwę od pasma górskiego, nad którym przelatywali uczestnicy wycieczki. Lista jego członków jest tajna, a niektórzy twierdzą, że wręcz nie istnieje. Inni uważają, że w skład grupy wchodzą wyłącznie katolicy i wyłącznie mężczyźni pochodzący z Niemiec Zachodnich. Zobowiązali się oni wspierać wzajemnie i nigdy nie konkurować ze sobą, ubiegając się o funkcje publiczne. Merza na pokładzie samolotu lecącego nad Andami nie było. Do grupy miał zostać przyjęty w 2005 r. Już wtedy upatrywano w nim lidera oporu przeciw Angeli Merkel, córce protestanckiego pastora z NRD. Wówczas przegrał starcie z Merkel, która w bardzo brutalny sposób wypchnęła go z czynnej polityki na kilkanaście lat. Ostatecznie jednak powrócił, pokonując – choć nie od razu – wszystkich, w których Merkel upatrywała swoich następców.

DŁUGA WOJNA Z MERKEL

Merz wywodzi się z rodziny mieszanej wyznaniowo. Urodził się w 1955 r. Sam – po matce – jest katolikiem. Jego ojciec pochodził z ówczesnego Breslau, czyli z Wrocławia. Matka wywodzi się z rodziny osiadłej w Nadrenii. Jej ojciec, a dziadek Friedricha, Josef Paul Sauvigny, był politykiem katolickiej Partii Centrum. Jednak po objęciu władzy przez Hitlera włożył brunatną koszulę, wstępując do Sturmabteilung (SA), gdzie otrzymał stopień Oberscharführera, będącego odpowiednikiem kaprala w Wehrmachcie.

Obecny szef CDU do polityki wszedł bardzo wcześnie. Jeszcze przed maturą zapisał się do Junge Union, która jest młodzieżówką chadecji. Po maturze wstąpił do Bundeswehry, kontynuując tradycję swojego ojca, który był zawodowym żołnierzem. Jednak w czasie służby nabawił się kontuzji kolana, co stanęło na przeszkodzie w ukończeniu kursu oficerów rezerwy. Dosłużył się stopnia chorążego. Po opuszczeniu szeregów armii zaczął studiować prawo w Bonn.

Na studiach wstąpił do katolickiej korporacji Bawaria. Warto się zatrzymać nad tym, jaką rolę odgrywały wówczas w Niemczech korporacje studenckie. Od 1968 r. przez świat, a także przez Niemcy przetaczała się fala buntów studenckich. Zaowocowało to powstaniem skrajnej lewicy. Uniwersytety stawały się coraz bardziej czerwone. Korporanci na tym tle wyraźnie się wyróżniali. Hołdowali wartościom konserwatywnym i kultywowali tradycje i obrzędy pochodzące jeszcze z czasów Cesarstwa Niemieckiego. To sprawia, że w oczach skrajnej lewicy uchodzą za nieledwie forpocztę nazizmu. Choć do korporacji studenckich należy dziś tylko jeden procent niemieckich studentów, to stanowią oni bardzo wpływową, wspierającą się grupę osób w niemieckiej polityce, a zwłaszcza w chadecji.

Friedrich Merz skończył prawo, a następnie aplikację sądową, lecz po krótkim okresie orzekania nie zdecydował się na karierę sędziowską. Podjął pracę jako rzecznik patentowy w Związku Przemysłu Chemicznego. Jednak jego prawdziwą pasją była polityka.

eprasa.pl a8d4c013d5

W 1989 r. po raz pierwszy wystartował w wyborach do europarlamentu i zdobył mandat. Może od razu wytłumaczymy, że w Niemczech w odróżnieniu od Polski zasiadanie w europarlamencie nie jest przedmiotem pożądania polityków chcących zmieniać rzeczywistość. Po skończeniu kadencji Merz postanowił ubiegać się o mandat bezpośredni w wyborach do Bundestagu. Osiągnął oszałamiający sukces, zdobywając prawie 60 proc. głosów w swoim okręgu. W kolejnych wyborach było podobnie, w wyniku czego Merz był członkiem Bundestagu do 2009 r., kiedy to z polityki wypchnęła go Angela Merkel.

Ale po kolei. Wróćmy do czasów wcześniejszych. W 1998 r. zostaje zastępcą szefa chadeckiej frakcji w Bundestagu, a w 2000 r. zastępuje nestora niemieckiej polityki Wolfganga Schäublego na stanowisku szefa frakcji. To szczyt jego politycznej kariery, bo równocześnie uzyskuje funkcję Oppositionsfühera, czyli lidera opozycji. Wydaje się, że marzenia o sięgnięciu po funkcję szefa całej partii, a w konsekwencji kanclerza po ewentualnych wygranych wyborach wydają się na wyciągnięcie ręki. Jednak pozycja konserwatystów w CDU, utożsamianych z Helmutem Kohlem, słabnie. W 1999 r. wybucha afera tajnych kont, na które zbierano darowizny od anonimowych darczyńców. Nóż w plecy Kohlowi wbija jego protegowana, odcinając się od swojego politycznego mentora na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" tuż przed Bożym Narodzeniem 1999 r. Do dziś z tego powodu Merkel w konserwatywnych kręgach swojej partii jest nazywana ojcobójczynią.

Ze stanowiska szefa CDU odchodzi również Wolfgang Schäuble. W praktyce partią jako sekretarz generalna zaczyna rządzić Merkel. Merz z grupą konserwatystów usiłuje przeciwdziałać wyborowi Merkel na stanowisko szefowej CDU. Bezskutecznie. Przygniatającą przewagą 10 kwietnia 2000 r. Merkel zostaje wybrana na przewodniczącą niemieckiej chadecji. Nie jest jednak dość silna i musi się układać ze swoimi wewnątrzpartyjnymi oponentami. Merz zachowuje stanowisko szefa frakcji parlamentarnej, a w lutym 2001 r. zgłasza swoją chęć występowania jako Kanzlerkandidat, czyli kandydat na kanclerza, w wyborach zaplanowanych na rok 2002. Merkel wciąż nie jest pewna swojej pozycji i dlatego koniunkturalnie wspiera szefa siostrzanej CSU Edmunda Stoibera jako kandydata na kanclerza.

Chadecja jednak przegrywa (nieznacznie) wybory z koalicją SPD Gerharda Schrödera i Zielonych Joschki Fischera. Merkel zaczyna systematycznie, choć nieostentacyjnie zwalczać Merza, domagając się dla siebie fotela szefowej frakcji, który zajmuje jej przeciwnik. W sukurs idzie jej Stoiber, który odwdzięcza się Merkel za wsparcie jego kandydatury na kanclerza. Merz musi się zadowolić funkcją zastępcy Merkel w klubie. Ta jednak nie próżnuje i łącząc funkcję szefowej partii i frakcji, sukcesywnie wycina zwolenników Merza. Pełnię władzy osiąga po upadku rządu Schrödera po przedterminowych wyborach w 2005 r. Merz co prawda ponownie bez problemu zdobywa mandat, ale jest bez pardonu przez Merkel wycinany.

W rezultacie zniechęcony Merz – choć w swoim okręgu nadal cieszy się niesłabnącym poparciem – ogłasza, że w kolejnych wyborach przypadających na 2009 r. nie wystartuje. Wszystko wówczas wskazuje na to, że nazwisko Merz to zgrana karta i na zawsze wypadło z polityki. Merkel okaże się najdłużej sprawującym swój urząd kanclerzem w historii Niemiec. Sam Merz na długie lata znika z pola widzenia. W tym czasie pracuje z powodzeniem jako renomowany prawnik, obsługując duże niemieckie firmy, by wymieniać tylko takie potęgi jak BASF, Comerzbank czy Borussię Dortmund. Jego zarobki sięgają milionów euro rocznie.

Znajduje też czas na aktywność społeczną, z której warto odnotować jego działania na kierunku transatlantyckim jako członka Niemiecko-Amerykańskiego Stowarzyszenia Prawników oraz Atlantic Brigde. To pozwoliło mu nawiązać bardzo dobre kontakty z amerykańskim establishmentem związanym z republikanami.

eprasa.pl a8d4c013d5

Po cichu kontynuuje też kontakty z przyczajonymi członkami „Paktu Andyjskiego", którzy nie znoszą Merkel.

Powraca niespodziewanie po prawie dekadzie spędzonej poza instytucjonalną polityką. Rządy Merkel dobiegają końca. Sama kanclerz na swoją następczynię na fotel przewodniczącej wskazuje swoją polityczną przyjaciółkę Annegret Kramp-Karrenbauer. Na konwencji wyborczej w 2018 r. Merz zdobywa w finale 48,25 proc. głosów. Za mało, by wygrać z faworytką Merkel. Jednak jego wynik pokazuje, że w partii pojawiła się realna opozycja wobec żelaznej kanclerz. Kramp-Karrenbauer nie jest jednak politycznym talentem na miarę Merkel, nie ma też jej twardości. Z szefowania partią rezygnuje po dwóch latach. Merz wygrywa wtedy pierwszą turę wyborów. Jednak w drugiej ulega Arminowi Laschetowi, który podobnie jak jego poprzedniczka nie doczeka pełnej kadencji na fotelu przewodniczącego partii.

Dopiero przegrana CDU w wyborach w 2021 r. i odejście Angeli Merkel z funkcji kanclerza otwierają przed Merzem historyczną szansę. Merkel wspiera swojego przybocznego Helge Brauna. Jednak w finale Merz zdobywa prawie 95 proc. głosów, co definitywnie oznacza koniec epoki Merkel. Wreszcie osiąga swój cel i niebawem zostaje ogłoszony chadeckim kandydatem na kanclerza w przedterminowych wyborach, które mają się odbyć 23 lutego br.

MERZ A POLSKA

Czego można się spodziewać po Merzu jako kanclerzu? Niewątpliwie jest on gospodarczym liberałem i przeciwnikiem rozbudowanej biurokracji. Już w 2003 r. wywołał poruszenie, przedstawiając swój program podatkowy i stwierdzając, że zamiast wielostronicowego kwestionariusza podatkowego każdy Niemiec powinien móc obliczyć swój podatek na… tekturowej podstawce do piwa. Zaprezentował zresztą taką podstawkę z wyliczeniem jako gadżet wyborczy.

Mateusz Morawiecki, który choć wywodzi się z innego obozu politycznego niż Merz, wysoko go ocenia właśnie jako gospodarczego liberała. Miał okazję podejmować go kolacją w Warszawie w 2022 r. i odbyć z nim długą rozmowę. Są ze sobą też w kontakcie telefonicznym. – On ma racjonalne podejście do wielu rzeczy i widać, że rozumie świat biznesu, świat korporacji, świat gospodarki, finansów. To jest człowiek, z którym dobrze mi się rozmawiało o tematach takich, gdzie ciężko w świecie polityki znaleźć odpowiednich interlokutorów. Może dlatego, że tak jak ja długo funkcjonował w biznesie – mówi Morawiecki.

Dodaje, że ceni sobie zapowiedzi Merza o deregulacji i obniżce podatków. – Merz ogłosił, że będzie chciał dokonać obniżek podatków o wartości 99 mld euro. Pamiętam, jak ostro mówił o biurokracji brukselskiej, skrytykował komisję, skrytykował von der Leyen, koleżankę z partii bądź co bądź, i powiedział, że jeśli wyborcy mu zaufają i wygra wybory, to przystąpi do największej deregulacji i debiurokratyzacji w historii Niemiec. I tutaj też szukałbym wspólnych mianowników między mną, między nami, a nim – mówi były polski premier. Morawiecki przypomina sobie też, że Merz krytykował Scholza za jego ociąganie się w kwestii tworzenia tzw. koalicji czołgowej, którą Polska budowała, by wspomóc Ukrainę.

Niewątpliwie pewnego rodzaju problemem dla przyszłego kanclerza będą stosunki z nową administracją USA

Szymon Szynkowski vel Sęk, były wiceminister spraw zagranicznych, miał okazję towarzyszyć Jarosławowi Kaczyńskiemu podczas jego spotkania z Merzem. – Deklaratywnie on jest otwarty, natomiast pytanie oczywiście, na ile te deklaracje są w stanie się wypełnić w przyszłości. Ja jestem bardzo ostrożny w odniesieniu do niemieckich polityków, jak oni później realizują i wypełniają swoje deklaracje. Więc te deklaracje, że tak powiem w formie werbalnej, one są otwarte. Mówił, że uważa, że Polska powinna być współdecydentem unijnym wraz z Niemcami. Natomiast ta deklaracja musi być wypełniona realną treścią, a z tym w przeszłości u polityków niemieckich bywało bardzo różnie – mówi były polski wiceminister.

Merz może być bliski polskiej prawicy w kwestiach światopoglądowych, gdyż jest zdecydowanie bardziej konserwatywny niż Angela Merkel. Opowiadał się przeciw dalszej liberalizacji aborcji w Niemczech. Uchodzi też za osobę krytyczną wobec ideologii LGBT. Pytany kiedyś o orientację seksualną Klausa Wowereita, ówczesnego burmistrza Berlina otwarcie deklarującego się jako gej, odburknął: – Tak długo, jak się do mnie nie zbliża, nie obchodzi mnie to.

Podobnie jak Merkel odrzuca współpracę z AfD. Jednak jego deklaracje, że doprowadzi do utraty połowy poparcia przez AfD, się nie spełniły. Wprawdzie Merz przyjął część antyimigracyjnych haseł Alternatywny dla Niemiec, jednak nie przyniosło to zapowiedzianego spadku poparcia dla tej partii. Wręcz przeciwnie – AfD notuje dziś dwukrotnie wyższe poparcie w sondażach, niż zdobyła w ostatnich wyborach. Wszystko wskazuje na to, że po chadecji będzie to druga pod względem liczebności frakcja w niemieckim Bundestagu. Sama AfD wzywa Merza do utworzenia koalicji partii mieszczańskich na wzór tej, która właśnie formuje się w Austrii.

DUŻY ZNAK ZAPYTANIA

Niewątpliwie pewnego rodzaju problemem będą stosunki z nową amerykańską administracją. Merz unikał krytykowania Trumpa, a w 2020 r. wręcz stwierdził: „Dobrze byśmy się z nim dogadywali". Na ostrzejsze wypowiedzi pozwolił sobie dopiero po szturmie na Kapitol. Jednak od razu trzeba stwierdzić, że na tle ziejącej nienawiścią do Trumpa niemieckiej klasy politycznej jego wypowiedzi są niezwykle stonowane. Nie bez znaczenia są jego doskonałe kontakty z amerykańskimi republikanami oraz to, że doskonale rozumie język biznesu i politykę transakcyjną.

Otwartym pytaniem o politykę Merza pozostaje kwestia, z kim będzie rządzić. A tego przy dzisiejszych sondażach nikt nie jest w stanie przewidzieć. Sam Merz najchętniej współpracowałby z liberałami z FDP. Ale nie jest pewne, czy oni przekroczą próg wyborczy. Innymi słowy – zmiana warty w Urzędzie Kanclerza Federalnego wcale nie oznacza, że Niemcy nawet pod twardym przywództwem Merza szybko wyjdą z kryzysu politycznego i gospodarczego.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. ADOBE STOCK

SŁOŃ NA JARMARKU

Chwile grozy przeżyli mieszkańcy tajlandzkiego miasta Phitsanulok. Odbywał się tam jarmark, na którym zjawił się słoń. Zwierzę spłoszyły fajerwerki i w przerażeniu zaczęło ono tratować wesołe miasteczko. Pięć osób zostało rannych. Jak się okazało, słoń został sprowadzony na jarmark nielegalnie. Ktoś chciał pokazywać zwierzę i na tym zarobić.

KOLCZYK W NOSIE

Dramatyczne chwile przeżyła pewna Indonezyjka. Otóż kolczyk, który nosi w nosie, utknął jej... w siatkowanym oparciu krzesła biurowego. Współpracownicy kobiety, którzy byli na miejscu, starali się jej pomóc – próbowali kolczyk z siatki wyciągnąć. Jednak nie dali rady. W końcu wezwano straż pożarną, która kobietę z opresji uwolniła. Tyle że musiała ją wraz z krzesłem przetransportować do swojej siedziby, gdzie były odpowiednie narzędzia do dokończenia akcji.

WIRTUALNY PARTNER

Co zrobić, gdy nie można znaleźć odpowiedniej osoby, z którą stworzyłoby się związek? Odpowiedzi na to pytanie udzieliła 36-latka z Londynu. Wyznała, że „tradycyjne" związki z mężczyznami u niej nie działają. Postanowiła więc użyć sztucznej inteligencji i zaprogramować dla siebie idealnego, choć wirtualnego partnera. Mimo że nie będzie miała z nim kontaktu fizycznego, to – jak twierdzi – wystarczy jej satysfakcja emocjonalna.

FAŁSZYWY AKTOR

Sztuczna inteligencja w relacjach damsko-męskich może być też – jak powszechnie wiadomo – narzędziem przestępstwa. Ktoś przy jej pomocy podszył się pod Brada Pitta i zaczął wirtualnie uwodzić pewną kobietę. Ta zaś uwierzyła w to, że ma do czynienia ze słynnym aktorem, i człowiekowi po przeciwnej stronie łącza zaufała. Gdy więc do niej napisał, że choruje na raka, i poprosił ją o 700 tys. funtów na leczenie, kwotę tę mu przelała. Potem się zorientowała, że została oszukana, ale było już za późno.

WYMAGAJĄCY SZEF

W brazylijskim mieście Sinop doszło do awantury między mężem pracownicy supermarketu a jej szefem. Ten pierwszy udał się do miejsca pracy swojej żony, gdzie uderzył tego drugiego łopatą, którą wcześniej wziął z działu ogrodniczego w sklepie. Jak się okazało, zrobił to, bo jego żona skarżyła się mu na szefa, że ten za dużo od niej wymaga i odmawia jej urlopu. Choć cios zadany był w okolice głowy, to zaatakowany mężczyzna przeżył. Ochronił go telefon, przez który akurat w momencie uderzenia rozmawiał. ©℗ ***Filip Memches***

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Polacy coraz bogatsi

Polacy od trzech dekad szybko się bogacą. Wiele raportów pokazuje, że zwłaszcza w XXI w. błyskawicznie rosły nie tylko dochody i siła nabywcza, lecz także wartość majątku zarówno warszawiaków, jak i mieszkańców innych części kraju.

Autorzy najnowszego raportu Międzynarodowego Funduszu Walutowego zwracają uwagę, że w ciągu dwóch dekad polska gospodarka się podwoiła, realny PKB na mieszkańca w tym okresie wzrósł z nieco poniżej 50 proc. średniej UE-27 do 80 proc., a tempo doganiania innych krajów UE było jednym z najszybszych w historii dla gospodarki takiej wielkości. Bank Światowy sklasyfikował więc już Polskę jako kraj o wysokim dochodzie.

Kolejne raporty pokazują zaś, że Polacy coraz aktywniej podchodzą do lokowania swoich oszczędności. Z opublikowanego w połowie stycznia podsumowania trendów inwestycyjnych międzynarodowego fintechu Revolut wynika, że liczba aktywnie inwestujących klientów tej globalnej aplikacji finansowej w Polsce wzrosła w 2024 r. aż o 153 proc. (rok do roku). Średnia wartość aktywów na koncie inwestycyjnym Revolut w Polsce osiągnęła zaś 11 764 zł, czyli więcej niż np. we Włoszech. Akcje Polaków składały się średnio w 78 proc. z akcji spółek z USA i UE, w 21 proc. z funduszy ETF i w 1 proc. z obligacji (głównie amerykańskich, unijnych i polskich).

Ten trend nie dotyczy tylko klientów fintechu. W 2024 r. Polacy zainwestowali w fundusze inwestycyjne aż 42 mld zł (to rekord!). Aktywa krajowych towarzystw funduszy osiągnęły zaś łącznie wartość 379,5 mld zł, czyli najwyższą w historii. Bogaćmy się nadal! ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

Zwrot w relacjach USA z Wielką Brytanią?

Mariusz Jagóra

Wydaje się, że Trump podchodzi bardzo poważnie do ingerencji Partii Pracy w wybory w USA, traktując ją jako zagrożenie zarówno dla suwerenności Stanów Zjednoczonych, jak i stosunków międzynarodowych. „Specjalne stosunki" między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią, których fundamentem są relacje gospodarcze, wiszą na włosku

Keir Starmer, premier Wielkiej Brytanii, lider brytyjskiej Partii Pracy

FOT. JOHN MACDOUGALL/GETTY IMAGES

Czy Donald Trump idzie na zwarcie z premierem Wielkiej Brytanii, Keirem Starmerem? Obaj politycy mieli okazję spotkać się osobiście we wrześniu zeszłego roku w Nowym Jorku podczas dwugodzinnej kolacji. Rozmawiali także ze sobą telefonicznie w grudniu, w związku z doniesieniami o planowanej wizycie Starmera w Białym Domu, która miała się odbyć w lutym, tuż po inauguracji prezydenta elekta. Czy do takiej wizyty dojdzie?

Podczas gdy Donald Trump wrócił do Białego Domu, pojawiają się głosy, że przygotowuje zdecydowaną odpowiedź w związku z ingerencją w wybory prezydenckie w USA w 2024 r. ze strony lidera brytyjskiej Partii Pracy i obecnego premiera Wielkiej Brytanii, Keira Starmera. Trump traktuje tę ingerencję jako zdradę, która może stanowić punkt zwrotny w stosunkach USA z Wielką Brytanią, prowadzący do zerwania tzw. specjalnych relacji między Stanami Zjednoczonymi a Zjednoczonym Królestwem.

Trump postanowił zaprosić na swoją drugą inaugurację niektóre głowy obcych państw, co jest rzadkością. Do tej pory tylko dwukrotnie zdarzało się, że przywódcy obcych państw uczestniczyli w inauguracji prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych – w 2005 r. prezydent Meksyku, Vicente Fox, uczestniczył w drugiej inauguracji George'a W. Busha, a w 2009 r. premier Kanady, Stephen Harper, uczestniczył w pierwszej inauguracji Baracka Obamy. Tym razem zaproszono aż 12 liderów światowych, co sztab Trumpa tłumaczy chęcią „nawiązania dialogu z przywódcami krajów, które są nie tylko sojusznikami, lecz także naszymi przeciwnikami i konkurentami". Jednak Keir Starmer, premier państwa, które do tej pory łączyły tradycyjne „specjalne relacje" ze światowym mocarstwem, nie został zaproszony na inaugurację, co powszechnie jest uznawane za rzecz dosyć niezwykłą.

BRYTYJSKA INGERENCJA W AMERYKAŃSKĄ DEMOKRACJĘ

Jeszcze w październiku 2024 r. komitet wyborczy Donald J. Trump for President 2024, Inc. złożył skargę do Federalnej Komisji Wyborczej przeciwko brytyjskiej Partii Pracy oraz komitetowi wyborczemu wiceprezydent Kamali Harris za dokonywanie i przyjmowanie nielegalnych wpłat od podmiotów zagranicznych.

eprasa.pl a8d4c013d5

Brytyjska Partia Pracy, pod kierownictwem Keira Starmera, przeprowadziła operację mającą na celu ingerencję w wybory prezydenckie w USA w 2024 r., wysyłając swoich agentów do amerykańskich swing states (stanów wahających się), aby przeszkodzić w reelekcji Donalda Trumpa, lobbując na rzecz Kamali Harris.

Plan opracowała szefowa operacyjna Partii Pracy, Sofia Patel, która – wykorzystując LinkedIn do rekrutacji obecnych i byłych pracowników partii – zebrała zespół ponad 100 agentów, którzy infiltrowali swing states w USA, w tym Georgię, Pensylwanię i Karolinę Północną, pracując w biurach komitetów wyborczych Kamali Harris. Patel utrzymywała, że agenci byli wolontariuszami na wakacjach, raporty ujawniają jednak, że Partia Pracy i komitet wyborczy Kamali Harris zapewnili im rozległe wsparcie materialne, od zakwaterowania do posiłków, co w świetle amerykańskiego prawa stanowi zabroniony wkład zagraniczny. Brytyjski „The Telegraph" informował, że Sofia Patel w e-mailach wysyłanych do pracowników Partii Pracy 2 sierpnia 2024 r. zachęcała aktywistów do podróży do USA, aby „pomóc naszym przyjaciołom po drugiej stronie oceanu wybrać ich pierwszą kobietę prezydenta i pokazać jankesom, jak się wygrywa wybory".

NARUSZENIE PRZEPISÓW FEDERALNYCH I STANOWYCH

Ingerencja Partii Pracy naruszyła liczne ustawy federalne i stanowe mające na celu ochronę amerykańskich wyborów przed zagranicznymi wpływami. W świetle amerykańskiego prawa cudzoziemcom zabrania się „bezpośredniego lub pośredniego dokonywania wpłat lub darowizn pieniężnych lub innych wartościowych rzeczy, lub składania wyraźnej lub dorozumianej obietnicy dokonania wpłaty lub darowizny w związku z wyborami federalnymi, stanowymi lub lokalnymi lub niezależnych wydatków na rzecz osoby startującej w wyborach". Kandydaci na urząd nie mogą zabiegać o datki i darowizny, przyjmować ich otrzymywać. Przepis ten dotyczy zarówno osób fizycznych, które nie są obywatelami lub legalnymi stałymi rezydentami Stanów Zjednoczonych, jak i zagranicznych partii politycznych.

Uchwalona w 1938 r. FARA, czyli Ustawa o Rejestracji Agentów Zagranicznych, wymaga od podmiotów zagranicznych, zaangażowanych w działania polityczne lub inne określone w ustawie, aby zarejestrowali się w Departamencie Sprawiedliwości (DOJ) i ujawnili swoje relacje, działania oraz finanse. Patel i jej agenci nie zastosowali się do tego wymogu, co stanowi rażące naruszenie ustawy FARA.

Naruszono także przepisy imigracyjne, ponieważ działacze Labour Party wjechali do USA w celach turystycznych lub biznesowych, w ramach Programu Ruchu Bezwizowego na zasadach ESTA (elektroniczny system autoryzacji podróży), co wyklucza prowadzenie kampanii politycznych.

Ingerencja Partii Pracy narusza również przepisy stanowe. W Georgii, Karolinie Północnej czy Pensylwanii prawo stanowe zabrania obcokrajowcom wpływania na wybory i wymaga rejestracji agentów reprezentujących zagraniczne interesy.

MOŻLIWE IMPLIKACJE

Wydaje się, że Trump podchodzi do ingerencji Partii Pracy w wybory poważnie, traktując ją jako zagrożenie zarówno dla suwerenności Stanów Zjednoczonych, jak i stosunków międzynarodowych. „Specjalne stosunki" między Stanami Zjednoczonymi a Wielką Brytanią, których fundamentem są relacje gospodarcze, wiszą na włosku. W 2022 r. USA były głównym odbiorcą brytyjskich towarów i usług – wartość eksportu towarów wyniosła 56,7 mld funtów, co stanowiło 13,7 proc. całkowitego eksportu Wielkiej Brytanii, a eksport usług osiągnął 111,6 mld funtów, czyli 27,8 proc. całkowitego eksportu usług.

Jeśli administracja prezydenta Trumpa rozważa nałożenie sankcji gospodarczych i kar dyplomatycznych w celu pociągnięcia Starmera do odpowiedzialności, to takie środki posłużyłyby jako ostrzeżenie dla innych krajów rozważających podobną ingerencję. Agresywne kontruderzenie ustanowiłoby globalny precedens, pokazując, że Stany Zjednoczone będą stosowały politykę zerowej tolerancji wobec ingerencji w wybory. Byłby to sygnał, że nawet sojusznicy poniosą surowe konsekwencje za podważanie amerykańskiej demokracji.

Równolegle podjęte działania dyplomatyczne, domagające się oficjalnych przeprosin ze strony rządu Wielkiej Brytanii, mogą doprowadzić do wszczęcia w Wielkiej Brytanii dochodzenia dotyczącego niewłaściwego wykorzystania zasobów partii dla tajnej operacji za granicą, co podważy wiarygodność Starmera, zagrażając jego przywództwu i narażając Partię Pracy na reperkusje polityczne i prawne.

Daje się zaobserwować pierwsze oznaki nadchodzącego napięcia w stosunkach bilateralnych. Elon Musk, który staje się jednym z głównych współpracowników Trumpa, ostro zaatakował na swoim portalu X premiera Starmera, krytykując jego zdolności przywódcze oraz potępiając tuszowanie działalności pakistańskich gangów zajmujących się wykorzystywaniem seksualnym dzieci. Zaapelował nawet do króla o rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów po tym, jak Partia Pracy odrzuciła wniosek o przeprowadzenie krajowego dochodzenia w sprawie wykorzystywania dzieci. Tweety Muska pokazały potęgę X równą lub większą niż siła mediów tradycyjnych, sprawiając, że brytyjski establishment w ciągu jednego wieczoru bardziej zainteresował się postawieniem gangów gwałcicieli przed wymiarem sprawiedliwości, niż to miało miejsce przez dziesięciolecia.

To, że Trump podchodzi poważnie do stawianych obietnic, pokazał dzień inauguracji, kiedy to prezydent podpisał mnóstwo zarządzeń wykonawczych, memorandów i proklamacji, m.in. wycofując USA z WHO i paryskich porozumień klimatycznych. Czy ingerencja w wybory, postrzegana przez Trumpa jako „zdrada Wielkiej Brytanii", wraz z jego polityką, polegającą na ponownej ocenie międzynarodowych zobowiązań z perspektywy „America First", może doprowadzić do strategicznej reewaluacji relacji USA – Wielka Brytania? Z pewnością może oznaczać mniejsze wsparcie dla stanowiska Wielkiej Brytanii na forach międzynarodowych lub bardziej transakcyjne podejście do współpracy wywiadowczej i wojskowej.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

FOT. DMITRI LOVETSKY/AP/EAST NEWS

Dlaczego Rosjanie popierają Putina

Maciej Pieczyński

Cokolwiek władca by zrobił, poddani będą stać za nim murem. Zakorzeniony w ich mentalności konformizm każe bowiem popierać porządek, a nie chaos. Czyli władzę, a nie opozycję. Rosjanie mają dostęp do zachodniej narracji, ale i tak świadomie wybierają putinowski zamordyzm i militaryzm. Tak jest wygodniej

Kilka tygodni temu Maria Sniegowaja, ekspertka do spraw Rosji i Eurazji, opublikowała dla amerykańskiego think tanku Atlantic Council raport pt. „Niechętny konsensus: wojna i opinia publiczna w Rosji". Na podstawie raportu można wysnuć następujący wniosek: Rosjanie skłonni są wspierać pełniącego władzę i praktycznie wszelkie decyzje tejże władzy. Popierali zresztą co do zasady wszystkie wojny rozpętane przez Putina. Nawet jeśli idee opozycyjne funkcjonują w przestrzeni publicznej, to nie zyskują większego poparcia ze strony społeczeństwa. Przykładowo: po śmierci Aleksieja Nawalnego na jego grób przychodziły tłumy. Nie przełożyło się to jednak na poważniejszy wzrost aktywności przeciwników Putina. Nie było żadnych masowych akcji protestacyjnych. Nic też nie wskazuje na to, by poparcie dla władz na Kremlu w efekcie spadło.

WIĘKSZOŚĆ ZA WOJNĄ

Dlaczego Rosjanie masowo popierają Putina? Odpowiedzi może być wiele. Czyżby dlatego, że nie mają dostępu do informacji niezależnych od wpływu kremlowskiej propagandy? Bynajmniej. Rosja to nie Korea Północna. Internet jest tutaj powszechny. Nawet jeśli niektóre strony są blokowane, to wiedzę można czerpać z innych, jeśli się tylko chce, a poza tym zawsze pozostaje VPN. Rosjanie mają więc dostęp do narracji alternatywnej wobec przekazu Kremla. A jednak wolą wierzyć putinowskiej propagandzie. Zdaniem Marii Sniegowej przyczyny mają charakter psychologiczny. „Żyję za tą wygodną tarczą, a wy namawiacie mnie, bym obudził się w koszmarnej rzeczywistości" – tak ekspertka rekonstruuje logikę, zgodnie z którą prawdopodobnie funkcjonuje bardzo wielu Rosjan. Wiedzą o istnieniu niezależnych od Kremla źródeł informacji, ale nie chcą do nich sięgnąć.

Z jednej strony dlatego, że popierają działania Putina i nie mają ochoty zapoznawać się z poglądami, których nie podzielają. Z drugiej strony dlatego, że lektura opozycyjnych treści mogłaby wywołać w nich dysonans poznawczy i zakłócić ich spokój. Wygodniej jest czytać i oglądać w Internecie treści, które wpisują się w rosyjski mainstream. Stąd też popularność Z-kanałów na Telegramie prowadzonych przez prokremlowskich publicystów i korespondentów wojennych.

W opinii ekspertki zachwiać poparciem dla Putina i wojny może jedynie albo totalny kryzys gospodarczy, albo ogromne straty na froncie. Rosjanie przestaną popierać władzę, jeśli poniesie ona klęskę, którą oni sami dotkliwie odczują na własnej skórze.

Sondaże, przeprowadzone po inwazji na Ukrainę, pokazują, że Rosjanie niezmiennie, konsekwentnie popierają wojnę. Sniegowaja przeanalizowała te badania. Na tej podstawie wysnuła wniosek, że ok. 70 proc. Rosjan popiera sam fakt prowadzenia wojny przez ich państwo, nawet jeśli nie zgadzają się z argumentami, przy których użyciu władze uzasadniają rozpoczęcie konfliktu. Oczywiście pojawia się pytanie: Czy można wierzyć

eprasa.pl a8d4c013d5

badaniom opinii publicznej prowadzonym w Rosji w obecnych warunkach? W ocenie wielu ekspertów, a także zdaniem polityków antyputinowskiej opozycji nie można. Ci pierwsi logicznie argumentują, że Rosjanie w sondażach ze strachu mówią to, co władza chce usłyszeć. Drudzy, niezależnie od stanu faktycznego, w swoim interesie politycznym muszą kwestionować przychylne dla Putina wyniki sondaży. Sniegowaja przypomina jednak, że rezultaty badań w zasadzie niewiele się od siebie różnią, niezależnie od tego, jaką metodą badania są prowadzone i przez kogo. Anonimowe odpowiedzi respondentów brzmią mniej więcej tak samo jak te udzielane pod imieniem i nazwiskiem. Ocenia się, że nieszczerych odpowiedzi jest między 6 a 10 proc. Dlatego, zdaniem Sniegowej, poparcie dla wojny w społeczeństwie rosyjskim może nie przekraczać 70 proc., ale z pewnością jest nie mniejsze niż 60 proc. Ekspertka przypomina, że w przeszłości Rosjanie również popierali kolejne wojny, w które angażował się Putin. Nie ma zatem obiektywnych przyczyn, dla których należałoby nie wierzyć w wyniki sondaży.

Nieprawdziwym stereotypem jest również przekonanie, że rosyjska klasa średnia wyznaje poglądy antyputinowskie i antywojenne. Jest dokładnie odwrotnie. To zaskakujące, bo przecież z reguły klasa średnia jest opozycyjna wobec władzy, która ogranicza wolność słowa i wolny rynek, tępi organizacje pozarządowe i wszelką, niezależną od państwa inicjatywę. Tyle że o ile na Zachodzie tę grupę społeczną stanowią zazwyczaj prywatni przedsiębiorcy, o tyle w Rosji są to pracownicy budżetówki, w tym resortów siłowych, czyli naturalny elektorat Putina.

Klasa średnia jest na garnuszku Kremla. Ale może przynajmniej młodzi ludzie potępiają dyktatora i jego wojenne awantury? Nic bardziej mylnego. Po pierwsze, ludzie w wieku 15–29 lat to według ostatniego spisu ludności jedynie 16,5 proc. społeczeństwa, więc ich głos nie może być decydujący. Po drugie, nawet gdyby był, to młodzież staje się coraz bardziej prokremlowska i nastawiona patriotycznie. Wynika to nie tylko ze skuteczności indoktrynacji, prowadzonej już od wczesnych lat szkolnych, lecz także stąd, że młodzi Rosjanie odziedziczyli po rodzicach i dziadkach typową cechę mentalności swojego narodu, którą jest konformizm – umiejętność dostosowania się do każdej sytuacji i przyjęcia każdego poglądu narzuconego przez władzę, niezależnie od osobistych przekonań (lub ich braku). Dlatego też wojnę z Ukrainą popiera ok. 60 proc. młodych Rosjan.

ZACHOWAĆ ZDOBYCZE

W opiniach Rosjan, którzy popierają wojnę, często pojawia się następująca argumentacja: „Skoro już zaczęliśmy, to trzeba dokończyć". Nawet ci, którzy popierają rozmowy pokojowe, zarazem często opowiadają się za tym, aby Rosja zachowała swoje zdobycze terytorialne na Ukrainie. Nie godzą się bowiem na strategiczną porażkę Moskwy. W tym wypadku decydująca jest typowa dla mentalności rosyjskiej, właściwie bezgraniczna lojalność wobec państwa, niezależna od poglądów czy oceny poszczególnych działań władz. Mitem, według Sniegowej, jest też twierdzenie, jakoby typowym przeciwnikiem „specoperacji" był młody wykształcony mężczyzna z dużego miasta. Połowę tych, którzy chcieliby zakończenia wojny, stanowią mieszkańcy mniej rozwiniętych regionów, zajmujący taką pozycję nie tyle z przyczyn ideologicznych, ile z powodów ekonomicznych. Konsekwentnie prozachodni liberałowie liczą zapewne między 7 a 10 proc. społeczeństwa. Wśród przeciwników wojny to jedynie połowa. Ponadto liberałów jest coraz mniej, bo nie mając nadziei na zmiany, emigrują.

Specyfikę masowego rosyjskiego poparcia dla Putina pokazują również wyniki sondażu przeprowadzonego w ubiegłym roku przez niezależny ośrodek Chroniki (Kroniki). 79 proc. respondentów zadeklarowało poparcie dla działań swojego prezydenta. Z tego grona jednak 61 proc. opowiedziało się za zawarciem pokoju z Ukrainą polegającego na wzajemnych ustępstwach. A przecież, jak wiadomo, Putin wielokrotnie podkreślał, że nie usiądzie do stołu rozmów dopóty, dopóki Kijów nie skapituluje. O żadnych ustępstwach ze strony Moskwy nie wspominał. Z kolei 83 proc. zwolenników Putina chce, by władze skupiły się na problemach społeczno-ekonomicznych, podczas gdy władza idzie w przeciwnym kierunku, coraz więcej środków wydając na cele militarne. Wreszcie 43 proc. spośród tych, którzy popierają swojego przywódcę, oczekuje odbudowy relacji z Zachodem. Tak, z tym samym Zachodem, z którym Moskwa konsekwentnie idzie na zwarcie. Z jednej strony to pokazuje, że nawet zwolennicy Putina popierają postulaty, które są totalnie sprzeczne z jego działaniami. Z drugiej strony władca Kremla ma powody do optymizmu. Widać bowiem wyraźnie, że cokolwiek by zrobił, i tak będzie się cieszył poparciem. Rosjanie są lojalni wobec władzy niezależnie od tego, czy zgadzają się z poszczególnymi jej działaniami. „Car" jest wartością samą w sobie. Nieważne, jakie podejmuje decyzje. Ważne, że rządzi silną ręką.

Rosjanie popierają Putina nie tylko dlatego, że zgadzają się z tym czy innym punktem realizowanego przezeń programu politycznego. Przede wszystkim co do zasady popierają władzę państwową i wszelkie jej działania. Po pierwsze dlatego, że nie mają alternatywy. Przecież nie będą zastanawiać się między Putinem a jakimś opozycyjnym politykiem, bo tacy w Rosji albo są częścią systemu i też popierają Putina, albo są poza systemem i nie istnieją w przestrzeni publicznej, nie są dopuszczani do realnej walki o władzę. Po drugie dlatego, że w świadomości Rosjan zakodowany jest wybór nie tyle między sympatią do rządzących, a sympatią do opozycji, ile między chaosem a porządkiem. Chaos jest wtedy, gdy w kraju toczy się walka o stery. Z reguły zresztą krwawa walka, bo nawet demokratyczna z pozoru rywalizacja prędzej czy później prowadzi albo do wojny domowej, albo do wojny gangów (oligarchów). Porządek zaś jest wtedy, gdy władza w państwie jest silna i nic jej nie zagraża. W takiej sytuacji Rosjanie, z natury raczej polityką niezainteresowani, nie muszą się zastanawiać, na kogo głosować. Władza myśli za nich, za nich decyduje, a także w zamian oferuje spokój i bezpieczeństwo. Konformista dostosuje się do każdej sytuacji, ale preferuje sytuacje stabilne i przewidywalne. Stąd w Rosjanach instynktowna wręcz miłość do władzy – takiej władzy, jaka ona jest.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Zapiski z Transylwanii, czyli Siedmiogrodu

Centrum Kluż-Napoka. Po prawej: pomnik króla Węgier Macieja Korwina

FOT. ADOBE STOCK

Ryszard Czarnecki z Kluż-Napoka

Co krok zderzam się tu z historią, i to historią pasjonującą

W sercu Transylwanii, którą Węgrzy zowią Siedmiogrodem, w Kluż-Napoka, w zwykłej pizzerii, jakich wiele, lokalnej sieciówce, znajduje się prawdziwy skarb. Tuż koło toalety, za szybą, jest 15 m kamiennych pozostałości z czasów rzymskich. Kamienie wołają do nas z perspektywy niemal dwóch tysięcy lat: mają pochodzić z lat 155–180 po narodzeniu Chrystusa (inna wersja mówi o II–III w., w przedziale lat 106–274 przed Chrystusem).

Wołają z miasta, które Węgrzy nazywają Kolozsvar, Niemcy – Klausenburg, Rumuni – Cluj, a Polacy – po prostu Kluż. Komunistyczny dyktator Nicolae Ceauşescu dodał jeszcze drugi człon do nazwy miasta: Napoca. Było to w roku 1978. Towarzysz Ceauşescu – który się Moskwie nie kłaniał i to było później prawdopodobnie prawdziwą przyczyną jego egzekucji „z woli ludu" – chciał podkreślić jednocześnie i dacki, i starorzymski charakter miasta.

Jeszcze za panowania Rzymian ówczesna osada nazywała się Napuca, co wywodzi się z nazwy dackiej osady z czasów sprzed starożytnego Rzymu. Skądinąd słynna rumuńska marka samochodu osobowego – Dacia, która na przełomie lat 1980 i 1990 podbiła cały dawny „obóz socjalistyczny" (do Polski sprowadzał ten model w tysiącach sztuk Piotr Żak, czyli Zygmunt Solorz), wywodziła swą nazwę właśnie od Daków.

KRAINA JASKIŃ

Z pizzerii krok do katolickiego kościoła oo. Franciszkanów. Dziś w remoncie, w dziejach przechodził z rąk do rąk, bo poza prawowitymi właścicielami – budowniczymi katolikami – używali go też protestanci. Najcenniejszy jest tu średniowieczny krucyfiks. Do kościoła dobudowano klasztor – i w tym miejscu napotykam pierwszy z kilku poloników. Mieszkała tu bowiem polska księżniczka Izabela Jagiellonka, córka króla Zygmunta Starego i jego włoskiej żony Bony Sforzy. Polka została wybrana na regentkę Transylwanii w 1556 r. na okres pięciu lat, w klasztorze mieszkała rok, aby wyjechać stąd już na zawsze. Znamienne, że w 1557 r. wydała edykt gwarantujący wolność religijną nie tylko wyznawcom religii jej syna (katolickiej), lecz także luteranom, kalwinom i unitarianom.

W kościele, który teraz jest nieczynny, msze są prawie tylko po węgiersku. Taksówkarz, który mnie wiezie, ma węgierskie nazwisko. Dyrektor hotelu, w którym mieszkam, jest Węgrem, a właściciel najlepszego hotelu w mieście ma nazwisko takie samo jak znany węgierski piłkarz. Ale moja przewodniczka jest mówiącą po polsku Rumunką i ma rumuńskiego męża.

Rumunem był też Emil Rakovica, badacz jaskiń przełomu wieków XIX i XX, uczestnik międzynarodowej – choć organizowanej przez Belgię – wyprawy na Antarktydę. Wzięło w niej udział także dwóch naszych rodaków: meteorolog Antoni Dobrowolski i geolog Henryk Arctowski. I to jest, powiedzmy, drugie z poloników, które odkrywam w Kluż-Napoka. Skądinąd efektem owej polarnej wyprawy było aż 60 pionierskich opracowań naukowych.

O specjaliście od jaskiń, panu Rakovicy, wspominam nieprzypadkowo, Rumunia jest bowiem jednym z dwóch państw w Europie (obok Francji) o największej liczbie jaskiń!

W pobliżu zamkniętego dziś Muzeum Speleologii im. Emila Racovity znajduje się mennica – zresztą tuż koło klasztoru Franciszkanów (tu wszędzie jest blisko). Kluż otrzymał w XVII w. prawo do bicia własnej monety, co było wówczas szczególnym przywilejem.

eprasa.pl a8d4c013d5

Zaledwie ok. 100 m od mennicy znajduje się dom, w którym urodził król Węgier Maciej Korwin. To też przykład skomplikowanej historii Transylwanii/Siedmiogrodu. Jego ojca, bohatera narodowego Węgier Jánosa Hunyadyego, rumuńska przewodniczka uważa za Rumuna, choć już jego żonę – matkę króla Matiasa – za Węgierkę.

Król Maciej rządził 22 lata. Był człowiekiem renesansu, mówił siedmioma językami, postawił na opiekę zdrowotną – co było rzadkością w jego czasach – i edukację. Czy jego poddani mówili o nim jak Polacy o XVII-wiecznym królu Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, Michale Korybucie Wiśniowieckim, synu wspaniałego stratega wojskowego, hetmana Jeremiego Wiśniowieckiego: „Nasz Król Jegomość mówi siedmioma językami, ale w żadnym nie ma nic do powiedzenia"? O tym historia milczy.

Dziś w domu narodzin króla Matiasa (po węgiersku to Maciej) znajduje się Uniwersytet Sztuki i Wzornictwa.

Jestem w szczególnym miejscu: na przestrzeni kilkudziesięciu metrów urodziło się tu dwóch madziarskich monarchów. Poza wspomnianym Korwinem także Stefan Bocskay. Tuż obok znajduje się Uniwersytet Sapientia, gdzie wykłady odbywają się tylko po węgiersku.

Zaraz dalej – wyjątkowa knajpa. Istniejąca od czasów komunizmu, przeznaczona była wyłącznie... dla kobiet! Okres dyskryminacji mężczyzn skończył się dopiero w roku 2000, a więc już w XXI w. Definitywnie zamknięto ją w 2020 r. Za komuny wielu ciekawskich mężczyzn specjalnie przebierało się za kobiety, aby tam wejść. Pewnie byli potem srodze rozczarowani, bo naprawdę była to restauracja, a nie coś innego...

SPACEREM PRZEZ KLUŻ

Wędrując po Kluż-Napoka, myślę o pewnej analogii z Polską. Oto bowiem król Andrzej II zaprosił w 1211 r. Krzyżaków, aby bronili tej ziemi przed najazdami pogańskich Połowców. Trudno nie skojarzyć tego z zaproszeniem Krzyżaków przez księcia Konrada Mazowieckiego do obrony centralnej części Polski przed atakami pogan. I tu koniec analogii, bo Polacy, choć szybko zaczęli mieć fatalne relacje z podstępnymi Teutonami, mimo to pozwolili im w praktyce stworzyć własne państwo na polskim terytorium. Węgrzy natomiast Krzyżaków wygnali już po 14 latach! Co ciekawe, okaże się z czasem, że Niemcy (a ściślej: Sasi), imigranci w Transylwanii/Siedmiogrodzie, będą mieli lepsze relacje z Rumunami niż z Węgrami! Do tego stopnia, że gdy na początku drugiej wojny światowej, w 1940 r., przed drugim arbitrażem wiedeńskim ważyły się losy, czy Braszów w Siedmiogrodzie będzie należeć z powrotem do Węgier (taka była wstępna decyzja Berlina), liderzy niemieckiej społeczności mieli napisać do Hitlera list, aby zostawił Brasov przy Rumunii, a nawet chcieli organizować samoobronę. Po tym proteście lokalnych Niemców władze III Rzeszy zmieniły zdanie ku radości Rumunów.

Dochodząc do najstarszego placu w Kluż – Muzealnego – i mijając ulicę francuskiego pisarza Emila Zoli, spostrzegam na murach plakat symbolizujący solidarność ze Strefą Gazy „Gaza traieste" („Gaza żyje"). Żyje, owszem. Tylko co to za życie? Niespodziewanie wędrówka przez historię zderza się z brutalną współczesną rzeczywistością.

Czy nie jest to pomysł na teraz, po pięciu już wiekach? Pogrzeszyć – a potem ze skruchą potrząsnąć kiesą?

Od paleolitu do XXI w. historia tej ziemi zakręcona jest niczym trasa slalomu giganta. W II w. po Chrystusie Rzymianie zmienili nazwę jeszcze dackiej osady Napuca na Napoca – stacjonowali tu legioniści. Imperium Rzymskie pożegnało się z tą ziemią w III w., potem byli tu jeszcze Goci, Hunowie, Słowianie, Bułgarzy, a w X w. przyszli tu Madziarowie.

Skąd dwuczłonowa nazwa miasta? „Castrum Clus" oznaczał po łacinie obóz (castrum), a „Clus" w języku łacińskim to „region zamknięty górami". Z kolei „Napoca" to „region zalesiony".

Zmieniały się nazwy i przynależności państwowe. Turków zastąpili Habsburgowie, a w 1867 r. ziemia ta stała się częścią Korony św. Stefana w ramach powstałych wówczas Austro-Wegier. W 1918 r. przyszło tu Królestwo Rumunii, a w latach 1940–1945 miasto znów zajmowały Węgry. Po drugiej wojnie znów była tu Rumunia.

Patrzę na pomnik cesarza Franciszka I oraz cesarzowej Karoliny, upamiętniający wizytę pary cesarskiej w roku 1817. Z tą cesarską numeracją jest problem. Oto cesarz zaczynał panowanie (1792–1806) jako Franciszek… II, a skończył jako Franciszek I. Dlaczego tak dziwnie? Najpierw był bowiem ostatnim tytularnym cesarzem Świętego Cesarstwa Rzymskiego, a następnie pierwszym cesarzem o tym imieniu w imperium Habsburgów.

Na pomniku jest też stary herb Kluż – jakże podobny do herbu... Krakowa. Nawet komuna i Ceaușescu go nie zmienili. Musiał dopiero przyjść pierwszy burmistrz po upadku tamtego ustroju, który po 1990 r. zmienił godło miasta, bo poprzednie uznał za „zbyt mało związane z kulturą rumuńską".

Na pomniku cesarza Franciszka II, który stał się Franciszkiem I, jest zafałszowanie historyczne. Oto bowiem uwieczniono na nim scenę założenia pierwszego oświetlenia w dziejach miasta. Wszystko dobrze, ale w rzeczywistości nastąpiło to nie w roku 1817, ale 10 lat później – w 1827 r.

POTRZĄSNĄĆ KIESĄ

Od pomnika Franciszka już tylko krok do Narodowego Muzeum Historii. Co krok zderzam się tu z historią, i to historią pasjonującą. Kościół św. Michała wygląda okazale niczym katedra, ale nią nie jest, bo przecież biskupstwo jest w oddalonym godzinę drogi samochodem od Kluż mieście Alba Iulia („alba" to po rumuńsku „biała").

Majestatyczny kościół budowano aż 128 lat! Zaczęto w 1316 r., a skończono w roku bitwy pod Warną i śmierci polskiego króla Władysława Warneńczyka w sąsiedniej Bułgarii – w 1444 r. Zaplanowano dwie wieże, ale im wyżej piął się kościół, tym bardziej brakowało pieniędzy, więc skończyło się na jednej. Budowli by nie ukończono, gdyby nie fortel jednego z papieży z Awinionu. Otóż ogłosił on, że kto przeznaczy pieniądze na dokończenie świątyni, ten dostanie… całkowite odpuszczenie grzechów.

I czy nie jest to pomysł na teraz, po pięciu już wiekach? Pogrzeszyć – a potem ze skruchą potrząsnąć kiesą? To jednak na szczęście niejedyna nauka płynąca z mojej wyprawy do Transylwanii i Kluż-Napoka.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Nie mamy pańskiego konta.

I co nam pan zrobi?

Jakub Wozinski

Odmowa dostępu do usług bankowych stała się w ostatnim czasie jedną z najbardziej skutecznych form walki politycznej

Procedura debankingu, czyli zamknięcia czyjegoś rachunku bankowego pod pretekstem przeciwdziałania przestępczości, była znana od lat, ale dotyczyła m.in. przypadków prania brudnych pieniędzy. Jak pokazują liczne przypadki odnotowywane na świecie, dziś nie trzeba już mieć nic wspólnego z jakimikolwiek oszustwami finansowymi, aby zetknąć się z nią osobiście: wystarczy głosić poglądy inne niż te, które są akceptowane przez rządzących lub elity.

Pozbawienie dostępu do konta bankowego nie jest już niestety zjawiskiem marginalnym i dotyczącym nieznanych osób. Jeszcze w trakcie kampanii prezydenckiej w Stanach Zjednoczonych ofiarą tego procederu padła cała rodzina Trumpów. Żona prezydenta elekta, Melania, straciła nagle możliwość korzystania z banku, z którego korzystała od wielu lat. Jej syn próbował w nim otworzyć nowe konto, ale spotkał się z odmową. Nazwa instytucji nie została ujawniona, ale wiadomo także, że Donaldowi Trumpowi zamknęły konta aż trzy banki: Signature Bank, Professional Bank i Bank United.

Najbardziej spektakularnym jak dotąd przypadkiem pozbawienia prawa do decydowania o swoich środkach pieniężnych były jednak wydarzenia z 2022 r. w Kanadzie. Uczestnicy wielkiego protestu przeciwko pandemicznym ograniczeniom i destrukcyjnej polityce rządu zjechali masowo do stołecznej Ottawy. Kierowcy wielkich ciężarówek zablokowali ścisłe centrum miasta, lecz w kulminacyjnym momencie protestu premier Justin Trudeau zadecydował o zablokowaniu im dostępu do kont bankowych i użyciu siły do ich rozpędzenia. Jak podały władze, zamrożono także 253 portfele bitcoinowe, które przywrócono do normalnego użytku dopiero po ponad miesiącu.

WOJNA O AI

Wielką dyskusję na temat perfidnego procederu blokowania dostępu do kont wywołał goszczący niedawno u amerykańskiego youtubera Joe Rogana wpływowy przedsiębiorca z Doliny

eprasa.pl a8d4c013d5

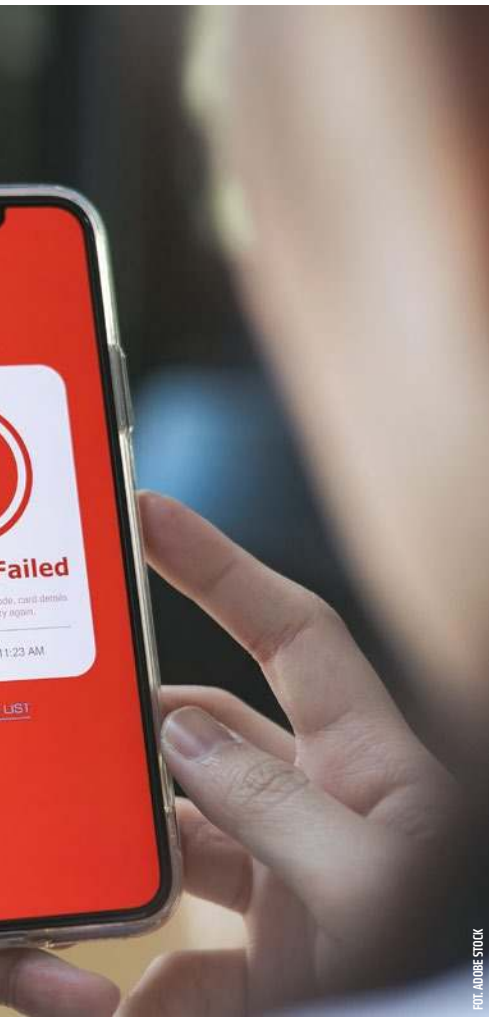

FOT. ADOBE STOCK

Krzemowej Marc Andreessen. Jak przystało na reprezentanta tego środowiska, przez wiele lat aktywnie wspierał Partię Demokratyczną. Jego poglądy uległy jednak zmianie, gdy administracja Bidena przeprowadziła z nim i innymi przedstawicielami branży serię rozmów, w których dała do zrozumienia, że zależy jej na ścisłej kontroli całego sektora sztucznej inteligencji. Zgodnie z zapowiedziami polityków w idealnej sytuacji na rynku powinny pozostać zaledwie dwa, trzy podmioty kontrolujące całą branżę.

Plany demokratów nie spotkały się oczywiście z entuzjazmem środowiska. Jeśli wierzyć rewelacjom Andreessena, to w reakcji na to aż wobec 30 biznesmenów z branży technologicznej zastosowano debanking. Doniesienia te trafiły najwyraźniej w bardzo czuły punkt, ponieważ wiodące media zaczęły wkrótce masowo publikować materiały

Sektor bankowy ma niestety bardzo wiele powodów, aby wysługiwać się politykom

tłumaczące te doniesienia jako przykład dezinformacji i manipulacji. Zamiast podjąć sensacyjny wątek brutalnej walki o wpływy z najważniejszej technologii naszych czasów, usłużni funkcjonariusze medialni skupili się w swoich materiałach na krytyce osób, które odważyły się przeciwstawić politycznym machinacjom.

Rozgorzała w ten sposób medialna dyskusja, która zachęciła do ujawniania przykładów podobnych działań przez osoby publiczne oraz internautów z całego świata. Okazało się, że blokowanie dostępu do środków finansowych spotyka osoby prowadzące niewygodną dla polityczno-biznesowego establishmentu działalność niemal na całym świecie. Debanking stał się bardzo częstym zjawiskiem, które pozostaje praktycznie bezkarne.

ROZMYTA ROLA BANKÓW

Bezkarność, a jednocześnie znaczna skuteczność tego procederu polegają głównie na tym, że banki są formalnie podmiotami prywatnymi, lecz jednocześnie coraz bardziej występują w roli swego rodzaju urzędów: za ich pomocą można przecież składać wnioski o rozmaite świadczenia publiczne, a z drugiej strony ich aktywność na rynku papierów dłużnych jest niezbędna dla działalności każdego państwa. Odmawiając danemu klientowi prawa do prowadzenia konta, dany bank może zasłonić się tym, że jako podmiot prywatny ma prawo odmowy współpracy z wybranymi osobami czy firmami. Trudno jednak uznać jakikolwiek bank za zwykły podmiot prywatny choćby ze względu na to, że z prawnego punktu widzenia klienci banków nie są nigdy w pełni właścicielami swoich depozytów.

Sektor bankowy ma niestety bardzo wiele powodów, aby wysługiwać się politykom, gdyż rozwój nowych technologii oraz wydarzeń na świecie coraz bardziej zagraża jego odwiecznym przywilejom. Chińska rewolucja płatnościowa dokonała się praktycznie z pominięciem banków, a najbardziej popularne platformy płatnościowe, takie jak Alipay czy WeChat Pay, wyrosły ze sklepów, komunikatorów czy też mediów społecznościowych. Nie dziwi więc to, że bankowy establishment w USA doprowadził do upadku bardzo obiecujący projekt o nazwie Libra.

Jak poinformował niedawno David Marcus, który był w Facebooku dyrektorem odpowiedzialnym za projekt nowej formy płatności, do upadku Libry przyczyniła się głównie polityczna presja. Mark Zuckerberg może i dysponuje majątkiem wycenianym na setki miliardów dolarów, ale jego pomysł nie wzbudził entuzjazmu u starej finansowej gwardii. Początkowo prezes Rezerwy Federalnej miał być nawet dość pozytywnie nastawiony do Libry, ale zupełnie inne stanowisko zajęła ustępująca ze stanowiska sekretarza skarbu Janet Yellen. Pod jej wpływem projekt został szybko storpedowany. Banki, które miały brać współudział w projekcie, zaczęły otrzymywać telefony od urzędników z banku centralnego, które brzmiały wprost jak pogróżki. Wiedząc, jak potężną władzę nad sektorem posiada FED, nikt nie odważył się przeciwstawić. Stało się tak mimo tego, że właściciel Facebooka i promotor Libry jest powszechnie uważany za jednego z najbardziej wpływowych ludzi na całym świecie.

ZDŁAWIĆ KRYPTOWALUTY

W świetle tych rewelacji w pełni zrozumiałe staje się to, dlaczego Stany Zjednoczone nie dorobiły się jak dotąd alternatywnych systemów płatniczych powiązanych z mediami społecznościowymi tak jak Chiny. Amerykański establishment nie był natomiast w stanie powstrzymać bujnego rozwoju kryptowalut, w które zresztą zaangażowało się wiele wpływowych osobistości. Jak pokazała afera z upadkiem giełdy FTX należącej do Sama Bankmana-Frieda z 2022 r., na kryptorynku działa bardzo wiele znanych nazwisk i instytucji.

Amerykański deep state chce jednak sprawować nad kryptowalutami większą niż do tej pory kontrolę i w tym celu również ucieka się do debankingu. Jednym

eprasa.pl a8d4c013d5

z kluczowych momentów kampanii wyborczej przed ostatnimi wyborami prezydenckimi w USA były obietnice złożone przez Donalda Trumpa wobec całego środowiska kryptowalutowego. Miliony osób, które zainwestowały swoje środki w nowatorskie środki wymiany, były zwyczajnie przerażone tym, jakie plany względem nich zdradzało środowisko Joe Bidena i Kamali Harris.

Partia Demokratyczna od dłuższego czasu prowadziła tzw. operację Choke Point 2 (ang. Przewężenie), która miała na celu finansowe stłamszenie firm i podmiotów działających na rynku kryptowalut. Pierwsza operacja „Choke Point" miała miejsce jeszcze w czasach Obamy, który stworzył specjalne instrumenty do walki z branżą narkotykową i producentami broni. Już wtedy pojawiło się wiele głosów krytycznych wskazujących na to, że blokowanie dostępu do środków finansowych było przedmiotem wielu nadużyć.

Za umowną datę wznowienia operacji finansowego zastraszania uznaje się ogłoszenie przez Joe Bidena w czerwcu 2021 r. narodowej strategii zwalczania krajowego terroryzmu. Wspierając się niektórymi przepisami uchwalonymi jeszcze po zamachach z 11 września nadano instytucjom federalnym specjalne uprawnienia mające rzekomo służyć walce z „terroryzmem". W praktyce pod kategorię „terroryzmu" można podciągnąć każdą działalność, którą rządzący uznają za zagrażającą ich interesom.

Jak pokazały dokumenty opublikowane przez właścicieli jednej z największych giełd kryptowalut na świecie Coinbase, podległa prezydentowi Bidenowi Federalna Korporacja Gwarantowania Depozytów (FDIC) oraz giełdowy regulator SEC prowadziły aktywną kampanię na rzecz ograniczenia jej możliwości swobodnego korzystania z usług bankowych. Urzędnicy kontaktowali się z poszczególnymi bankami prowadzącymi konta Coinbase i wzywali je do wstrzymania operacji związanych z kryptowalutami.

Kryptowaluty zanadto drażnią swoją niezależnością i anonimowością, dlatego wręcz musiały stać się przedmiotem ataku finansowego establishmentu. Atakom podlegają jednak często także środowiska niewygodne choćby z powodów religijnych. W 2023 r. głośno było o organizacji Indigenous Advanced Ministries, której Bank of America zablokował konto, zasłaniając się koniecznością ograniczenia ryzyka finansowego. Prawdziwym powodem było jednak to, że wspierający m.in. Black Lives Matter gigant nie akceptował promowanej przez protestancką grupę promocji otwartości na życie i tradycyjnego modelu rodziny wśród mieszkańców Afryki.

POZA ŚWIATŁAMI KAMER

Banki coraz chętniej występują w roli finansowych prześladowców m.in. dlatego, że same bardzo obawiają się prześladowań ze strony organów nadzoru. Jeśli któryś z nich nie zablokuje pospiesznie wskazanego konta, to naraża się automatycznie na uruchomienie długich i kosztownych procedur audytowych. Oficjalnie chodzi przecież o kwestie związane z ryzykiem finansowym, dlatego zamiast narazić się politykom, banki wolą – nie wdając się w żadne większe dyskusje – spełniać ich wolę.

Niezwykła skuteczność debankingu polega na tym, że skutki jego zastosowania są dyskretne i rozproszone

Niezwykła skuteczność debankingu polega również na tym, że skutki jego zastosowania są bardzo dyskretne i rozproszone. Stosując tego typu represje, władza i posłuszny jej sektor bankowy nie narażają się na krytykę, która pojawiłaby się niewątpliwie w razie zastosowania np. środków przymusu bezpośredniego. Wszystko dokonuje się bezgłośnie i poza światłami kamer.

Oprócz banków znaczną aktywność w zakresie blokowania środków finansowych wykazują także firmy obsługujące płatności kartami. Jako że ten segment rynku finansowego jest od wielu lat zdominowany przez niewielką liczbę podmiotów, ich siła oddziaływania jest naprawdę spora. Czysto teoretycznie wszyscy mamy wciąż wolność korzystania choćby z gotówki. Ta wolność staje się jednak z roku na rok coraz bardziej teoretyczna, gdyż stale ograniczane limity płatnościowe oraz coraz liczniejsze przepisy przymuszają nas do korzystania z pieniędzy w wersji cyfrowej.

Warto przy tym zauważyć, że znaczny udział w staraniach na rzecz wprowadzenia pełnego obiegu bezgotówkowego mają właśnie banki. Nasza uwaga kieruje się niezmiennie ku rządzącym, lecz to właśnie one występują w roli podmiotów, które swoimi praktykami bardzo przyspieszają niebezpieczne procesy. W wielu krajach zachodnich, a w szczególności w Skandynawii, formalnie dozwolona wciąż gotówka traktowana jest coraz częściej jako przedmiot podejrzany i nienadający się już do wprowadzenia na konto bankowe. Dochodzi tym samym do sytuacji, w której ze względu na swoje ograniczone zastosowanie pieniądz papierowy staje się upośledzonym, realnie mniej wartym środkiem wymiany wypieranym coraz szybciej z użytku.

Na szczęście można zauważyć, że praktykowane na coraz większą skalę pozbawianie dostępu do kont bankowych paradoksalnie przyniosło ze sobą także pewne pozytywne skutki. Zwycięstwo Donalda Trumpa w wyborach prawdopodobnie nie miałoby nigdy miejsca, gdyby znaczna część przedstawicieli Doliny Krzemowej nie poparła go w następstwie prześladowań ze strony administracji Bidena. Próba ścisłego podporządkowania sobie branży technologicznej wywołała potężną reakcję zwrotną, która zaowocowała wysokim wsparciem finansowym dla kampanii Trumpa.

Trump zatriumfował, ale w pewnym sensie stał się zakładnikiem środowisk entuzjastycznie nastawionych względem kryptowalut. Tymczasem dalszy ich rozwój będzie się wiązał z coraz dalej idącym ograniczaniem wpływów tradycyjnych instytucji finansowych. Można więc zakładać, że nowego prezydenta czeka stoczenie ważnej batalii, w której będzie przeciwko sobie miał bardzo potężnych przeciwników. Być może nawet sprawując funkcję prezydenta Stanów Zjednoczonych, Trump zetknie się z jakąś formą debankingu. Stawka w tej grze jest naprawdę potężna, dlatego nie powinno nas zdziwić podjęcie nawet najbardziej radykalnych kroków.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl a8d4c013d5

Złoty wiek Ameryki?

Jacek Przybylski

Oczy światowych inwestorów zwrócone są na 47. prezydenta USA. Donald Trump nie marnuje zaś czasu. W pierwszym tygodniu urzędowania przeznaczył 500 mld (!) dol. na rozwój sztucznej inteligencji, wycofał USA z paryskiego porozumienia klimatycznego, a także zniósł część ograniczeń na wydobycie ropy i gazu

Złoty wiek Ameryki zaczyna się właśnie teraz. Od tego dnia będzie ponownie szanowana na całym świecie. Będzie przedmiotem zazdrości każdego narodu i nie damy się więcej wykorzystywać" – ogłosił Donald Trump podczas ceremonii inauguracyjnej w rotundzie Kapitolu.

Słowom tym przysłuchiwali się najwięksi amerykańscy miliarderzy oraz szefowie najpotężniejszych spółek technologicznych z Krzemowej Doliny. Znani wcześniej jako hojni sponsorzy opozycyjnej obecnie Partii Demokratycznej nie bez powodu na inaugurację drugiej kadencji Donalda Trumpa porzucili T-shirty, grzecznie założyli garnitury, uczesali włosy i stanęli w pierwszym rzędzie, by okazać wsparcie dla nowego przywódcy Ameryki.

MILIARDY NA GWIEZDNE WROTA

Już podczas jednego z inauguracyjnych przemówień Trump ogłosił, że chciałby, aby jeszcze za jego kadencji amerykańscy astronauci wylądowali na Marsie. To ukłon w stronę właściciela Elona Muska – właściciela zarówno platformy X, jak i kosmicznej spółki SpaceX, który przez ostatnie miesiące włożył we wsparcie Trumpa wiele energii i pieniędzy.

Trump szybko pokazał, że potrafi docenić nie tylko starych, lecz także stosunkowo nowych biznesowo-politycznych sojuszników. Już w dniu zaprzysiężenia nowy prezydent USA uchylił rozporządzenie wykonawcze z 2023 r. podpisane przez Joe Bidena, mające na celu zmniejszenie ryzyka, które sztuczna inteligencja stwarza dla konsumentów, pracowników i bezpieczeństwa narodowego. W pierwszym tygodniu urzędowania Donald Trump ogłosił również utworzenie projektu Stargate. Na Gwiezdne Wrota, czyli wspólne przedsięwzięcie firm OpenAI, Oracle i SoftBank, nowy prezydent planuje wydać 500 mld (!) dol. w ciągu najbliższych czterech lat. Tak ogromne pieniądze mają być przeznaczone na budowę potężnych centrów danych służących rozwojowi algorytmów AI i stworzeniu tzw. silnej sztucznej inteligencji (AGI), czyli maszyn zdolnych do prawdziwego myślenia i rozumowania z inteligencją na poziomie człowieka lub przewyższającą człowieka. Największa inwestycja w infrastrukturę AI w dotychczasowej historii Stanów Zjednoczonych ma według autorów projektu przyczynić się do powstania nawet 100 tys. nowych miejsc pracy. – Sądzę, że będzie to najważniejszy projekt tej ery – mówił reporterom w Białym Domu prezes OpenAI, Sam Altman. Projekt jest realizowany przez konkurentów Elona Muska. Donald Trump doskonale zna bowiem zasadę „divide et impera".

WIERĆ, KOCHANIE, WIERĆ!

Pierwszego dnia swej drugiej kadencji podpisał dekret o wycofaniu Stanów Zjednoczonych z paryskiego porozumienia klimatycznego (zrobił to już drugi raz, pierwszy raz w roku 2017, ale Joe Biden cofnął tę decyzję pierwszego dnia swojego urzędowania w styczniu 2021 r.). Teoretycznie porozumienie paryskie wzywa rządy do podjęcia działań w celu ograniczenia globalnego ocieplenia.

Nowy amerykański przywódca surowo ocenia jednak założenia tzw. polityki klimatycznej. – Natychmiast zarządzam wycofanie z nieuczciwego, jednostronnego zdzierstwa klimatycznego w Paryżu – ogłosił przywódca USA, czyli drugiego największego na świecie emitenta gazów cieplarnianych. – Stany Zjednoczone nie będą sabotować własnego przemysłu, podczas gdy Chiny bezkarnie zanieczyszczają środowisko – podkreślił nowy gospodarz Białego Domu i obiecał błyskawiczne podpisanie wielu rozporządzeń wykonawczych, mających walczyć z czymś, co Donald Trump określa mianem „nowego zielonego oszustwa".

Decyzja nowego gospodarza Białego Domu może jeszcze bardziej zmniejszyć konkurencyjność produktów z Unii Europejskiej, której urzędnicy nadal nakładają nowe ograniczenia na europejski przemysł, przekraczając kolejne granice bezpiecznych działań dla unijnej gospodarki i prowadzą Wspólnotę do większego bezrobocia oraz szybko rosnącego ubóstwa energetycznego swoich mieszkańców, byle tylko zrealizować cel ograniczenia emisji do roku 2030 o co najmniej 55 proc. w porównaniu z 1990 r. Docelowo – w roku 2050 – Unia Europejska chce zaś osiągnąć neutralność klimatyczną. Przy płaceniu coraz wyższych rachunków za prąd warto więc za każdym razem przypominać

eprasa.pl a8d4c013d5

Trump wiele razy potępiał deficyt handlowy USA z UE. Sprawująca prezydencję Polska może odegrać w rozmowach kluczową rolę FOT. ANDREW HARNIK/GETTY IMAGES

sobie, że wszystkie kraje UE emitują łącznie mniej więcej 7 proc. całościowej emisji dwutlenku węgla na świecie. Oficjalny udział Polski w globalnej emisji gazów cieplarnianych w 2023 r. wyniósł 0,69 proc. Efekt? Gospodarka Unii Europejskiej szybko traci na znaczeniu nie tylko w stosunku do Chin, lecz także USA czy Indii.

Wycofanie się Stanów Zjednoczonych z porozumienia paryskiego znosi zobowiązanie tego kraju do ograniczenia emisji. W planach nowej administracji w Waszyngtonie są więc rezygnacja z dotowania z pieniędzy podatników zakupu samochodów elektrycznych i zaprzestanie wsparcia w inwestycje w energetykę wiatrową. Trump określa bowiem turbiny mianem „katastrofy gospodarczej i środowiskowej". Jednocześnie Trump podczas przemówienia inauguracyjnego zapowiedział realizację obietnicy zwiększenia wydobycia paliw kopalnych i w ubiegłym tygodniu podpisał już wiele rozporządzeń znoszących ograniczenia eksploatacji pól naftowych. Stany Zjednoczone mają największe na świecie rezerwy ropy i gazu, więc hasło „wierć, kochanie, wierć" (z ang. „drill, baby, drill") może przynieść Ameryce krociowe zyski. Jednocześnie Amerykanom zależeć będzie na znalezieniu sojuszników w Europie, którzy nadal będą chcieli korzystać z paliw kopalnych.

Polska jako jeden z kluczowych partnerów USA w Europie Środkowo-Wschodniej może się więc starać o nowe inwestycje, zwiększające bezpieczeństwo energetyczne tej części Starego Kontynentu, a jednocześnie przeciwdziałające planom nałożenia ceł na UE (np. poprzez zwiększenie zakupów amerykańskiego gazu skroplonego).

Trump błyskawicznie przeszedł również do realizacji jednej ze swych kluczowych kampanijnych obietnic. Po zaprzysiężeniu zniósł prawo ziemi, wprowadził stan wyjątkowy przy granicy, a także podpisał rozkaz wysłania na granicę z Meksykiem 1,5 tys. żołnierzy, których zadaniem ma być „przeciwdziałanie inwazji". Pentagon jest gotowy wesprzeć działania na granicy za pomocą samolotów i śmigłowców. Deportacje już się rozpoczęły. Wyrzucanie nielegalnych imigrantów na masową skalę może jednak prowadzić do osłabienia niektórych sektorów amerykańskiej gospodarki, które bazują na taniej sile roboczej.

CŁA JEDNAK NIŻSZE?

Wprawdzie nowy prezydent USA jasno podkreśla, że Ameryka zawsze będzie na pierwszym miejscu i że chce chronić amerykański przemysł oraz zwiększyć atrakcyjność krajowych produktów, to na razie nie wiadomo jeszcze, jak za Donalda Trumpa będzie się rzeczywiście kształtować polityka celna. Podczas kampanii i tuż po zwycięstwie wypowiadał się w tej kwestii wyjątkowo ostro. Jednak pierwsze słowa i decyzje po zaprzysiężeniu mogą wskazywać na to, że świat może uniknąć brutalnej wojny celnej, a ewentualne cła nakładane przez Stany Zjednoczone będą niższe, niż wcześniej zapowiadał Trump.

Nałożenie na importowane towary bardzo wysokich ceł (60 proc. na towary z Chin oraz 10–20 proc. na produkty z pozostałych krajów) znacząco zwiększyłoby bowiem ich ceny, a w rezultacie podniosło inflację bazową w Stanach Zjednoczonych. Tego zaś nowy gospodarz Białego Domu wolałby uniknąć, bo w kampanii obiecywał zmniejszenie inflacji. Władze w Waszyngtonie wiedzą też, że cła to zawsze miecz obosieczny. Odpowiadając na pytania reporterów, Donald Trump zagroził więc co prawda nałożeniem karnych ceł (w wysokości 25 proc. od 1 lutego) na produkty z Kanady i Meksyku – ma to być jednak straszak zmuszający rządy tych państw do lepszej współpracy w zapobieganiu nielegalnej imigracji do Stanów Zjednoczonych.

Nowy przywódca Ameryki jawnie mówi również o tym, że zamierza używać groźby wprowadzenia wysokich ceł w celu wywarcia presji podczas negocjacji z innymi krajami, w tym z państwami Unii Europejskiej. „W UE traktują nas bardzo źle. Nie kupują naszych samochodów ani naszych produktów rolnych. W rzeczywistości nie biorą zbyt wiele. Nadają się zatem do nałożenia opłat celnych" – przestrzegł nowy przywódca Białego Domu. W tej dziedzinie potencjalnie wiele może ugrać Polska, która od stycznia 2025 r. sprawuje przewodnictwo w Unii Europejskiej. Warszawa może więc się wcielić w mediatora i spróbować wynegocjować jak najlepsze warunki ewentualnej nowej umowy handlowej między UE a USA. Trump wielokrotnie potępiał bowiem ogromny deficyt handlowy USA z UE. Nowa administracja w Waszyngtonie będzie więc nalegać o zwiększenie importu amerykańskich towarów, a także o nowe inwestycje z zakresu nowych technologii w Europie.

Na tych ostatnich Polska mogłaby przy okazji zyskać, przyciągając inwestorów działających w branży technologii cyfrowych (np. budujących centra danych dla sztucznej inteligencji).

Gdyby UE i USA jednak nie udało się porozumieć i Amerykanie nałożyliby cła na państwa członkowskie UE, najmocniej straciłyby na tym m.in. gospodarki takich krajów jak Niemcy czy Włochy

eprasa.pl a8d4c013d5

– ale również Polska dostałaby wówczas rykoszetem. Teoretycznie nawet w razie wojny handlowej tragedii by jednak nie było, ponieważ eksport do USA stanowi zaledwie 3,1 proc. całego polskiego eksportu. Potencjalnie mocno ucierpieć mogliby jednak ci przedsiębiorcy, którzy są mocno związani z Niemcami i którzy co prawda nie bezpośrednio, ale sporo do Ameryki eksportują.

Argumentem ceł Donald Trump posłużył się już także w negocjacjach z Rosją – prowadzonych na razie publicznie za pośrednictwem mediów społecznościowych. „Jeżeli wkrótce nie zawrzemy umowy, to nie będę miał innego wyjścia, jak tylko nałożyć na Rosję wysokie podatki, cła oraz sankcje na wszystko, co Rosja sprzedaje Stanom Zjednoczonym i różnym innym uczestniczącym krajom" – ogłosił w zeszłą środę amerykański prezydent na swojej platformie społecznościowej Truth Social. „Możemy to zrobić w łatwy lub trudny sposób – łatwy jest zawsze lepszy. Czas +ZAWRZEĆ UMOWĘ+!" – radził władzom na Kremlu nowy gospodarz Białego Domu, zaznaczając jednocześnie, że kocha Rosjan i że zawsze miał dobre stosunki z Władimirem Putinem.

Analitycy Goldman Sachs twierdzą, że w ciągu sześciu miesięcy kurs EUR/USD spadnie w rejon 0,97

USA są również gotowe do rozmów z Chinami. Donald Trump wstrzymał na razie egzekwowanie ustawy o TikToku, ponieważ – jak sam przyznał – pomogła mu ona w zdobyciu głosów młodych Amerykanów. Prezydent USA chce jednak sprawić, by TikTok zdecydował się na spółkę joint venture ze Stanami Zjednoczonymi (Ameryka miałaby mieć w niej 50 proc. udziałów).

PARYTET Z EURO?

Druga kadencja Donalda Trumpa może bezpośrednio wpłynąć na portfele Polaków poprzez wpływ na rynek walutowy. Po ogłoszeniu wyniku wyborów wielu analityków prognozowało, że dolar jest na drodze do osiągnięcia parytetu z euro. I przed inauguracją wiele wskazywało na to, że tak rzeczywiście jest. 14 stycznia kurs EUR/USD spadł do poziomu 1,0178 dol., ale już w ubiegłym tygodniu wzrósł powyżej 1,04.

Dolar stracił moc, bo pierwsze dni urzędowania Donalda Trumpa nie przyniosły realizacji jego najbardziej jastrzębich zapowiedzi. Gdy na światowych rynkach chwilowy lęk zastąpiła tradycyjna chciwość, sporo zyskały również takie waluty jak węgierski forint czy polski złoty. Co będzie dalej? Kurs EUR/USD nadal jest w trendzie spadkowym, co oznacza, że dolar nadal może zmierzać w kierunku parytetu. Analitycy Goldman Sachs wierzą nawet, że w ciągu pół roku kurs EUR/USD spadnie w rejon 0,97. Czy to możliwe? Teoretycznie tak, zwłaszcza jeśli Donald Trump niczym Ronald Reagan za pomocą ulg podatkowych, licznych deregulacji i poszerzaniu rynków zbytu rzeczywiście rozkręci amerykańską gospodarkę.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

KSIĄŻKA DOSTĘPNA W KSIĘGARNIACH!

Relacja z narcyzem ma szczególną dynamikę – skuteczną i przez długi czas niemożliwą do wykrycia, tak podstępną, że każdy może jej ulec.

– autorka książki, Anne Clotilde Ziégler

Uwolnij się z toksycznej relacji i zacznij żyć bez lęku!

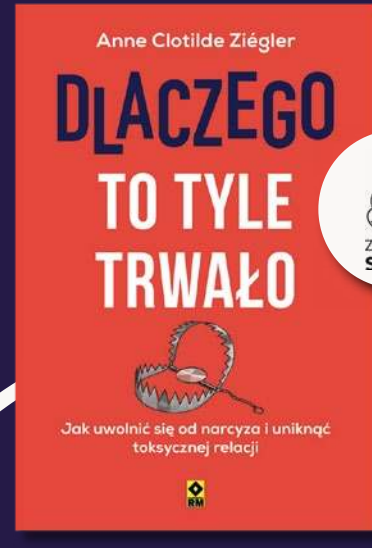

ZROZUM SIEBIE

WYDAWNICTWO RM WWW.RM.COM.PL

Patroni medialni Radio Gdańsk urodazdrowie.pl poradnikzdrowie.pl psychologiaprzykawie.pl

eprasa.pl a8d4c013d5

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

„Neosędzia" vs. „ancien sędzia"

Ja uważam, że w Polsce orzekają dziś wyłącznie sędziowie, bez podziału na nowych i starych, czyli na „neosędziów" i na… No właśnie – na kogo jeszcze?

Jeśli bowiem ktoś uważa, że w Polsce mamy do czynienia nie po prostu z sędziami, lecz także z „neosędziami" – sędziami nowego porządku, tymi z po 2015 r. – to powinien przyjąć do wiadomości, że w takim razie oprócz nich istnieją również, sam nie wiem – „ancien sędziowie"? – sędziowie starego porządku, ancien régime'u – czyli ci wszyscy sprzed 2016 r.

I, jak sądzę, jeśli „ancien sędziowie" i ich zwolennicy marzą o usunięciu „neosędziów"; ba, więcej – wprost żądają ich usunięcia, to „neosędziom" i ich zwolennikom nie pozostaje nic innego, jak żądać usunięcia „ancien sędziów". To byłaby najbardziej logiczna opcja, oczywiście w logice walki politycznej, a innej „ancien sędziowie" – a co najmniej ich przywódcy – nie są w stanie zaakceptować, a może nawet pojąć. Tak właśnie – skoro „ancien sędziowie" domagają się usunięcia z urzędów, a często w ogóle ze stanu sędziowskiego „neosędziów", to „neosędziowie" powinni zacząć domagać się usunięcia wszystkich „ancien sędziów" – jako powołanych niezgodnie z regułą trójpodziału władz i ich wzajemnej równowagi, ponieważ zostali oni powołani zgodnie z antydemokratyczną regułą wybierania się „ancien sędziów" przez samych siebie, czyli przez „sędziowską kastę" – z pominięciem reguły trójpodziału i równowagi władz. A tylko sędziowie powołani po 2015 r., czyli „neosędziowie", spełniają warunek bycia powołanymi nie w ramach wybierania się przez „sędziowską kastę", lecz zgodnie z regułą trójpodziału i równowagi władz.

Swoim zachowaniem „ancien sędziowie" – i przed powrotem do władzy ancien régime'u, i zwłaszcza po jego powrocie do władzy jesienią 2023 r. – jasno dali do zrozumienia, że nie są w stanie zaakceptować reguł demokratycznego państwa, gdzie kolejno rządzące większości parlamentarne – na mocy mandatu uzyskiwanego dzięki odniesieniu zwycięstwa w demokratycznych wyborach – kooptują kolejnych sędziów do stanu sędziowskiego, rzecz jasna czyniąc to zgodnie z demokratycznie ustanowionymi regułami prawa.

Oczywiście pod pojęciem usuwania „ancien sędziów" można rozumieć różne rzeczy, podobnie jak „ancien sędziowie" różne rzeczy rozumieją pod pojęciem usuwania „neosędziów". To – analogicznie do propozycji zgłaszanych przez „ancien sędziów" pod adresem „neosędziów" – mogłaby być konieczność podpisania przez wszystkich „ancien sędziów" stosownych lojalek, a także opuszczenia przez nich zajmowanych urzędów sędziowskich i aplikowania na nie od nowa – wyłącznie za zgodą „neosędziów". ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Showman to nie Stańczyk

Nie dziwię się, że Krzysztof Stanowski wzbudził u wielu entuzjazm decyzją o kandydowaniu na prezydenta. Rozczarowanie części wyborców polityką i politykami jest tak potężne, że człowiek spoza układu, który zamierza zrobić sobie z całej procedury wyborczej jaja, z kampanii – show, a do tego deklaruje, że wcale nie chce zostać prezydentem, wydaje się ofertą znacznie lepszą niż hipokryci i cynicy udający kogo innego, niż są w rzeczywistości.

Krzysztof Stanowski swoim startem niczego nie naprawi. Jedynie powiększy i tak już bardzo groźną destabilizację systemu

Tyle że to emocja. Faktycznie pan Stanowski swoim startem niczego nie naprawi. Jedynie powiększy i tak już bardzo groźną destabilizację systemu. Twórca Kanału Zero deklaruje zarazem, że pokaże nam kulisy kampanii, których nikt nam dotychczas nie pokazał. Na to zapewne liczą jego widzowie, sympatycy i zwolennicy jego kandydatury. Ale się przeliczą. Pan Stanowski składa swoją obietnicę nie mniej cynicznie niż zawodowi politycy swoje.

Co bowiem może nam pokazać showman (bardziej właśnie showman niż dziennikarz – co wcale nie musi być określeniem pejoratywnym) robiący własną kampanię? Nie pokaże nam przecież kulis prawdziwej polityki, bo sam udział w kampanii nie da mu do nich wstępu. Może nam najwyżej zaprezentować coś w rodzaju reality show z własnych starań o prezydenturę, ale to nie jest prawdziwa polityka. Nawet zresztą w tej dziedzinie pokaże nam tylko tyle, ile będzie chciał i ile będzie mu pasowało. Ale wyświetleń z pewnością będzie miał sporo.

Przyjmuję argument, że taki Stańczyk w gronie startujących ma jakąś wartość, a nawet że jest poważniejszy niż niektórzy kandydaci, tak zgrabnie podsumowani przez pana Stanowskiego w jego wystąpieniu (jak przypuszczam, niebędącym zresztą jego autorstwa). Pan Stanowski nie ma jednak waloru Stańczyka Matejkowskiego, tego z najsłynniejszego obrazu „Stańczyk wobec utraty Smoleńska". Jego refleksja nad stanem państwa jest płytka i efekciarska, a gdzieś na końcu zawsze jest troska o licznik wyświetleń na YouTube i o stan konta. W czym nie ma nic złego – o ile showman pozostawałby tylko showmanem. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

OMODA 5 COMFORT

FOT. JAP

Chińskie samochody zdobywają coraz więcej klientów w Europie i w Polsce. Do testów wzięliśmy więc jeden z najpopularniejszych modeli nad Wisłą. Omoda 5 po liftingu przyciąga nie tylko atrakcyjną ceną.

Kompaktowy crossover stworzony przez chiński koncern Chery przyciąga uwagę ogromnym futurystycznym grillem i atrakcyjną linią boczną zarysowaną w stylu coupé.

Sercem testowanej Omody 5 jest czterocylindrowy, turbodoładowany silnik benzynowy o pojemności 1,6 TGDI o mocy 147 KM. Maksymalny moment obrotowy to zaś 275 Nm. Na pokładzie jest też automatyczna, dwusprzęgłowa skrzynia biegów DCT7, której precyzja pracy zasługuje na ogromną pochwałę.

We wnętrzu – zwłaszcza jak na tę półkę cenową – jest jakby luksusowo. Na desce rozdzielczej dominują dwa duże, zespolone ze sobą wyświetlacze. Zarówno zestaw cyfrowych wskaźników, jak i dotykowy ekran do obsługi infotainment mają przekątną 12,3 cala. Nie brakuje miękkich materiałów, atrakcyjnych elementów wykończenia, dwóch typ gniazd USB czy ładowarki indukcyjnej. W podłokietniku znajdziemy zaś głęboki schowek. Nawet w najtańszej wersji wygodne przednie fotele są podgrzewane i wentylowane. W testowanej wersji Comfort jest jednak tylko manualna klimatyzacja, której przestawianie za pomocą dotykowego ekranu wymaga zbyt wielu kliknięć (lepiej sprawdziłyby się tradycyjne, staroświeckie pokrętła). Auto nie ma wbudowanej nawigacji, ale bez problemu łączy się bezprzewodowo ze smartfonem i obsługuje Android Auto i Apple CarPlay.

Omodą 5 podróżuje się bardzo wygodnie i przyjemnie. Napędzane na przednie koła auto na sprint do pierwszej setki potrzebuje wprawdzie aż 10,1 s, ale w praktyce wydaje się dużo bardziej dynamiczne. Układ kierowniczy jest wystarczająco precyzyjny, aby auto dawało frajdę z jazdy. Lepsze mogłoby być jednak wyciszenie chińskiego crossovera. A co z apetytem na paliwo? Szału nie ma, bo średnie spalanie podczas testu wyniosło 8,1 l/100 km, ale tragedia też to nie jest.

Z przodu przestrzeni jest sporo. Z tyłu może być już jednak nieco ciasno. Również kufer o pojemności 360 l wygląda dość skromnie. Brakuje w nim też haczyków na torby z zakupami.

A co z bezpieczeństwem? Omoda 5 uzyskała w testach EURO NCAP pięć gwiazdek na pięć możliwych do zdobycia. Nawet najtańsza wersja jest wyposażona m.in. w siedem poduszek powietrznych, tempomat adaptacyjny, system monitorowania martwego pola, asystenta pasa ruchu, system automatycznego hamowania awaryjnego, a także w asystenta ruchu poprzecznego (który ostrzeże, kiedy na drodze pojawi się jakiś pojazd, podczas gdy wycofujemy się z miejsca parkingowego).

Producent zapewnia, że auto jest objęte gwarancją do siedmiu lat lub 150 tys. km. Za testowaną wersję Comfort trzeba zapłacić 115,5 tys. zł. Wersja premium – z automatyczną klimatyzacją, otwieranym oknem dachowym, systemem kamer 360 stopni i światłami przeciwmgłowymi z funkcją doświetlania zakrętów – kosztuje 129,5 tys. zł. ©℗

DREAME X50 ULTRA

Siła ssania wynosząca aż 20 KPa, wysoka wydajność mopowania, rewelacyjny system nawigacji, niezły czas pracy na jednym ładowaniu oraz wielofunkcyjna stacja dokująca, która znacząco ułatwia bezobsługowe utrzymanie higieny w domu – to największe zalety najbardziej zaawansowanego robota sprzątającego chińskiej marki Dreame, który 14 stycznia miał swoją premierę w Polsce.

„To mały krok dla Dreame X50, ale wielki skok dla ewolucji robotów sprzątających" – tak w skrócie największą nowość zastosowaną w tym modelu mógłby opisać Neil Armstrong. Testowany model to bowiem pierwsze urządzenie na świecie, które zostało wyposażone w system ProLeap z mechanizmem automatycznie wysuwanych nóg. To właśnie on sprawia, że testowany robot odkurzający unosi swój korpus i bez trudu pokonuje progi w drzwiach, nogi suszarek lub nawet małe stopnie schodów (do wysokości 6 cm), a także samodzielnie wchodzi z podłogi na wysokie dywany.

X50 Ultra w razie potrzeby potrafi też zmniejszyć swoją wysokość, aby posprzątać pod łóżkiem, kanapą czy szafką telewizyjną. System nawigacji VersaLift pozwala w razie potrzeby schować wieżyczkę z czujnikiem DToF, dzięki czemu robot zmniejsza wysokość do zaledwie 8,9 cm. Model X50 Ultra jest też wyposażony w solidne światło LED i mnóstwo algorytmów sztucznej inteligencji, które pozwalają mu rozpoznać ok. 200 typów przeszkód. Wbudowana kamera nie tylko służy do nawigacji, lecz także pozwala np. na zdalne sprawdzanie, co w danej chwili dzieje się w domu.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Najważniejsza jest jednak jakość sprzątania. Siła ssania wynosząca aż 20 tys. Pa sprawia, że to jeden z najskuteczniejszych robotów na rynku.

Plusem jest również system dwóch szczotek głównych, na których nie osadzają się włosy, co docenią zwłaszcza kobiety i posiadacze czworonogów. A także system ruchomych mopów. Innowacje pojawiły się też w wielofunkcyjnej stacji dokującej. Zbiornik czystej wody ma 4,5 l pojemności, a na wodę brudną 4 l. Jest też worek na kurz. Dzięki temu robot przez długi czas jest praktycznie bezobsługowy.

Poza tym nakładki mopujące mogą być czyszczone w temperaturze 80 st. C. Model X50 Ultra umożliwia też sterylizację światłem UV, co – według Dreame – eliminuje 99 proc. bakterii. Akumulator o pojemności 6400 mAh sprawdzi się zaś nawet w większych domach.

Minusy? Cena też jest premium i wynosi 6549 zł. ©℗

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl a8d4c013d5

ANNA POPEK Z D. CHRUZIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Najlepszy cynamon

Cynamon jest naszą obowiązkową przyprawą, którą mamy zawsze w domu i nie tylko, bo nosimy go również w codziennej torebce razem z goździkami. Dodajemy go nie tylko do owsianek, ciast czy dań obiadowych, lecz także do napojów, do kawy, gorącego mleka, kakao, herbaty albo po prostu do wody z cytryną. Pamiętamy z dzieciństwa, jak babcia robiła dla nas grysik na mleku z cynamonem i cukrem.

Cynamon cejloński jest najszlachetniejszą odmianą cynamonu. Pochodzi z Cejlonu i właśnie tę odmianę powinniśmy kupować, bo zawiera najwięcej właściwości prozdrowotnych. Jest doskonałym źródłem wapnia, żelaza, manganu, błonnika, potasu i fosforu, a przede wszystkim ma silne działanie antynowotworowe. Zawiera jeszcze jeden bardzo cenny składnik: epikatechinę, która działa stymulująco dla naszego mózgu i jest w stanie zapobiegać chorobom neurodegeneracyjnym. To jeszcze nie wszystko. Cynamon zaliczamy do grupy termogeników i jest wsparciem w odchudzaniu. Przyspiesza on przemianę materii oraz spalanie tłuszczu, reguluje poziom cukru we krwi, obniża cholesterol i ogólnie wspiera układ pokarmowy. Warto zatem mieć cynamon zawsze przy sobie i nie zapominać o stosowaniu go na co dzień.

A jak sprawdzić, czy cynamon cejloński to ten prawdziwy, oryginalny? Otóż poznajemy go po tym, że ma słodki, niemal kwiatowy smak i jest łagodny dla języka, nie podrażnia. Warto wiedzieć, że pierwsze historyczne wzmianki o cynamonie możemy odnaleźć w Biblii, a do Europy trafił w XIV w. i tak już pozostał do dziś. Najczęściej dodajemy go do szarlotki czy dań kuchni orientalnej. A my proponujemy przepyszne i pachnące cynamonem cynamonki. Drożdżowe bułeczki zawinięte z nadzieniem środku w formie ślimaka polane lukrem.

Cynamonki

Na 12 sztuk potrzeba:

• szklanka mleka – 250 ml • 500 g mąki pszennej luksusowej • 14 g drożdży instant • ½ łyżeczki soli • 5 łyżki cukru • jajko i 2 żółtka • 120 g masła • cukier wanilinowy

Nadzienie:

• 100 g masła • 3 łyżki cynamonu • ½ szklanki cukru brązowego, trzcinowego • dodatkowo 1 jajko do posmarowania

Lukier:

• ¾ szklanki cukru pudru • 3–4 łyżki soku z cytryny

Do misy miksera wsypujemy mąkę, dodajemy drożdże instant, mieszamy, dolewamy ciepłe mleko, dodajemy jajko, żółtka, masło, cukier, cukier wanilinowy i sól. Wyrabiamy ciasto ok. 15 min, odstawiamy do wyrośnięcia na ok. 1 godzinę. Ciasto przekładamy na blat, przekrawamy na dwie części, odciskamy, tak aby pozbyć się powietrza, i rozwałkowujemy na kwadrat o rozmiarach 35 x 35 cm. Placek smarujemy masłem i posypujemy cynamonem z cukrem. Zwijamy w rulon i kroimy na kawałki o grubości 2 cm, układamy na blaszce wyłożonej papierem i smarujemy roztrzepanym jajkiem. Następnie odstawiamy do wyrośnięcia na ok. 30 min. W tym czasie nagrzewamy piekarnik do 180 st. C, a następnie pieczemy cynamonki ok. 20 min. Po wyjęciu i przestudzeniu smarujemy lukrem. ©℗

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Na Zachodzie bez zmian

Jak będziesz jechała KEN-em od południa, to skręć w lewo w Herbsta – wyjaśnił mi znajomy drogę do ich domu.

Nietypowe tłumaczenie, bo rzadko kto używa u nas stron świata w codziennej topografii. Tak jakby Ziemia i jej obroty, gwiazdy nas nie dotyczyły. Świadomość istnienia stron świata pojawiła się mocniej dopiero wtedy, kiedy w nowych czasach deweloperzy zaczęli zachwalać zalety południowych salonów i północnych kuchni. Traktowali to jako cechę premium, bo w obecnych standardach, raczej wobec ich braku, północny salon też jest OK, tylko już nie jest premium.

A np. w Stanach każdy człowiek wie, czy jechać na północ czy na południe. Świadomość stron świata jest tam zakorzeniona w zasobach codziennej wiedzy. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego my w Europie nie myślimy tymi kategoriami. Wytłumaczył mi to Tomasz Lechowski, kolega architekt urbanista, ten sam, który poradził, żeby jadąc od południa, skręcić w lewo.

– Kiedy Thomas Jefferson rysował mapę Ameryki, podzielił ją na stany poziomymi i pionowymi liniami. Uprościł podziały i tak zostało.

No jasne, nie certolili się, wytyczając granicę wzdłuż wijącej się meandrami rzeki czy niedostępnego pasma górskiego. To by strasznie skomplikowało sytuację, bo każdy by był niezadowolony. Ciach, polecieli chirurgicznym cięciem po prostej i jakoś nikt z tego powodu nie cierpi. Najlepiej widać to na mapie Manhattanu. Góra północ, dół południe, wszystko jasne. Nikt na Manhattanie nie zbłądzi.

Abstrahując od prostych jak linia prosta granic, lokowanie miast miało bardziej skomplikowane przyczyny. Wyjaśniała mi to kiedyś antropolog z University of London – bogate dzielnice miast lokowały się po zachodniej stronie. Tłumaczyła to kierunkiem wiatrów – zachodnie, najczęstsze w Europie, sprzyjają przedmuchiwaniu powietrza, a to było w średniowiecznych miastach konieczne dla zdrowia. Nie próbowałam sprawdzać – wiem jednak, że zachodni Londyn uchodzi za elegantszy i droższy niż wschodni, podobnie jest w Paryżu.

A tego, że podziały wschód – zachód istnieją nie tylko w geopolityce, dowodzi historia, która przydarzyła się mieszkającej we Francji córce naszych znajomych. Magda, która mieszka pod Paryżem, niedaleko Wersalu, zatem w „lepszym" miejscu, leciała na szkolną wymianę do Stanów. Tym samym samolotem lecieli uczniowie ze szkoły we wschodnim Paryżu. Konflikt wytworzył się od razu – samoczynnie, bez żadnych dodatkowych powodów. Wojna terytorialna. Ach, skąd my to znamy? ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Obrazki z Kapitolu

Obrazek pierwszy: na Kapitolu nowo mianowany prezydent Trump mówi, że od dziś w USA mamy dwie płcie – mężczyznę i kobietę. Tłum wstaje z miejsc i długo rozlegają się entuzjastyczne oklaski. Nawet mnie się udzieliła ta ulga, że wreszcie. Kurczę – daleko jednak zaszliśmy. Okazało się, że żyjemy w czasach, gdy powrót do oczywistości jest obecnie aktem kopernikańskim, wręcz rewolucyjnym – w tej „rewolucji zdrowego rozsądku". Bez względu na to, czy ktoś lubi czy nie nowego prezydenta USA, jego deklaracja przywrócenia aksjomatów społecznego życia już jest warta uwagi, a także refleksji nad tym, jak daleko już zabrnęliśmy, że trzeba było wręcz zawracać znad przepaści „nowej rzeczywistości".

Drugi obrazek: smutne telewizyjne kadry prezydenta Dudy, który wybrał jednak Davos, aby – tym razem w Domu Ukrainy, na tym spotkaniu niedobitków globalizmu – po raz kolejny obiecać bezwarunkowe i wieczne już chyba poparcie dla nawet najbardziej nieosiągalnych celów Kijowa. Na mównicy, za którą stał Duda, było hasło „Your country first (to win with us)". To – niestety – prorocze, gdyż my się raczej i tym razem podpisujemy pod fatalnym hasłem „First to fight", ale jednak ta nasza „specjalizacja" nie prowadzi nas do pierwszeństwa w wygrywaniu. A tak może być i tym razem.

Gest Dudy, który zamiast Kapitolu wybrał Davos, smuci. I to smuci nie dlatego, że świadczy o jakiejś polskiej reorientacji z antyglobalistycznego Trumpa na stolicę unijnego już tylko globalizmu. Smuci perspektywa, gdyż ten gest nie jest raczej demonstracją kierunku naszej polityki strategicznej, ale prozaicznym świadectwem, że ustępujący prezydent pojechał tam po prostu… szukać pracy. Czym ostatecznie pogrążył jakiekolwiek spekulacje na temat doniosłości jego kadencji i rozumienia priorytetów polskiej racji stanu.

Obrazek trzeci: tłum na Kapitolu wspierający Trumpa. A jeszcze cztery lata temu w tej samej sali ganiały się tłumy ludzi z bawolimi rogami, przechodziły fale sterowanego protestu, które bezcześciły na żywo w telewizji, na oczach przerażonych Amerykanów, insygnia ojców założycieli wzorcowej demokracji. Donald Trump odcięty wtedy od mediów społecznościowych (których szefowie teraz obecni na Kapitolu biją mu brawo), zagoniony wtedy w ogródku swojej willi przekonywał, że nie stoi za tym buntem. Był na samym dnie.

Dziś w tej samej sali, zbezczeszczonej demokracji, odbiera hołdy i nieme upokorzenie swoich wrogów. A więc da się, jak widać. I niech ten obraz towarzyszy nam na długo, gdy będziemy się zastanawiali, czy można i czy warto. Tylko tyle… ©℗

JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Niewinny jak dr Fauci

W ostatnich minutach swojej prezydentury Biden podpisał akt łaski dla wielu osób, w tym dla dr. Anthony'ego Fauciego, głównego konstruktora polityki przeciwdziałania pandemii COVID-19, eksperta, z którym dumnie fotografował się minister Niedzielski. Przypomnijmy: z jednej strony polityka ta wykluczała leczenie znanymi i dostępnymi środkami, z drugiej – na niespotykaną skalę wprowadzała ograniczenia wolności obywateli, m.in. izolacje, śledzenie kontaktów, noszenie masek i masowe szczepienia (dla licznych grup zawodowych przymusowe).

Oczywiście Biden przekonywał, że ułaskawienie nie oznacza przyznania się do winy: „To akt ochrony i uznania dla jego nieocenionego wkładu w zdrowie publiczne i bezpieczeństwo Amerykanów". Biorąc pod uwagę, że właśnie podczas jego prezydentury (październik 2022 r.) Sąd Najwyższy USA uznał, iż stosowane szczepionki na COVID-19 nie były – w pełnym rozumieniu tego słowa – szczepieniami, a wyrzuconych urzędników odmawiających przyjęcia zastrzyku nakazał przywrócić do pracy, zaklęcia byłego prezydenta brzmią tak samo wiarygodnie jak zapewnienia o niewinności pozostałych ułaskawionych osób.

Tymczasem w inauguracyjnym przemówieniu Trumpa znalazło się zapewnienie przywrócenia do służby i wypłaty odszkodowań wszystkim żołnierzom, którzy z powodu odmowy szczepień byli wydaleni z armii. Inną znamienną decyzją nowego prezydenta jest rozpoczęcie procedury wyjścia USA ze Światowej Organizacji Zdrowia. Zważywszy na to, jak dalece WHO stała się dziś zakładnikiem kilku podmiotów finansowanych przez Billa Gatesa i Big Pharmę, decyzja ta nie wzbudza takiego oporu jak mianowanie Roberta Kennedy'ego sekretarzem Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. Nawet w obozie republikanów istnieje środowisko sceptyczne wobec tej nominacji. Tak czy inaczej widać, że administracja Trumpa nie zamierza przejść do porządku dziennego nad globalnym doświadczeniem z lat 2019–2022. Niewykluczone, że w najbliższych miesiącach wypłyną informacje, których ujawnienia tak bardzo obawiał się Anthony Fauci. Sam fakt ułaskawienia dowodzi zaś, że ma się czego bać. Zmiana stanowiska amerykańskiej administracji wobec COVID-19 niestety nie dotarła do Europy, tym bardziej do Polski.

7 lutego w Gdańsku przed Sądem Izby Lekarskiej odbędzie się kolejny akt nękania uczciwych lekarzy, którzy w czasie tzw. walki z pandemią zakwestionowali politykę Fauciego, Niedzielskiego i Morawieckiego. Doktor Fauci niewinny – odważni lekarze nadal z zarzutami! ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Kto?

Ministerka (co to w ogóle za wyraz?) bez ministerstwa (nie żartuję, to naprawdę minister bez ministerstwa) do spraw równości, niejaka Katarzyna Kotula z Lewicy, okazała się dość pospolitą kłamczuszką, a fuj. Stop. Wielokrotnie, przez kilka lat poświadczała nieprawdę w sprawie swojego wykształcenia. Stop. Marzyło się jej, że ma wykształcenie wyższe i tak sobie wpisywała we wszystkich dokumentach, także na stronach sejmowych. Stop. Kiedy się okazało, że żaden z niej magister, napisała, iż doszło do nieporozumienia. Stop. Donald Tusk raczej nie pozbawi jej teki z powodu kłamania, gdyż – jak wiemy i czego na co dzień doświadczamy – mijanie się z prawdą jest standardowym sposobem komunikacji premiera ze społeczeństwem. Stop.

W Parlamencie Europejskim co najmniej kilku polskich europarlamentarzystów dokonywało rytualnych, werbalnych skoków po Tusku w obecności Tuska, w sensie nie hamowało się w krytyce jego dokonań. Stop. Na przykład Anna Bryłka z Konfederacji powiedziała siedzącemu obok Donaldowi: „Jest pan niemieckim namiestnikiem w Polsce i obłudnym oszustem", a następnie uzasadniała powyższe oceny. Stop. Być może coś przeoczyłem, ale nie znalazłem wypowiedzi Tuska, w której zaprzeczałby słowom Bryłki. Stop.

Łysiejący Adam Bodnar zafundował pracownikom Ministerstwa Sprawiedliwości badanie łysin, czy prawie łysin, czy cebulek włosów, czy pozostałości po cebulkach włosów. Stop. Z państwowych pieniędzy poszły na badania trychologiczne 24 tys. zł. Stop. Łysiejący Bodnar twierdzi, że swojej łysiny nie poddał badaniom. Stop. Swoją drogą może warto byłoby sprawdzić, co tkwi w głowach urzędników, którzy mając do wyboru przeprowadzenie różnych bezpłatnych badań, zainteresowani są oglądaniem pod powiększeniem placków na głowach. Stop. Pożytek z całej tej sprawy był humorystyczny: kiedy internauci się dowiedzieli, że badania takie są często preludium do przeszczepu włosów, powstało wiele wariacji Bodnara w różnych fryzurach. Stop. Osobiście pochwaliłbym Bodnara we fryzurze Trumpa. Ale czy stać go na taką fantazję?

Politycy często wypowiadają słowa wymagające namysłu i interpretacji. Stop. Do takich polityków należy europarlamentarzystka z Platformy Marta Wcisło. Oto świeży cytat z jej przemyśleń: „Nie należy mylić dezinformacji, która jest współczesną bronią hybrydową, która ma siać destabilizację, dezinformację i strach z cenzurą". Stop. Fakt, że według Wcisło dezinformacja ma siać dezinformację i nie należy jej mylić, wydaje mi się godny namysłu, więc idę się ponamyślać. Stop. Myśleć będę na temat: Kto wybrał Wcisło do Parlamentu Europejskiego? Kto? ©℗

DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Barykady wolności

Niezwykłe niepokoje trapić zaczynają obserwatorów polskiego życia politycznego. Wynikają one z konfliktu wewnętrznego, który łatwo sparaliżować może Państwową Komisję Wyborczą. Sprawy nie wyglądają też budująco w Sądzie Najwyższym, którego orzeczenia, a nawet status sędziów są przez władzę wykonawczą raz uznawane, a innym razem nie. Nic więc dziwnego, że liczni dziennikarze obawiać się zaczynają „rozlewu krwi na ulicach", który mógłby mieć miejsce w następstwie ewentualnych oszustw dokonanych podczas wyborów prezydenckich. Do przekształcenia się sporu politycznego w brutalną przemoc uliczną mogłoby dojść, rzekomo, po nieuznaniu przez rządzący establishment zwycięzcy prezydenckiego wyścigu.

Takie przewidywania mają jednak liczne słabości. Łatwość, z jaką wprowadzono w Polsce najbardziej nawet szalone i oderwane od rzeczywistość „obostrzenia covidowe", stanowić może istotne ostrzeżenie. Nie wystawia dobrego świadectwa naszej zdolności do spontanicznej samoorganizacji wobec bezprawia narzucanego przez władze. Nieliczne demonstracje uliczne organizowane podczas covidowego szaleństwa w Polsce były tylko nieśmiałym echem tych, które wstrząsały ulicami Londynu, Berlina albo Wiednia. Większość uwierzyła głoszonym przez oficjalną propagandę banialukom. Proponowana przez posła PiS Czesława Hoca ustawa dawać miała pracodawcom prawo do „szczepionkowej weryfikacji" pracowników, a nawet wzajemnego pozywania się przez nich o odszkodowania po chorobie. Uniknęliśmy podobnych rozwiązań o włos nie dzięki obywatelskim protestom, ale związanemu z wojną na Ukrainie wygaśnięciu, z dnia na dzień, odgórnie rozniecanej pandemii strachu.

Jak pouczał Lew Trocki, który – choć charakteru podłego – na przebiegu przewrotów ulicznych znał się jak mało kto, dla ich zorganizowania niezbędna jest „sytuacja rewolucyjna". Zależy ona jednak nie tylko od czynników ekonomicznych czy też obiektywnego ucisku, którego dopuszczają się władze, lecz także od mentalności represjonowanych grup społecznych.

W społeczeństwie trwale zantagonizowanym wewnętrznie i systemowo pozbawianym od dziesięcioleci jakichkolwiek cieszących się autonomicznym zaufaniem instytucji „mentalność rewolucyjna" może nie dojść do skutku. Nie zogniskuje się raczej wokół istniejących struktur partyjnych, sklerotycznych i spełniających się jednakowo w życiu dworskim. Bunt pokusić się może co najwyżej o inscenizacje historyczne. Wolność, w osobie Joanny Lichockiej, wiodąca lud na barykady. U jej boku, z pistoletami w obu dłoniach, Samuel Pereira. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

KRYSTIAN KRATIUK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Pochód tysiąclecia

Wiedzieliśmy, że rząd nie przygotuje niczego – wszak jaki rząd, takie obchody jubileuszy. Biorąc pod uwagę, kto rządzi, powinniśmy się cieszyć, że w ogóle zdecydowali się na specjalne posiedzenie Sejmu i Senatu w Gnieźnie. Było kilka ładnych przemówień, marszałek Hołownia próbował przekonać do siebie część elektoratu, mówiąc o symbolice liczby 1000, 1025, no i o Polsce 2050.

Premier Donald Tusk wygłosił orędzie, w którym w otoczeniu flag polskiej, ukraińskiej, unijnej i NATO-wskiej mówił o zobowiązaniu, jakim jest dobra współpraca z Niemcami i Ukrainą, którą to rozpocząć miał Bolesław. Zapowiedział jej brawurową kontynuację.

W zupełnie innym tonie wypowiedział się prezydent Andrzej Duda, nie mając już przecież nic do stracenia, gdyż jego kadencja kończyła się za parę tygodni. Opowiedział o tym, że dokładnie tak jak wtedy, tak dziś groźba braku suwerenności jest najważniejszą sprawą pokolenia i że dokładnie tak jak wówczas na polską suwerenność czyhają szczególnie Niemcy i Rosja.

W kilku miejscach w Polsce odbyły się koncerty, jeden był nawet transmitowany przez TVP, w mniejszych ośrodkach śpiewano pieśni patriotyczne, w większych repertuary przygotowane były przez osoby wybierające przyszłość. Jaś Kapela, wsparty pieniędzmi z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, wystawił z tej okazji swój musical, w którym pisał o tym, jak Matka Boska abortuje polskich biskupów.

Jednak na szczęście spodziewaliśmy się, że tak będzie, i się przygotowaliśmy. Wiedzieliśmy wszak, kto rządzi w naszym kraju. A więc już w lutym usiedliśmy do rozmów. To do nas niepodobne nie tylko dlatego, że zaplanowaliśmy coś sporo wcześniej, lecz także dlatego, że zrobiliśmy to ponad podziałami, i to mimo trwającej kampanii wyborczej.

My, Polacy. Polscy patrioci, suwereniści, niepodległościowcy, którym droga jest polska państwowość. Przedstawiciele dziesiątek większych i mniejszych organizacji patriotycznych i społecznych, naczelni tradycyjnych i nowych mediów z tej strony mocy, a także przedstawiciele partii politycznych uważających, że istnienie Polski pozostaje wartością. Wielu z nas niejednokrotnie maszerowało już ulicami Warszawy 11 listopada, kiedy było zimno, ciemno i do domu daleko. Organizowanie naszego wielkiego pochodu pozostawiliśmy tym, którzy od lat jesienią organizują Marsze Niepodległości. Ale wspieraliśmy ich w tym, promowaliśmy ich i zapewniliśmy, że będziemy.

I przyszliśmy. Ilu nas było? Stołeczny ratusz mówił coś o 80 tys., policja o 250 tys., ale był nas milion. Milion. Byli politycy, ale nie przemawiali. Przemawiali przedstawiciele kilku organizacji społecznych. Kandydaci na prezydenta i ich współpracownicy zgodzili się na to na ten jeden dzień. Potem każdy urządził sobie własną konferencję prasową i wrócił do przepychanek, wszak za moment odbywały się wybory. Ale zgodzili się przyjść i przyprowadzić swych wyborców w takiej właśnie formule, gdyż wiedzieli, że ów marsz to wydarzenie arcydoniosłe, a ta rocznica na to zasługuje. A ponadto słusznie domyślali się, że – jak to wśród Polaków – na wywołanej tym pochodem fali patriotycznego wzruszenia wszyscy patriotyczni kandydaci uzyskają lepszy wynik w wyborach.

Ilu nas było? Stołeczny ratusz mówił coś o 80 tys., policja o 250 tys., ale był nas milion. Milion

Ale to nie o wybory nam szło. Szło nam o to, by iść w wielkim biało-czerwonym pochodzie, który przypomniał o tysiącleciu koronacji Chrobrego, pierwszego króla Polski. O tym czym są korona, królestwo, państwo i suwerenność.

I przypomnieliśmy. Był nas milion. Szliśmy wspólnie, machaliśmy flagami, policzyliśmy się po raz kolejny. Dołączyli do nas nawet zaspani na co dzień biskupi. Wiedzieliśmy, że przy tak doniosłej okazji z tego wydarzenia wyniknąć może coś znacznie więcej niż ze zwykłej manifestacji.

I wyniknęło. Zaczęliśmy na poważnie zmieniać Polskę.

***

Taki felieton chciałbym opublikować za parę miesięcy. Po marszu, którym wspólnie pójdziemy na przełomie kwietnia i maja tego roku (18 kwietnia bowiem, w umowną rocznicę koronacji, przypada Wielki Piątek). Powyższym tekstem rzucam tylko pomysł. Czy trafi na podatny grunt? ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

DEPORTACJA

FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zaprzysiężenie jest w południe, więc pierwszy dzień urzędowania nowego prezydenta USA trwa tylko 12 godzin, a nie 24. Donald Trump nie zmarnował tego czasu – zrealizował ogromną większość swoich zobowiązań wyborczych jeszcze pierwszego dnia przed północą. Politycy najpierw obiecują, potem każą czekać na realizację obietnic i w końcu mówią, że świat nie jest idealny i nie dało się spełnić obietnic, bo coś tam.

Trump nie składał wyborczych obietnic. Trump się ZOBOWIĄZAŁ do konkretnej serii działań, które podejmie, i spraw, które nam załatwi. Politycy (np. kandydaci na prezydenta w Polsce) OBIECUJĄ, a Trump się ZOBOWIĄZAŁ. To było jak oficjalna umowa z narodem, zawierająca konkretne paragrafy. I on zrealizował większość tego zobowiązania już w pierwszym dniu urzędowania.

***

Rano było nabożeństwo w kościele św. Jana w Waszyngtonie, potem tradycyjne spotkanie „na herbatkę" z odchodzącym prezydentem w Białym Domu, następnie zaprzysiężenie, trzy historyczne przemówienia, lunch w Kongresie, wiec na stadionie, konferencja prasowa, trzy bale inauguracyjne. A pomiędzy tymi zadaniami Trump zdążył wcielić w życie większość swoich wyborczych zobowiązań. Podpisał ponad 200 dekretów, 115 nominacji, rozkazy, proklamacje… Miał to wszystko wcześniej przygotowane, akty prawne były opracowane i sprawdzone przez prawników, ktoś to wydrukował, oprawił i poukładał tak, aby w dniu zaprzysiężenia z marszu odpalić nowe państwo, nową politykę, nową administrację i Złoty Wiek Ameryki, o czym Trump mówił kilka razy w przemówieniu inauguracyjnym.

***

Tuż po godz. 12 uzbrojona po zęby policja zamknęła przejścia graniczne. Widziałem zdjęcia z El Paso i robiły solidne wrażenie! Odpalono plan zabezpieczenia granic przed inwazją nielegalnych imigrantów. Tę sprawę reguluje kilka kolejnych dekretów Trumpa. Między innymi Dekret o ogłoszeniu stanu wyjątkowego na granicy, co pozwoliło wysłać tam wojsko i wszelkie inne służby. Kolejny dekret uznał kartele zajmujące się przemytem ludzi i narkotyków za organizacje terrorystyczne. To bardzo ważne, bo gdy policja czy wojsko mają do czynienia z terrorystą, nie muszą się patyczkować. Zanim się strzeli do „normalnego" przestępcy, trzeba go wezwać do poddania się, oddać strzały ostrzegawcze i ostatecznie strzelać tak, aby nie zabić, lecz obezwładnić. W stosunkach z terrorystą to wszystko nie obowiązuje. W stosunkach z terrorystą obowiązuje zasada: strzelać i zabić bez ostrzeżenia. Można też strzelać i zabić przez granicę, bez tłumaczenia się Meksykanom, „dlaczego zastrzeliliście naszego obywatela po naszej stronie granicy?". Terrorysta nie jest chroniony przez żadne umowy ani paszporty.

***

Kolejny dekret Trumpa podpisany w dniu inauguracji dotyczył masowej deportacji wszystkich nielegalnych imigrantów z terenu USA, a następny tego, że jeśli ktoś chciałby złożyć wniosek o azyl, to ma to zrobić z terenu Meksyku i tam czekać na decyzję. Za pierwszej kadencji Trumpa ten przepis sprawdzał się doskonale. Jeżeli ktoś nie ma mocnego powodu do azylu i obawia się, że jego sprawa będzie rozpatrzona negatywnie, to nie będzie czekał na tę decyzję dwa lub trzy lata, koczując po stronie meksykańskiej. Imigrantom nie o to chodzi, by czekać w kraju pośrednim, w którym wcale nie chcą być. Cała masa zniechęconych imigrantów rezygnowała. Dlatego Trump teraz przywrócił tamte dobre przepisy.

Wszystko, o czym do tej pory napisałem, wcielono w życie w ciągu kilku chwil od objęcia prezydentury przez Trumpa. Najpierw zgasła darmowa aplikacja dla nielegalnych imigrantów pomagająca im umawiać się na rozmowy kwalifikujące do azylu – ta aplikacja zgasła w momencie, gdy Trump wygłaszał w Kongresie przemówienie inauguracyjne.

A czemu to takie ważne? Bo kto ma tę aplikację na swoim telefonie i jest już umówiony z sędzią na przesłuchanie w sprawie azylu, ten ma prawo przebywać na terenie USA, nawet jeżeli sędzia wyznaczył spotkanie dopiero za dwa lata. Nielegalni imigranci wgrywali więc sobie tę aplikację, umawiali się z sędzią i od tego momentu byli już w USA na legalu (jako „oczekujący na wyznaczone przesłuchanie azylowe").

***

A jak to wszystko ma się do Polski? Ano tak, że pokazuje, jak sobie poradzić z masą imigrantów (kolorowych i ukraińskich), która zalewa Polskę. Trump pokazał, jak i co da się zrobić.

Stan wyjątkowy w pasie granicznym z Białorusią, Ukrainą i Niemcami. Niemcy nam podrzucają imigrantów, to w takim razie traktujemy ich granicę na równi z białoruską.

Oznaczenie przemytników transportujących ludzi jako organizację terrorystyczną. I wreszcie coś bardzo prostego: Ministerstwo Spraw Wewnętrznych może wygasić i skasować wszystkie numery PESEL i NIP przydzielone cudzoziemcom. Idą do lekarza i nagle okazuje się, że doktor nie ma jak wystawić recepty, bo PESEL zniknął. Piękne, czyste rozwiązanie prowadzące do tego, że imigranci zaczną uciekać z Polski na własny koszt.

W USA część nielegalnych imigrantów zaczęła wyjeżdżać, bo gdy wyjedziesz sam, nie będziemy cię dalej ścigać. Ale jeżeli będziemy zmuszeni cię deportować, to dostaniesz zakaz wjazdu do USA na co najmniej 10 lat.

***

Opisałem zaledwie jedno z zagadnień, które Trump wdrożył w pierwszych godzinach urzędowania, i już mi zbrakło miejsca. A takich tematów pierwszego dnia było kilkanaście: Trump zarządził koniec z Zielonym Ładem, koniec z panoszeniem się LGBT, koniec z genderyzmem – rząd USA uznaje oficjalnie istnienie jedynie dwóch płci. USA zrywa Porozumienie Paryskie i opuszcza WHO. Jest tego tyle i dzieje się w takim tempie, że komentatorzy nie nadążają komentować. ©℗

eprasa.pl a8d4c013d5

Uwaga: nowe ceny na rok 2025

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

+

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

STANISŁAW STABRYŁA: ZNAK, KTÓREMU SPRZECIWIAĆ SIĘ BĘDĄ

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~560~~ ZŁ

272,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 288ZŁ

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
ORLE PIÓRO S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl a8d4c013d5

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!

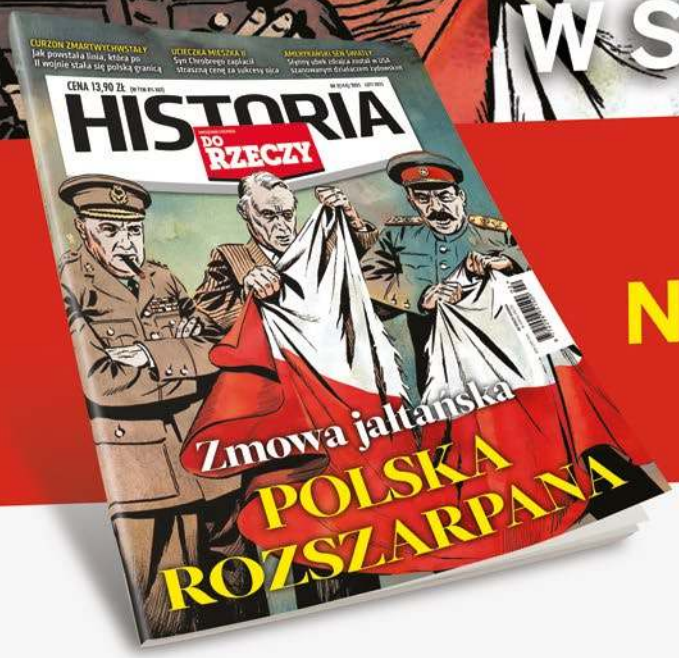

KTO NAS ZDRADZIŁ W JAŁCIE?

Churchill kontra Roosevelt i Stalin – Sowiecki dyktator mógł liczyć w Jałcie na zastanawiającą przychylność prezydenta USA

Curzon zmartwychwstały – Jak Brytyjczycy wyrysowali linię, której przebieg jest bardzo zbliżony do obecnej wschodniej granicy Polski narzuconej nam w 1945 r.

Ucieczka Mieszka II – Następca Bolesława Chrobrego zapłacił straszną cenę za sukcesy swojego ojca

Plajty, które zmieniły świat – Największe bankructwa w dziejach przyczyniały się do wielkich zmian politycznych i społecznych

Sok z człowieka – Opisywanie odrażającego obyczaju antropofagii to według niektórych badaczy „narzędzie białej supremacji"

Kozacki bat na Lenina – Ataman Aleksandr Dutow jako pierwszy rzucił wyzwanie bolszewikom. Wrogowie nie darowali mu tego nawet po jego śmierci

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl a8d4c013d5